Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NR 17 (1674) ROK XXXIII 29 KWIETNIA 1990 ROKU CENA 1000 ZŁ

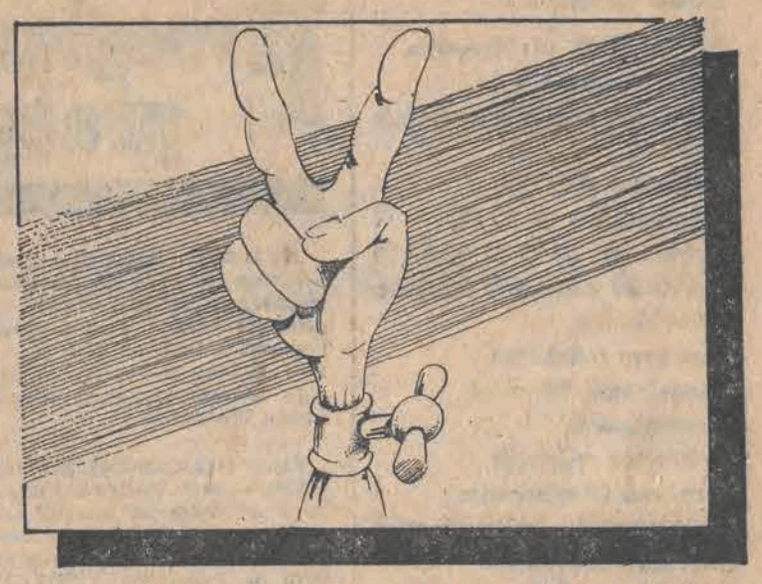

Rys Dariusz Romanowicz

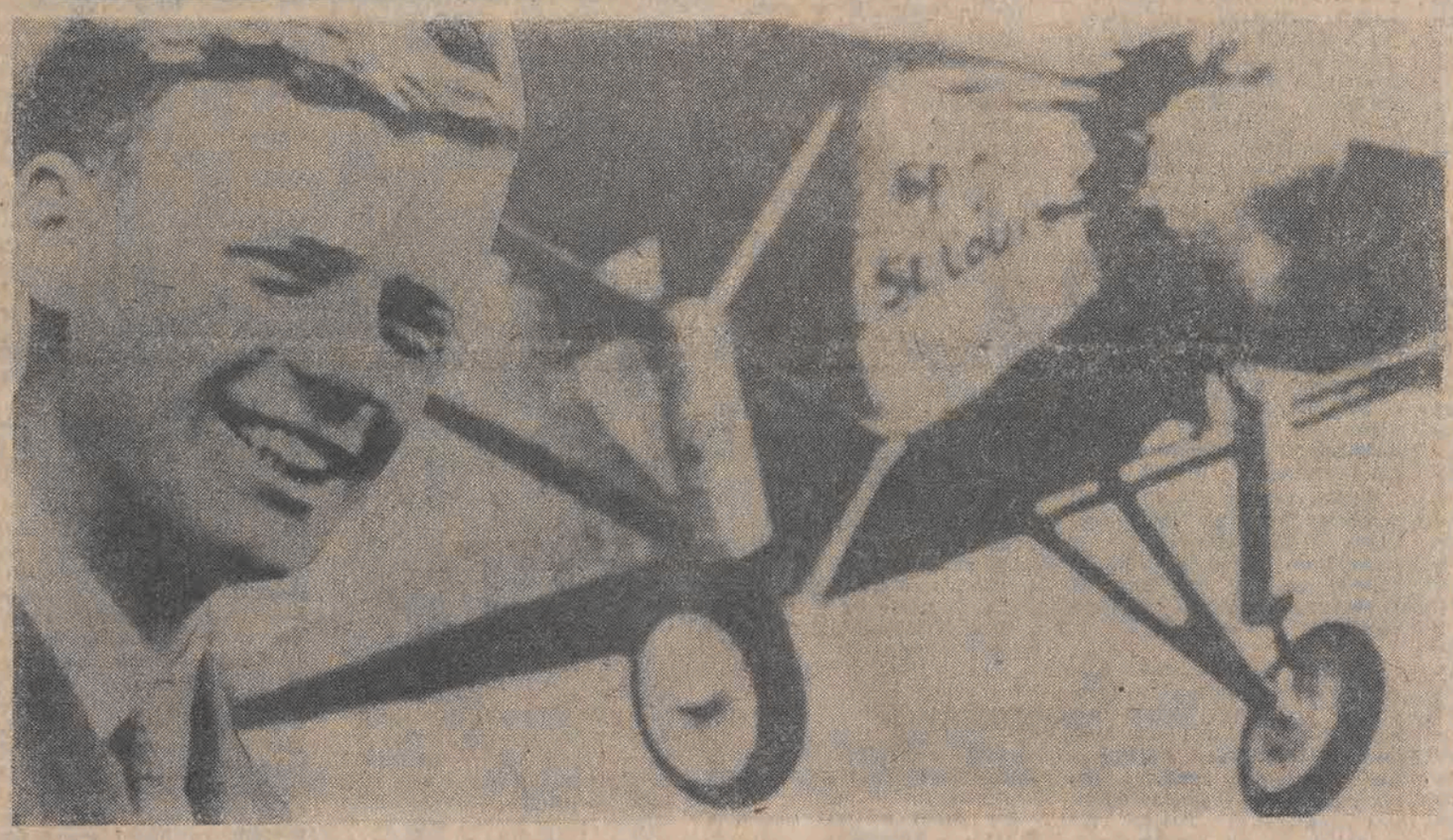

Zagadka sprzed 48 lat.

Kto porwał i zamordował synka Charlesa Lindbergha?

JAN BĄBIŃSKI

Betty Cow rozchyliła drzwi do pokoiku na piętrze o dziesiątej wieczorem. Na progu przystanęła zdjęta niepokojem. Cóż to, czemu nie słychać oddechu dziecka? Po chwili już przy kołysce zamarła z przerażenia. Łóżeczko było puste. Spojrzała na otwarte okno i pojęła, że ktoś malucha porwał. Zbiegła schodami do salonu bez tchu, ratunku, ratunku, nie ma dziecka, ktoś je uprowadził.

Charles Lindbergh skoczył na piętro wielkimi susami. Tak, synka nie było. Zauważył na parapecie białą kopertę.

— *Niczego nie ruszać, żeby nie pozacierać śladów* — zawołał. — *Zaczekamy na policję.*

Był 1 marca 1932 r.

Niebawem do willi pod Hopewell koło Nowego Jorku przybył pułkownik Norman Schwarzkopf, szef policji stanu New Jersey, w towarzystwie grupy dochodzeniowej. Odciągnął Lindbergha na bok.

— *Niczego pan nie słyszał.*

— *Gdzieś koło dziewiątej doszło mnie coś jakby uderzenie. Ale żona tylko się zaśmiała, mówiąc, że się przesłyszałem.*

Jeden z policjantów zameldował, że w ogrodzie znaleziono składaną na trzy części drabinkę. Eksperci zajęli się kopertą. Mimo najskrupulatniejszych badań nie odkryto na niej żadnych odcisków. Norman Schwarzkopf rozerwał ją, wyjął świstek papieru i podał Lindberghowi. Porywacz zawiadamiał niezdarnymi kulfonami, że oczekuje okupu. Trzeba przygotować 50 tysięcy dolarów w połowie w złotych monetach. Jest na to 3 dni. Dziecko jest w dobrych rękach. Nie wolno donieść o tym policji, bo sprawa się skomplikuje.

Norman Schwarzkopf natychmiast wyłapał, że zamiast „*good*", porywacz nabazgrolił „*gut*". Czyżby był Niemcem?

Porwanie syna Charlesa Lindbergha stało się światową sensacją. Wywołało gniew, irytację i powszechne oburzenie. Wyrazy żalu i współczucia nadesłał pułkownikowi prezydent Herbert C. Hoover. Benito Mussolini oświadczył publicznie, że złoczyńca na pewno nie ujdzie zasłużonej karze. Lindbergh sympatyzował z „*czarnymi koszulami*" i nie krył poparcia dla ruchu narodowo-socjalistycznego w Niemczech.

Charles Lindbergh był wówczas postacią światowego formatu. Jako pierwszy przeleciał samotnie Atlantyk na jednosilnikowym „Spirit of St. Louis". Pokonał bez lądowania 5800 kilometrów w czasie 33 godzin. 21 maja 1927 r. wylądował witany entuzjastycznie w Paryżu. Swym wyczynem utorował ludzkości drogę ku podniebnym szlakom. Otworzył nowe i ogromne możliwości przed komunikacją lotniczą. Był bohaterem przestworzy, wzorem cnót i bożyszczem Ameryki.

— *Zamierza pan opłacić okup* — zapytał Norman Schwarzkopf.

— *Oczywiście. I proszę, żeby policja trzymała się na razie z dala od tej sprawy.*

Norman Schwarzkopf nie oponował. Niech Lindbergh wpierw odzyska dziecko, potem przyjdzie czas na wytropienie kidnapera. Wiedział, że zebranie kilkudziesięciu tysięcy nie jest żadną przeszkodą. Charles Lindbergh był jednym z bossów „Transcontinental and Western Airways". Jego żona, Anna Morrow, wywodziła się z jednej z najbogatszych rodzin Ameryki.

— *Dobra* — oświadczył — *wycofujemy się, ale tylko na pewien czas.*

Tragedię Charlesa Lindbergha wziął sobie głęboko do serca emerytowany wykładowca dr. Condon z Bronxu. Dał w „Home News" ogłoszenie.

11

Żołnierze brytyjscy ograbili ich i wydali w ręce NKWD. Tragedia rosyjskich Kozaków i górali kaukaskich, którzy walczyli na Bałkanach z partyzantką jugosłowiańską. Losy Kozackiego Stanu ze Zduńskiej Woli.

Chcieli umrzeć z głodu byle nie wracać do ZSRR

RYSZARD BADOWSKI

Marek Brzeziński w korespondencji z Londynu („Odgłosy" nr 8/90) przedstawił kulisy procesu o zniesławienie, który lord Aldington wytoczył przeciwko rosyjskiemu historykowi emigracyjnemu hrabiemu Nikołajowi Tołstojowi i swemu rodakowi, Nigielowi Wattsowi. Zarzucali mu bowiem, że ponosi odpowiedzialność za wydanie na pewną śmierć Kozaków, Serbów i Chorwatów, walczących po stronie wojsk hitlerowskich, którzy pod koniec wojny poddali się wojskom brytyjskim w Karyntii. Cenę zniesławienia byłego brygadiera sąd Jej Królewskiej Mości określił na sumę półtora miliona funtów. Chodziło przecież nie tylko o cześć byłego szefa sztabu V Korpusu Brytyjskiego, który wyzwalał Austrię, ale również o szeroko pojęty honor Wielkiej Brytanii.

Trafili pod lufy plutonów egzekucyjnych

W Rosenbach niedaleko Klagenfurtu miała miejsce jedynie część tragedii, opisanej przez Marka Brzezińskiego. Tam niemal przed półwiekiem Brytyjczycy przekazali wojskom swojego sojusznika, marszałka Józefa Broz-Tity, żołnierzy z serbskich i chorwackich oddziałów walczących u boku hitlerowców oraz Słoweńców, zwerbowanych do antytitowskich oddziałów Straży Wewnętrznej. Mieli stanąć przed sądem, tymczasem trafili przed lufy plutonów egzekucyjnych. Ciała ich zrzucono do starych sztolni w pobliżu Lublany.

Lord Aldington powiedział na procesie:

— *Żaden z nas nie był takim draniem, aby wysłać tych ludzi na śmierć (...). Mieliśmy do wypełnienia rozkaz i musieliśmy go wypełnić (...). Nie spodziewaliśmy się, że zostaną zamordowani (...).*

Przeciwników Tity odtransportowano na stację i załadowano do pociągów. Pozwolono im zabrać ze sobą rodziny. Sądząc z korespondencji Marka Brzezińskiego, losom Kozaków poświęcono na procesie mniej uwagi niż Jugosłowianom. W stosunku do Kozaków trzeba było bowiem użyć siły. Lord Aldington ujawnił, że w akcji ich przekazywania władzom radzieckim brała również udział Brytyjska Armia Renu. Kozacy byli przekonani, że jadą do Włoch.

— *Ja nie wydawałem takiego rozkazu, aby im to powiedzieć* — zeznał przed sądem były brygadier Aldington. — *Ale jak*

5

Rys. Dariusz Romanowicz

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny 36 82 44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36 80 96,
publicyści: 36 77 70, 32 69 70
Redaktor naczelny: Lucjusz Wiodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski,
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Problematyka kulturalna: Marian Zdrojewski.
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Konrad Frejdlich, Jacek Indelak, Eugeniusz Iwanicki, Marek Koprowski, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Bogumił A. Makowski, Paweł Tomaszewski,
Graficy: Dariusz Romanowicz, Janusz Szymański-Glanc,
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński,
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk,
Stale współpracują: Marek Brzeziński, (Paryż — Londyn), Anna Gronczewska, Andrzej Grun, Janusz Janyst Marek Juśkiewicz, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Włodzimierz Krzemiński, Mirosław Kuliś, Jerzy Kwieciński, Monika Matuszak, Zenon J Michalski, Marzena Mróz, Adam Ochocki, Henryk Pustkowski, Maciej Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5, tel. 32 59 11.

Organizacja reklamy: tel. 36-80-99.

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty w 1990 roku: 1) Z możliwości prenumerowania mogą korzystać mieszkańcy wsi, osiedli oraz miasteczek w których nie ma Oddziałów RSW a także osoby niepełnosprawne bez względu na miejsce zamieszkania 2) Natomiast nie mają możliwości prenumerowania mieszkańcy miast.

Wpłaty na prenumeratę przyjmują: 1) Oddziały RSW właściwe dla miejsca zamieszkania lub siedziby prenumeratora. odbioru zamówionych egzemplarzy dokonuje prenumerator w wyznaczonych punktach sprzedaży lub w inny uzgodniony sposób 2) Urzędy pocztowe i listonosze — od prenumeratorów z terenów wiejskich lub innych miejscowości w których nie ma oddziałów RSW a w miastach tylko od osób niepełnosprawnych

Wpłaty na prenumeratę przyjmowane są tylko na okresy kwartalne Należność za przyjętą prenumeratę pocztową obejmuje cenę tygodnika oraz opłatę za doręczenie Prenumerata ze zleceniem dostawy za granicę jest o 100 proc wyższa w przypadku zlecenia dostawy drogą lotniczą — koszt dostawy lotniczej w pełni pokrywa prenumerator.

B-10

Przegląd prasy

„Tadeusz Mazowiecki nieustannie wygląda na człowieka wyczerpanego, ma zawsze zapadnięte oczy i zmartwiałą, poszarzałą twarz. Nie ma w nim żadnej iskry, cechującej jego charyzmatycznego rodaka, Lecha Wałęsę".

Tak charakteryzuje premiera naszego rządu Andrew Nagorski w artykule na łamach czasopisma amerykańskiego „Newsweek" (26 III) przedrukowanym w tygodniku „FORUM" (nr 15). Autor podkreśla, że Tadeusz Mazowiecki zaskoczył jednak wszystkich, ponieważ kieruje najbardziej całościowym demontażem ustroju komunistycznego i cieszy się ogromną popularnością. Pod koniec artykułu czytamy:

„Wałęsa reaguje gniewnie na popularność Mazowieckiego i często krytykuje politykę rządu. «Reformy posuwają się zbyt wolno, więc musimy działać wszyscy» — oświadczył niedawno. Domagał się silniejszego ataku na dawną biurokrację komunistyczną, wzywa do szybkiego wycofania wojsk radzieckich z Polski. Mazowiecki utrzymuje, że zmiany personalne muszą dokonywać się stopniowo, że trzeba unikać wszystkiego, co przypominałoby czystkę, i że sprawa wycofania wojsk radzieckich musi poczekać na satysfakcjonujące stronę polską rozwiązanie kwestii granicy niemieckiej.

Największą kwestią sporną jest jednak wyraźna determinacja Wałęsy, by wrócić zza politycznej linii autowej i zastąpić generała Jaruzelskiego na stanowisku prezydenta. Jaruzelski ma swoje słabe punkty: dawny mocny człowiek komunizmu zawdzięcza swój urząd porozumieniu zawartemu w kwietniu zeszłego roku z «Solidarnością», które przewidywało częściowo wolne wybory. Zwolennicy Wałęsy twierdzą, że na Jaruzelskiego należy wywierać naciski, by ustąpił, po czym powinny nastąpić wolne wybory. Lecz Mazowiecki i inni oponują twierdząc, że obecny układ służy korzystnemu przejściu od dawnego systemu totalitarnego ku pełnej demokracji. «Prezydent nie blokował demokratyzacji» — mówi przywódca «Solidarności» w parlamencie, Bronisław Geremek. — Zdaje on sobie sprawę z tego, że o jego miejscu w historii zdecyduje to, czy będzie uczestniczył w procesie demokratyzacji czy nie».

Polityczne manewry Wałęsy spotykają się z rosnącą krytyką w szeregach «Solidarności». «Wszystko idzie dobrze, ale może się zawalić z powodu Wałęsy» — mówi dawny działacz «Solidarności», który twierdzi, że Polski nie stać na nowe wybory parlamentarne i prezydenckie do czasu ustabilizowania się sytuacji gospodarczej. Mazowiecki uprzejmie, lecz stanowczo odpiera naciski Wałęsy na przyspieszenie tempa przemian. Teraz to on dyktuje polityczny rozkład jazdy, a nie Lech Wałęsa".

ZMOWA MILCZENIA MASS MEDIÓW?

W końcu stycznia br. deklarowało sympatię do Tadeusza Mazowieckiego 85 proc. Polaków — więcej niż do prymasa Józefa Glempa (79 proc.) i przewodniczącego Lecha Wałęsy (72 proc.). Wydaje się, że premier jest również bardzo popularny za granicą. A tymczasem jego wizytę w Stanach Zjednoczonych prawie zignorowały amerykańskie środki masowego przekazu. Piszą o tym w tygodniku katolickim „MŁODA POLSKA" (nr 14) Wojciech Wasiutyński i Witold Bałaban. Pierwszy z nich wysuwa przypuszczenie, że Tadeusz Mazowiecki nie jest telegeniczny i dlatego nie potraktowano go jako poważnego polityka.

„W przeciwieństwie do niego na przykład prezydent Havel jest «telegeniczny», ale czy jest poważny? Oczywiście podpisanie umowy gospodarczej jest znacznie mniej ciekawe, niż rewolta w Wilnie, walka na kłonice w Siedmiogrodzie czy niepodległość Namibii".

Z kolei Witold Bałaban uważa, że zignorowanie pierwszej od szeregu lat wizyty premiera polskiego w Stanach Zjednoczonych źle wróży przyszłości stosunków polsko-amerykańskich. Wniosek ten nasuwa się uważnemu obserwatorowi waszyngtońskiej sceny politycznej.

„Dla ścisłości należy nadmienić, że dziennikarka państwowego programu telewizyjnego PBS, Miss Woodruff, przeprowadziła blisko półgodzinny wywiad z premierem. Pytania dziennikarki były wyjątkowo napastliwe (większość obserwatorów zgodnie twierdzi, że rzadko kiedy premier jakiegokolwiek państwa bywa ignorowany przez amerykańskiego dziennikarza w tak nieprzyjemny sposób), i Mazowieckiemu należy się spore uznanie, iż nie pozwolił wyprowadzić się z równowagi. Woodruff posunęła się do przeinaczenia faktu, twierdząc, że inflacja w Polsce nie została powstrzymana. Proszę nie sądzić, że tego rodzaju dziennikarskie błędy zdarzają się przypadkiem na poziomie PBS.

Nie sposób zrozumieć bojkotu wizyty Mazowieckiego bez zrozumienia pewnych fundamentalnych podstaw rządzących amerykańskim dziennikarstwem. Pierwsze przykazanie prasowe mówi, że jakakolwiek czynność prezydenta Stanów Zjednoczonych jest wiadomością pierwszorzędnej wagi. Prezydent wędkuje na Florydzie, prezydent strzela do kaczek w Alabamie, prezydencka suczka oszczeniła się, prezydent zapowiedział, że nie będzie jadł brokułów — wszystko są to informacje zajmujące poczesne miejsce w „New York Timesie". Jeżeli prezydent spotyka się z głową choćby najmniejszego państwa afrykańskiego, zdjęcie i obszerna informacja na ten temat znajdują się w głównej sekcji „NYT". A wizyta premiera Polski, wziąwszy pod uwagę jej historyczny charakter i jej cel — przyszłe granice zjednoczonych Niemiec — jest wiadomością PIERWSZOSTRONICOWĄ. Tymczasem nie było nawet krótkiej notatki! Nie było przedruku przemówień powitalnych (standardowa praktyka). Nie było zdjęcia. Nie było żadnego komentarza".

W postscriptum Witold Bałaban podaje znamienną informację. Stany Zjednoczone wznowiły eksport do Chińskiej Republiki Ludowej wysoko rozwiniętej technologii. Sprzeciwiają się natomiast udostępnieniu tej samej technologii Rzeczypospolitej Polskiej (już nie Ludowej)...

Krótka relacja z konferencji prasowej Tadeusza Mazowieckiego w USA ukazała się w polonijnym tygodniku ilustrowanym „ALFA" (nr 14). W komentarzu Andrzej Wąsewicz pisze:

„Tadeusz Mazowiecki — były dziennikarz i działacz polityczny nie jest błyskotliwym rozmówcą, co utrudnia mu kontakt ze słuchaczami. Najwyraźniej premierowi brakuje daru zjednywania, przewodzenia, mobilizowania. Trzeba też przyznać, że na niektóre pytania premier odpowiadał niezręcznie. Dziennikarze, zwłaszcza zagraniczni, a już szczególnie ich odbiorcy mają prawo znać jasną odpowiedź np. na pytanie, dlaczego rząd polski nie uznał niepodległej Litwy. W odpowiedzi premier wykazał pewną niefrasobliwość i zadufanie. Podobnie z pytaniem o konkretne efekty ekonomiczne wizyty".

Andrzej Wąsewicz także zaznacza, że amerykańskie środki masowego przekazu wykazały słabe zainteresowanie wizytą premiera Rzeczypospolitej Polskiej w Stanach Zjednoczonych.

LECH WAŁĘSA PREZYDENTEM?

Wielkie poruszenie w kraju i za granicą wywołała wiadomość, że Lech Wałęsa zamierza ubiegać się o urząd prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Indagowany w tej sprawie przez Jacka Moskwę z dziennika „RZECZPOSPOLITA" (nr 89), przewodniczący NSZZ „Solidarność" odpowiada:

„Mam wielu przyjaciół, którzy uważają, że tak powinno się stać. Nie składałem takiego oświadczenia wprost. Przekazałem tylko dziennikarce PAP pewien skrót myślowy. Po wtorku w stoczni, który wykazał, jak bardzo ludzie są niezadowoleni, jak bardzo żądają reform — mówiłem o prezydencie wskazałem na konieczność przyspieszenia reform. Nie traktowałem tego jako start do biegu o fotel prezydencki. Natomiast moja wypowiedź została odebrana bezpośrednio. Cieszę się bardzo, że jest zapotrzebowanie społeczne na taką dyskusję.

Niedobrze natomiast, gdy próbuje się ją wykorzystać dla wbijania klina między mnie a moich przyjaciół. Zaliczam do nich Jarosława i Lecha Kaczyńskich. Oni podjęli tę kwestię. I bardzo dobrze, niech Polska dyskutuje, nawet na moim przykładzie.

Dyskusja zaczyna pokazywać obrazy dwóch prezydentów. Część społeczeństwa chce widzieć kogoś w rodzaju Mościckiego: układnego profesora, który zna języki, a przy okazji został wybrany. Natomiast moim zdaniem, taki prezydent w ogóle nie pasuje do tej Polski. Trzeba nam kogoś, kto buduje demokrację, a jednocześnie czuwa, żeby ona nie zeszła na manowce. (...)

Nie chodzi o to, czy będę prezydentem, ale nie zrezygnuję z walk o pluralizm, o demokrację, o 25 lat, które tym ideałom poświęciłem. Znajdę dla siebie miejsce tam, gdzie będę mógł to kontynuować. W „Solidarności", a może kiedyś z fotela prezydenckiego.

Jako przewodniczący „Solidarności" chciałbym walczyć o to, by „Solidarność" otrząsnęła się, by przestała być zapleczem rządu, zapleczem Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. Nie robię tego złośliwie. Przecież to są moje ciała, ja tam jestem obecny. (...)

Gdyby los zrobił mnie prezydentem, to chciałbym, aby premierem był Tadeusz Mazowiecki. A ja bym współgrał z nim, zmuszał do szybkich reakcji. Natomiast dzisiaj mamy sytuację, że prezydent nie przeszkadza, ale i nie pomaga. Nie wykorzystujemy szans. (..)

Fakt, że moja wypowiedź dotycząca reform została odczytana wprost jako start do prezydentury, to znaczy, że takie jest zapotrzebowanie, że na to świat czeka. Światu byłoby wygodniej, prawdopodobnie, gdyby tak się stało. Mnie nie zależy na tym fotelu. Mnie zależy na reformach.

Włożyłem palec w ogień. I okazało się, że świat na to czeka".

O urzędującym prezydencie, Wojciechu Jaruzelskim, Lech Wałęsa mówi, że ma trudną sytuację i skomplikowany życiorys. Nie chciałby być w jego roli. Natomiast rząd — zdaniem przewodniczącego NSZZ „Solidarność" — ciężko pracuje, lecz nie dostrzega, że w kraju toczy się rewolucja. Rząd działa zbyt wolno i mało skutecznie, ale nie jest to jego wina, ponieważ nie ma odpowiednich możliwości prawnych i innych.

IDEAŁY A RZECZYWISTOŚĆ

Na temat polityki rządu, a ściślej — programu wicepremiera Leszka Balcerowicza, krytycznie wypowiada się senator Karol Modzelewski. W rozmowie ze Sławojem Nowakiem, której zapis opublikował tygodnik „PRZEGLĄD TECHNICZNY" (nr 15), zwraca uwagę, że nie możemy jednym skokiem przejść z socjalizmu, bo nie mamy gospodarki rynkowej i konkurencji. W systemie monopolistycznym osiągamy równowagę kosztem zablokowania popytu na poziomie znacznie niższym od możliwości produkcyjnych.

„W rezultacie moce wytwórcze pozostają nie wykorzystane, a nawet ulegają zniszczeniu. Rząd odrzucił ideę hamowania cen, ponieważ cały wspomniany mechanizm służy celom drenażowym i programowi wygaszania inflacji przez drastyczne ograniczenie popytu ludności i przedsiębiorstw. Motywy mojego sprzeciwu wobec tego programu wywodzą się zarówno z systemu wartości, jak i z obaw o skuteczność praktyczną takiego programu uzdrowienia gospodarki... Mój sprzeciw bierze się również stąd, że jestem przywiązany do tego ideału sprawiedliwości społecznej, który był szczególnie charakterystyczny dla NSZZ „Solidarność" w 1980 i 1981 r., a który dzisiaj oznacza, że koszty kryzysu muszą być rozkładane stosownie do zamożności określonych grup, ze szczególną ochroną środowisk materialnie najsłabszych. Tymczasem dzieje się na odwrót i nawet dorabia się do tego ideologię zwróconą przeciwko rzekomej nadopiekuńczości państwa. Jak wiadomo rozbudowany system świadczeń socjalnych zapewniał w socjalizmie minimum egzystencji w warunkach zaniżonego poziomu płac. Dziś obniżamy płace realne niemal o połowę i ograniczenia świadczeń socjalnych nie da się niczym usprawiedliwić. Nawet oszczędnością. Byłaby to bowiem taka oszczędność, jak u tego gospodarza, który odzwyczajał konia od jedzenia..."

Karol Modzelewski obawia się nawrotu inflacji i zbyt głębokiego spadku produkcji. Recesja była wprawdzie wkalkulowana w program Leszka Balcerowicza, ale nie tak głęboka, na jaką się zanosi, i która może nas cofnąć o dalsze kilka lat.

Polityka gospodarcza rządu stawia w niełatwej sytuacji przywódców związkowych. Nie mogą bowiem protestować przeciwko koniecznościom ekonomicznym, a nie chcą rezygnować z funkcji obrony interesów pracowniczych. Wyraźnie spada zainteresowanie działalnością związkową. W tygodniku „SOLIDARNOŚĆ ZIEMI ŁÓDZKIEJ" (nr 2) Paweł Wojciechowski tak pisze o spotkaniu Andrzeja Słowika z załogą „Uniontexu":

„Kiedy przewodniczący związku w regionie w latach 1980—81 przyjeżdżał do zakładu, było to wydarzenie i pracownicy „walili" tłumnie na spotkanie. Wszyscy chłonęli jego słowa jak jedyną prawdę, był dla nich wyrocznią. Dziś, gdy ten sam przewodniczący Andrzej Słowik spotyka się z załogą „Uniontexu", do dużej sali przychodzi zaledwie 80 osób. Mają okazję pytać, lecz pytania nie zasypują przewodniczącego. Może sprawia to obecność dyrektora. Wiele tu „zapieczonych" spraw na linii dyrekcja — załoga. Żale nie wypowiedziane, narosłe latami. Ludzie nie czuli tu nigdy dobrego gospodarza. Na nich to się odbijało".

W relacji z tego samego spotkania na łamach pisma „TYDZIEŃ W UNIONTEXIE" (nr 15) czytamy, że przewodniczący Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność" w Łodzi przybył na mityng, który zgromadził członków i sympatyków związku oraz inne osoby. Andrzej Słowik powiedział im, że w fabryce dyrektor jest od zarządzania, rada pracownicza od współzarządzania, a związek zawodowy musi być rewindykacyjny.

Andrzej Słowik zgodził się ze stwierdzeniem, że w ekonomii nie ma litości. Ale podkreślił, że związek zawodowy musi mieć inne spojrzenie. Przy zwalnianiu ludzi z pracy powinien brać pod uwagę sytuację rodzinną pracowników — na przykład, czy nie chodzi o jedynego żywiciela rodziny. Na pytanie przewodniczącego, jaką podjąć decyzję, gdy trzeba zwalniać lub ograniczyć czas pracy, jedna z uczestniczek spotkania odpowiedziała: *„Lepiej, żeby można było zarobić na suchy chleb niż w ogóle".* A ktoś inny stwierdził, że robotnicy są skłonni dzielić się z drugimi, ale pod warunkiem, że okres przejściowy nie będzie trwał zbyt długo.

ORIENTACJE POLITYCZNE POLAKÓW

W ośmiu krajach Europy przeprowadzono ciekawe badania na temat preferencji ustrojowych i politycznych. Uzyskane wyniki — zaprezentowane na kolokwium w Paryżu 20 lutego — omawiają w „PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM" (nr 15) Paweł Kuczyński i Sławomir Nowotny.

Na pytanie — „Jaki rząd (socjaldemokraci czy liberałowie) przyniósłby Polsce więcej korzyści w minionym czterdziestoleciu?" — Polacy odpowiedzieli następująco: socjaldemokraci — 40 proc., liberałowie — 16 proc., nie mam zdania — 44 proc. Gdyby w styczniu 1990 roku odbyły się wybory do Sejmu, to skład Izby ukształtowałby się następująco: socjaldemokraci — 25 proc., liberałowie — 17 proc., chadecja — 17 proc., ludowcy — 11 proc., zieloni — 8 proc., narodowcy — 4 proc., komuniści — niecały 1 procent. Reszta nie wzięłaby udziału w głosowaniu.

E. L.

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Na polach bitewnych między Północą i Południem walczyło czterech Polaków. Co o nich wiemy? Aleksander Bielawski urodził się w rodzinie szlacheckiej na Litwie. Brał udział w powstaniu listopadowym. W 1832 roku przybył do Stanów Zjednoczonych, osiadł na fermie pod Waszyngtonem. Z chwilą wybuchu wojny secesyjnej zaciągnął się w szeregi Unii. Jerzy Sokalski był synem emigranta, absolwentem słynnej Akademii Wojskowej w West Point. Wyróżnił się w bitwie pod Wilson's Creek, przegranej przez wojska Unii. Władysław Lerski również walczył po stronie Unii. Na froncie pełnił obowiązki inżyniera topograficznego. Jego nazwisko znajduje się w prestiżowym słowniku najbardziej zasłużonych oficerów i żołnierzy armii Stanów Zjednoczonych. Wilhelm Kossak zasłużył się w czasie oblężenia frontu Donelson. Po krwawej bitwie pod Shiloh pochwalił go nieskory do komplementów gen. Grant — pisze **RYSZARD BADOWSKI.**

— Polaków przebywających na zesłaniu w obwodzie Barabińskim było około miliona. Wśród nich znajdował się tylko jeden ksiądz. Jeździł od rodziny do rodziny z posługą duszpasterską. Choć sam biedny, pomagał innym jak mógł. Starał się utrzymać wśród zesłańców ducha narodowego. Przywoził ze sobą polskie książki, nakłaniał do czytania. W styczniu 1934 roku przybyła do Barabańska rodzina Bykowskich. Podczas podróży przeżyli chwile grozy. Zgłodniałe wilki całą gromadą zaczęły gonić jadących. Przerażeni rzucali zapalone snopki słomy. Koń zapadał się w zaspy, zaczął kuleć — pierwsza część materiału **MAGDALENY GROCHOWALSKIEJ.**

— Postanowiłem te moje „Zapiski" Churchillowi zadedykować, żeby wiedział o tym, jak bardzo go szanuję. Bo, niezawodnie, Anglicy tu przyjdą, żeby Niemców wypędzić, to, rzecz jasna, na zawsze zostaną — kolejny fragment książki **SERGIUSZA PIASECKIEGO „Zapiski oficera Armii Czerwonej".**

— Sergiusz Piasecki — autor m. in. tak głośnych powieści jak „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy", „Bogom nocy równi" i „Zapiski oficera Armii Czerwonej" — urodził się 1 kwietnia 1901 roku w Lachowiczach (pow. baranowicki, woj. nowogródzkie), a zmarł 12 września 1964 roku w Penley (Walia). Był nieślubnym dzieckiem zruszczonego szlachcica polskiego i służącej. W szkole uczył się bardzo słabo, do dwudziestego roku życia nie znał języka polskiego. Pracował w wywiadzie polskim, był przemytnikiem, łącznie odsiedział 14 lat w różnych więzieniach. Dzięki wstawiennictwu Melchiora Wańkowicza wyszedł na wolność 2 sierpnia 1937 roku. Sprawę ułatwił fakt, że powieść utalentowanego więźnia stała się bestsellerem — obszerne omówienie biografii popularnego pisarza polskiego.

— Znane są przypadki, gdy bioenergoterapia, zamiast przynieść ulgę, wywołała ataki choroby, przewyższające nieporównanie swym nasileniem napady sprzed zastosowania tej metody leczenia. Znany jest mi również przypadek „wyrwania się" bioenergii spod kontroli bioenergoterapeutki, która nie była w stanie przerwać wyzwolonego przez nią, a przebiegającego później samoczynnie — w strasznych bólach — procesu prostowania kręgosłupa. Tak, rzeczy dziwne, siły tajemne... — dokończenie reportażu **JACKA INDELAKA „Uzdrawiająca energia".**

— Dlaczego Lech Wałęsa ma być kandydatem na prezydenta? Bo nie mamy lepszego. Spośród osób znanych, cieszących się publicznym poparciem, które mogłyby potencjalnie ubiegać się o to stanowisko, jedynie Lech Wałęsa ma poparcie większości społeczeństwa. Posiada zdolność mediacji między różnymi siłami politycznymi, reprezentuje chrześcijański system wartości — mówi poseł **JAN ŁOPUSZAŃSKI,** przewodniczący Rady Naczelnej Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego.

Co stanie się z „Solidarnością", gdy nastąpi wybuch niezadowolenia?

Jesteśmy skazani na pożarcie

Rozmowa z PAWŁEM LIPSKIM — przewodniczącym Krajowej Sekcji NSZZ „Solidarność" Przemysłu Lekkiego.

Collage: Grzegorz Gałasiński

— Ilu jest obecnie ludzi bez pracy w Łodzi, jak to się przedstawia w poszczególnych zakładach?

— Według informacji z początków kwietnia, mamy w Łodzi na razie ponad 12 tysięcy bezrobotnych z wszystkich branż. Uwzględniając listy przeznaczonych do zwolnienia, przedstawiane przez dyrektorów do zaopiniowania związkowi, możemy ocenić, że przeciętnie 15 procent załóg kwalifikuje się (wedle tych propozycji) do powiększenia grona bezrobotnych. Gdzieniegdzie naprawdę przesadzono, np. w „Vigoprimie", gdzie próbowano zwolnić 60 procent załogi. Tylko w nielicznych, wyjątkowych przedsiębiorstwach nie ma redukcji — np. w „Wólczance" i „Próchniku", ale wiadomo: to potentaci. W zdecydowanej większości zakładów toczą się obecnie negocjacje pomiędzy administracją a związkami zawodowymi.

— Czy ich treścią są wyłącznie zwolnienia grupowe?

— Wszystkie zwolnienia, również indywidualne. Chodzi o to, że dyrektorzy próbują omijać ustawę o zwolnieniach grupowych, „dozując" redukcje, aby przez 3 miesiące nie przekroczyły 10 procent stanu zatrudnienia. Sądzą, że unikną w ten sposób kłopotliwej procedury uzgadniania swoich posunięć. Musimy pilnować, aby tak się nie stało, ale na przeszkodzie stoi prawo, nie zawsze precyzyjne nawet w ustawie o zwolnieniach grupowych. Pisze tam np. o porozumieniu, kończącym negocjacje, ale nie wiadomo, w jakiej ma ono być formie: a może tylko ustnej? Korzystają z tego oczywiście nieuczciwi dyrektorzy.

— O ile wiem, związkowcy mogą zażądać analizy ekonomicznej przedsiębiorstwa, aby przekonać się o niezbędności zwolnień. Czy korzystają z tego prawa?

— Trzeba jasno powiedzieć, iż nie przedstawia im się zazwyczaj takiej analizy. Częściowo z powodu niechęci dyrektorów, a częściowo dlatego, że oni sami nie wiedzą, na czym stoją. Wielu liczy po prostu na „poluzowanie" planu Leszka Balcerowicza, wpadając tymczasem w rodzaj uśpienia.

— A gdyby taką analizę przedstawiano, czy „Solidarność" byłaby w stanie zweryfikować te informacje?

— Teoretycznie tak. Praktycznie — byłyby olbrzymie koszty, związane z zatrudnieniem ekspertów.

— Czy to prawda, że najszybciej próbuje się zwalniać ludzi chorych?

— Niestety, często tak się dzieje. Próbuje się od razu zwalniać osoby schorowane, ułomne, a także mieszkańców hoteli robotniczych oraz dojeżdżających transportem zakładowym. Nawiasem mówiąc, uległ on prawie całkowitej likwidacji, a ludziom pozostawiono wybór: odejść albo dojeżdżać na własną rękę. Większość (np. w „Marchlewskim") wybrała kosztowne dojazdy.

— Co mogą w tej kwestii związkowcy?

— Mogą wynegocjować porozumienie, zakazujące zwalniania określonych grup pracowniczych. W „Progalu" ustaliliśmy np. że nie wolno zwalniać osób w wieku przedemerytalnym, kobiet w ciąży i na urlopach macierzyńskich, jedynych żywicieli rodzin, a także sprawujących opiekę nad dziećmi specjalnej troski. A w ogóle nie może być mowy o tym, aby stan zdrowia miał stanowić kryterium do decydowania o redukcji.

— Jak pan ocenia postępowanie administracji zakładów?

— Gdyby dyrektorzy zechcieli (lub potrafili) dostosować się do nowych warunków ekonomicznych, byłoby o połowę mniej konfliktów z załogami. Niestety, tacy, którzy potrafią sobie radzić, należą do wyjątków. Co ciekawe, pochodzą oni przeważnie z niedawnych konkursów, które — jak obserwuję — zdają jednak egzamin. Natomiast większość kadry myśli i postępuje po staremu, i to na dwa sposoby: albo są aroganccy, bo czują się jeszcze pewnie w układach personalnych, związanych ze starym porządkiem, który lokalnie wciąż funkcjonuje, albo też — czekają na instrukcje od nowej przewodniej siły, za którą uważają „Solidarność". Bez instrukcji nie potrafią kierować. Może dla związku są oni nieszkodliwi, ale dla gospodarki — bardzo.

— A „Solidarność", czy nie polubi posłusznych dyrektorów?

— Byłoby niedobrze, gdyby „Solidarność" zaczęła namaszczać dyrektorów, bo to stworzyłoby nową nomenklaturę. Co do mnie, wolę pozostać związkowcem, już choćby z tego powodu, że mogę teraz krytykować poczynania dyrekcji. Gdyby w gabinetach zasiadali „moi" ludzie, miałbym związane ręce, bo zobowiązania są najczęściej dwustronne.

— Słowem, nie macie ogólnej strategii w kwestii wymiany kadry kierowniczej?

— Nie musimy jej mieć, bo wymiana jest spontaniczna, a ostatnio — jak zauważam — przybiera szersze rozmiary. Pracownicy nie mogą już ścierpieć arogancji, której wielu dyrektorów nauczyło się w stanie wojennym.

— I dyrektorzy zmuszani są do odejścia?

— Często w dramatycznych okolicznościach. W „Vigoprimie" — po wystąpieniu z wnioskiem o zwolnienie 60 procent załogi — „Solidarność" postawiła wotum nieufności wobec dyrektora, a rada pracownicza go odwołała. W „Progalu" z kolei do gabinetu wjechała taczka...

— Wszyscy ze starej nomenklatury są źli?

— Nie wszyscy. Jest grupa doświadczonych dyrektorów, kierujących nadal zakładami w sposób znakomity. Powtarzam jednak, że są to raczej wyjątki. Zaliczyłbym do nich m.in. „Próchnika" i „Wólczankę".

— A może jest tak, że to nie dyrektorzy są tacy źli, tylko system ekonomiczny, stworzony przez plan Balcerowicza, nie daje im żadnych szans? Chwalone przez pana zakłady zawsze sobie przecież dobrze radziły, w każdym systemie, bo dysponują dużym potencjałem...

— Gorset ekonomiczny jest ciasny, ale to nie znaczy, że trzeba czekać bezczynnie, decydując się co najwyżej na zwolnienia. Czasem jest źle pod względem ekonomicznym, ale nie ma konfliktów, ludzie są zgodni w dążeniu do celu, a dlaczego? Bo dyrektor wytłumaczył im jasno, na czym stoją, co trzeba zrobić, aby poprawić swój los. Ważne są więc nie tylko decyzje ekonomiczne, ale po prostu właściwe podejście do ludzi.

— Ale i ono przegra z ekonomią...

— Warunki ekonomiczne są bardzo trudne. Z pewnością najgorsze zakłady zbankrutują. Boję się tylko, aby nie okazało się, że tych „najgorszych" jest 90 procent. Na razie tak to wygląda, jakby cały „lekki" miał się załamać. Upadek grozi zakładom z przestarzałym parkiem maszynowym, ale i zmodernizowanym, z nową halą i maszynami, np. „Strugowi".

A ktoś — do licha — musi przecież to przetrwać!

— Wygląda jednak na to, że „Solidarność" przyjęła plan Balcerowicza potulnie, niczym dopust z nieba?

— To nieprawda. Najlepszym dowodem są nasze rozmowy z przedstawicielami rządu. Prowadzimy je od października, spotykając się najczęściej z ministrem Jackiem Kuroniem i posłem Janem Lityńskim, pełnomocnikiem rządu ds. kontaktów ze związkami zawodowymi. W ostatnich spotkaniach uczestniczyliśmy wspólnie z kolegami z OPZZ. Wiedząc o tym, byliśmy pełni obaw, że nasza „konkurencja" wystąpi z atakiem na politykę rządu, a my damy się wciągnąć w rolę związku prorządowego. O dziwo, nic takiego nie zaszło. To my, jak dawniej atakowaliśmy. To oni, jak dawniej, byli ugrzecznieni, chociaż — muszę to przyznać — ich i nasze postulaty są zbieżne.

— Czego dotyczą te postulaty?

— W kwestiach socjalnych poddaliśmy ostrej krytyce działalność biur zatrudnienia, które zupełnie nie są przygotowane do bezrobocia. Podobnie nie przygotował się do bezrobocia rząd, nie organizując odpowiednio wcześnie całego systemu prac interwencyjnych o charakterze komunalnym. A przecież nasze miasta są brudne i zaniedbane, pracy powinno wystarczyć.

— A problemy przemysłu lekkiego?

— Uważamy, że przemysł lekki musi wreszcie zacząć zarabiać na siebie. Przez 45 lat zarabiał — wraz z rolnictwem i przemysłem spożywczym — na inne, deficytowe gałęzie gospodarki, takie np. jak przemysł hutniczy i wydobywczy. Sądzę, że nie mamy dziś w Polsce, oprócz przemysłu lekkiego, żadnej innej branży, która mogłaby stać się lokomotywą postępu.

— Poproszę o konkretne postulaty?

— Szerszy dostęp do kredytów, które dla „lekkiego" powinny być preferencyjne. Właściwa polityka celna, polegająca na znoszeniu niepotrzebnych barier w handlu, ale również na ich stawianiu, gdy chodzi o ochronę rodzimej produkcji. Zalewa nas obecnie odzież i tekstylia z Dalekiego Wschodu. Bez wątpienia, produkowane są taniej, ale rządy na całym świecie starają się chronić interesy własnego przemysłu, bo za nimi stoją budżety domowe dziesiątków tysięcy obywateli.

— Tymczasem odpowiedź rządu jest stanowcza: żadnych preferencji, bez wyjątków?

— Niezupełnie. Minister Jacek Kuroń zapewnił, iż przedstawi nasze postulaty na obradach KERM-u. Odpowiedzi należy się spodziewać pod koniec kwietnia. Po drugie — coraz częściej mówi się o ulgach w programie Balcerowicza. Nie wątpimy, że dotyczyć one będą głównie przemysłów dochodowych, a zatem i lekkiego. A w ogóle, to byliśmy zaskoczeni, że nikt inny, tylko my pierwsi podnieśliśmy te postulaty. Być może było to następstwem dziwnego w końcu faktu, że minister przemysłu Syryjczyk nie znalazł dotąd czasu, aby spotkać się z kadrą kierowniczą naszego przemysłu.

— Jak by pan określił stopień porozumienia, jaki osiągnęliście w czasie tych rozmów z przedstawicielami rządu?

— Minister Jacek Kuroń i poseł Jan Lityński to ludzie, których poznałem już dawno, gdy nie zajmowali jeszcze tak znakomitych stanowisk. Darzę ich nadal szacunkiem, ale nie zmienia to smutnej konstatacji, że nie ma obecnie pomiędzy nami porozumienia — mam na myśli problemy przemysłu lekkiego, a także stosunek rządu do bezrobocia. Zapytałem ministra Kuronia, dlaczego nie dotrzymał słowa, danego na spotkaniu w „Obrońcach Pokoju", że nie będzie redukcji w „lekkim". Odpowiedział, że się pomylił... To nas zupełnie nie satysfakcjonuje, a czas nagli. Zaufanie ludzi do rządu ma swoje granice.

— Czy widać już oznaki zniecierpliwienia?

— Proszę pana, jeżeli ludzie w fabrykach wyzywają nas od nowej nomenklatury, jeśli potrafią powiesić plakat, że „brygada pracy socjalistycznej pod wodzą (tu następuje nazwisko przewodniczącego „S" w zakładzie) będzie pracować w czynie społecznym na rzecz OKP i Komitetu Obywatelskiego", jeżeli coraz częściej słyszy się w kolejkach złorzeczenia na związek, to trzeba się zastanowić, czy wszystko jest tak, jak miało być. Nie mogę po raz trzeci i czwarty powtarzać, że należy zdobyć się jeszcze na cierpliwość, bo w końcu stracę wiarygodność.

— Czy jest nadzieja, że wkrótce skończy się recesja?

— Dyrektorzy mają nadzieję, że zatrzyma się w czerwcu, i że wtedy zacznie się powoli boom. My uważamy, że dno kryzysu osiągniemy w czerwcu. Nawarstwią się wówczas skutki zapowiadanych już dziś masowych zwolnień.

— Jak wysokie może być wówczas bezrobocie?

— Poseł Lityński ocenia je na 400 do 500 tys. ludzi. My sądzimy, że będzie około 1,5 mln bezrobotnych. Szacunki te są zbieżne z przewidywaniami Międzynarodowego Funduszu Walutowego, co poseł Lityński przyznał. Jeżeli proces recesji nie zatrzyma się w maju lub czerwcu, w całym kraju znajdzie się na lodzie 200 tysięcy włókniarzy, a w Łodzi może być 50 tysięcy bez pracy.

— Gdy dojdzie do wybuchu niezadowolenia, co będzie z „Solidarnością"?

— Jeżeli plan Balcerowicza nie powiedzie się, to my — działacze związkowi z fabryk — przeznaczeni jesteśmy na pożarcie.

— Nie można powiedzieć, aby rząd „Solidarnościowy" postawił was w wygodnej sytuacji...

— Chciałbym powiedzieć we własnym imieniu: dla mnie to już przestał być rząd „Solidarnościowy". Powtarzam, że są tam ludzie, których cenię i szanuję. Ale powiem panu jedno: my, działacze związkowi, traktowani jesteśmy przez ten rząd gorzej niż traktowali nas komuniści w 1980 roku.

— Co na to władze związku, co na to przewodniczący?

— Proszę poczekać, zobaczymy co będzie na zjeździe.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
ANDRZEJ GĘBAROWSKI

Z tej ziemi.

Ludzie zadecydują co jest słuszne

23.04.1990.

1.

Lech Wałęsa zdecydowanie wygrał wybory na przewodniczącego NSZZ „Solidarność". Jego najgroźniejszy kontrkandydat — Andrzej Słowik otrzymał 54 głosy. A mimo to jestem pełen uznania dla Andrzeja Słowika. Z dużą uwagą i podziwem słuchałem w radiu jego odpowiedzi udzielanych pytającym go delegatom. Mówił spokojnie, rzeczowo, konkretnie, niczego nie ukrywał, nie uchylał się od odpowiedzi, nie dawał wymijających. Pokazał dużą klasę. A mimo to przegrał. Popularność i autorytet Lecha Wałęsy są nie do pokonania. Wydaje mi się jednak, że czas Andrzeja Słowika dopiero nadejdzie.

2.

Delegaci II Zjazdu NSZZ „Solidarność" przyjęli uchwałę o możliwości łączenia funkcji związkowych z parlamentarnymi. Zjazd jeszcze trwa i trudno o pełną jego ocenę. Jednak ta uchwała musi zastanowić. W Polsce nie tak dawno protestowano przeciw łączeniu funkcji. I słusznie, bo to w konsekwencji przynosi więcej szkody niż pożytku. Władza zaczyna zamykać się w kręgu tych samych ludzi. To może zrodzić przekonanie o ich nieomylności i wszechwiedzy. Poważne to niebezpieczeństwo. Na tę chorobę zmarła między innymi PZPR. Ta choroba jest niebezpieczną dla każdego ruchu niezależnie od jego ideowych wartości. Można tylko mieć nadzieję, że NSZZ „Solidarność" uchroni się przed nią. Wątpliwości jednak w tym względzie pozbyć się nie można i nie należy.

3.

Wielu ludzi — nie tylko członków związku — zastanawia się nad przyszłością NSZZ „Solidarność": partia to jest, związek zawodowy, czy ruch społeczny? Andrzej Słowik zwraca uwagę na niebezpieczeństwo utraty związkowego charakteru. Podobnie myślą niektórzy inni przywódcy regionów, jak choćby Jan Rulewski. Większość jednak zdaje się podzielać pogląd Lecha Wałęsy, że powinien to być ruch społeczny o charakterze związkowym. Partią polityczną NSZZ „Solidarność" stać się nie może, gdyż jest brzemienna wieloma partiami. Ale też chwila „rozwiązania" ciągle jest odsuwana w przyszłość, bo urodzenie się nowych partii musi doprowadzić do ograniczenia działalności „Solidarności" tylko do spraw związkowych. I tego — jak się wydaje — obawia się najbardziej Lech Wałęsa. Może się zgodzić na taki krok dopiero wówczas, gdy zasiądzie w Belwederze.

4.

To prawda, że układ sił politycznych w polskim społeczeństwie 1990 roku jest zupełnie inny niż w polskim Sejmie w tym samym czasie. PZPR przestała istnieć, jej posłowie albo przeszli do SdRP albo do PUSd, albo pozostali bezpartyjnymi. Inny charakter mają członkowie dawnej koalicji: ZSL i SD. Ruch chłopski jest podzielony, a PSL „Odrodzenie" szuka w nim swego miejsca, gdyż musi odbudować zaufanie chłopów i uzyskać wiarygodność. Narodziło się w tym czasie wiele nowych partii. Ponoć jest ich już 63 i można założyć, że będzie więcej. Ile? Trudno powiedzieć, bo jedne powstaną, inne upadną. Jak to w życiu. *„Odrodzenie starych myśli politycznych w nowej sytuacji* — napisał w „Tygodniku Solidarność" Stefan Kisielewski — *oto skutek wieloletniej politycznej próżni stworzonej przez totalitaryzm"*. Można więc spodziewać się, że niektóre stare partie oparte na starej myśli politycznej w nowych warunkach będą musiały zejść na margines i oddać miejsce nowym partiom, których jeszcze nie znamy, których poród nie jest łatwy z różnych względów.

Co z tego wynika? Ano wniosek, że trzeba zrobić nowe wybory do parlamentu, w których dać możliwość walki o mandaty wszystkim siłom politycznym. Dla sił dziś władzę sprawujących jest to dość ryzykowne. Sprawowanie bowiem władzy jest o tyle niebezpieczne, że nie budzi uznania u różnych grup społecznych, a wręcz przeciwnie. Tę prawdę już w XV wieku dostrzegł Niccolo Machiavelli.

„Niech ci się nie zdaje — pisał w słynnej książce „Książę" — *by jakikolwiek rząd mógł kiedykolwiek wybrać zupełnie bezpieczny sposób postępowania, przeciwnie, pamiętaj, że każda pod tym względem decyzja jest bardzo wątpliwa, bo leży to już w naturze rzeczy, że kto stara się uniknąć jednej niedogodności, popada w drugą, lecz właśnie na tym zasadza się mądrość, by poznać rodzaj tych niedogodności i za korzystne uznać to, co jest złem mniejszym"*.

Ba! Ale Niccolo Machiavelli nie przewidział sytuacji, kiedy każde zło będzie gorsze i trzeba będzie ratować gospodarkę przy pomocy wstrząsowej kuracji.

5.

W radiowych „Sygnałach dnia" zaraz po dzienniku z godziny 7 są „Punkty widzenia". Mówią tam o różnych rzeczach różni ludzie. Właśnie wystąpił Józef Kuśmierek, który ubolewał nad tym że ludzie chcą, aby ich okłamywać. Uważa on, że jego pracodawcą jest czytelnik. On płaci bowiem za to, co mu drukują. To prawda! I każdy autor powinien dbać o to, aby nie stracić uznania i zainteresowania czytelnika. Bo bez czytelnika przestaje istnieć. To też prawda! Ale Józef Kuśmierek jest przerażony tym, że obecnie czytelnik chce, aby mówić mu nieprawdę, aby pocieszać go, że już wszystko jest dobrze i zaraz będzie lepiej. A to jest nieprawda. Dziennikarz — powiada Józef Kuśmierek — musi mówić swemu czytelnikowi prawdę, tylko prawdę i całą prawdę. Jeśli tego nie będzie robił, czytelnik się od niego odwróci. A tu taki paradoks. Ten czytelnik chce kłamstwa, aby mieć dobre samopoczucie, aby żyć złudzeniami. On chce zapewnień, że będzie lepiej, a fakty wskazują, że będzie gorzej.

Mnie to jednak nie dziwi. Przez całe lata wmawialiśmy naszym czytelnikom, że *„krzywa rośnie"*, i choć mamy *„przejściowe trudności"*, to przecież będzie lepiej. I oni teraz tego też chcą. Na zasadzie przyzwyczajenia.

Co zatem? Wyjście jest jedno. Robić swoje. Czyli mówić to, co się myśli, opierając się o fakty, posługiwać się argumentami, mówić prawdę, nawet, gdyby była ona przykra i mało optymistyczna. Innego wyjścia nie widzę!

6.

W „Punktach widzenia" wystąpił też Jacek Maziarski, który zwrócił uwagę na inne przyzwyczajenie. Otóż przyzwyczailiśmy się do tego, że jedno jest słuszne a inne niesłuszne i o tym decyduje się niejako z góry, albo — jak kto woli — z urzędu. Natomiast zdaniem Jacka Maziarskiego to nie urząd czy instytucja powinny o tym decydować, co jest słuszne a co nie, ale sami ludzie.

Te uwagi wzięły się z tego, że w wielu miejscowościach powstały różne komitety wyborcze czy obywatelskie, które chcą desygnować swoich ludzi do samorządu. Komitety te zwalczają się często wzajemnie, jedne utrzymują, że są słuszne, inne — ich zdaniem — nie są słuszne. I odwrotnie. Bo tak było do tej pory. Ale czy to znaczy, że tak być musi dalej?

Pisałem już kilkakrotnie, że jestem zdecydowanym przeciwnikiem jedności za wszelką cenę, jedności sztucznej w rezultacie, która tylko przynosi szkodę. Dlatego zgadzam się z punktem widzenia Jacka Maziarskiego, że o słuszności różnych ugrupowań powinien wypowiedzieć się wyborca w trakcie głosowania. Bo słuszne jest to, co ma społeczne poparcie! To zdaje się jest podstawowy warunek demokracji?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Oczekiwanie na orzeczenie historyków

Głos w sprawie Juliana M.

Dowiaduję się z prasy, że niejaki Julian Marchlewski z Rynku Starego Miasta oczekuje na wyrok w sprawie o sprawiedliwość dziejową wniesionej przez Bałucki Komitet Obywatelski przed trybunał historyków z Uniwersytetu Łódzkiego. Przedmiotem sprawy jest ustalenie, czy zasługi J.M. dla Polski są aż tak istotne, że winien on nadal spoglądać z cokołów ufundowanych mu przed laty pomników.

Wielokrotnie oceniana zasługi Juliana Marchlewskiego w różnych dziedzinach życia umysłowego, pasja publicystyczna, wiedza i osiągnięcia naukowe nakazują żywić szacunek dla tego niewątpliwie wybitnego działacza polskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego, komunisty i bolszewika z przekonania. Pełen utopijnych marzonek system polityczny, wdrażany przez Lenina i jego współpracowników, przedkładał wyzwolenie społeczne ponad samostanowienie narodów. Wbrew pierwotnym deklaracjom bolszewików prowadził prosto do imperializmu stalinowskiego i wielkoruskiej supremacji w radzieckiej rodzinie narodów.

Julian Marchlewski, mimo ogromnej wiedzy historycznej, nie dostrzegł niebezpieczeństwa, tkwiącego w doktrynie bolszewizmu, dając się wykorzystać do antypolskich spisków politycznych, zawiązywanych przez komunistów przeciw młodemu państwu polskiemu. 28 października 1918 r. został mianowany posłem RFSRR w Polsce, ale nie uzyskał akredytacji. Nie zdawał sobie być może wówczas sprawy z agenturalnego wobec Moskwy charakteru przedstawicielstw dyplomatycznych w krajach ościennych.

Mało kto dzisiaj wie, że na początku lat dwudziestych naczelnikiem oddziału Czeki i wywiadu wojskowego przy radzieckim poselstwie w Warszawie był Polak z pochodzenia, dawny członek PPS, kawaler orderu „Czerwony Sztandar" i przyjaciel Feliksa Dzierżyńskiego — Mieczysław Łoganowski. Z inspiracji Łoganowskiego inny Polak, emisariusz Kominternu, Jan Sosnowski, przygotował w 1923 r. zamach na Józefa Piłsudskiego w Sulejówku, nie wykonany z powodu osobistego zakazu Dzierżyńskiego, który sprzeciwił się aktowi terroru wobec Naczelnika Państwa. W gronie zaufanych Feliks Dzierżyński groził, że po zwycięstwie rewolucji sowieckiej w Polsce osobiście postawi Marszałka „pod ścienkę" i własną ręką go rozstrzela.

Zatrzymawszy się w Warszawie 13 marca 1919 r. w drodze powrotnej z Zagłębia Ruhry do Moskwy, spotkał się Julian Marchlewski z szefami resortu spraw wewnętrznych: ministrem Stanisławem Wojciechowskim i jego zastępcą Józefem Beckiem, znajomym ze wspólnej działalności w Związku Robotników Polskich. Próbował bezskutecznie znaleźć kompromis w zaostrzających się wzajemnych stosunkach polsko-radzieckich.

Stojąc na czele Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski w sierpniu 1920 r. dążył do proklamowania Polskiej Republiki Rad, ogłosił w jego imieniu zaciąg do formowanego w Białymstoku Pierwszego Pułku Strzelców, złożonego z Polaków — kolaborantów, opowiadających się po stronie władzy radzieckiej. Komitet sprawował do 20 sierpnia 1920 r. nieograniczoną władzę w woj. białostockim i w przylegających doń powiatach woj. warszawskiego i lubelskiego. W skład Komitetu wchodzili: Feliks Kon, Edward Próchnik, Feliks Dzierżyński i Józef Unszlicht. Jak ongiś targowiczanie wierzyli w moc imperatorowej, tak Julian Marchlewski i jemu podobni czuli się bezpieczni tylko pod osłoną pułków Armii Czerwonej.

Po nieudanej próbie przewrotu w Polsce Julian Marchlewski wrócił do Moskwy, wkrótce jednak z woli Lenina wstąpił do służby dyplomatycznej, pełniąc różne funkcje w Finlandii, Japonii i w Chinach. W połowie 1923 r. zrewoltowany proletariat niemiecki zamierzał siłą przejąć władzę w państwie i zorganizować je na wzór sowiecki. Po zabójstwie Karola Liebknechta i Róży Luksemburg Komunistyczna Partia Niemiec nie była w stanie sprostać zadaniu utworzenia rządu, zwróciła się więc o pomoc do Moskwy. Dyplomata sowiecki G. Z. Biesiedowskij ujawnił przed laty skład ekipy, kierowanej przez ZSRR do Niemiec z misją sformowania komunistycznego rządu. W skład ekipy wchodzili znani ekonomiści Piatakow i Łaryn, wojskowi Unszlicht, Tuchaczewski i Dersin, czekiści Jagoda, Peters i Kryłow, a także Julian Marchlewski. Na szefa rządu desygnowano polskiego Żyda Karola Radka, bliskiego współpracownika Lenina, członka prezydium Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej. Harmonię w tym gronie zakłócał fakt, że Józef Unszlicht, uwiódłszy swemu ziomkowi Radkowi żonę, psuł mu opinię przed szefem Czeki Feliksem Dzierżyńskim.

Wiara w zwycięstwo międzynarodowego proletariatu zagłuszała w Julianie Marchlewskim uczucie patriotyzmu. Chciał nieść swym rodakom wolność na sowieckich bagnetach, podobnie jak czynili to jego następcy i uczniowie. Za ten błąd powinien odpokutować schodząc z piedestału, na który go wyniosła wola władców Polski Ludowej. Nemezis jest uosobieniem wymiaru sprawiedliwości w kategoriach moralnego zadośćuczynienia. Komitet Obywatelski odwołał się do jej wyroku; czekamy na ten wyrok niecierpliwie.

ANDRZEJ KEMPA

„Każdy człowiek ma na warunkach całkowitej równości prawo, aby przy rozstrzyganiu o jego prawach i zobowiązaniach lub o zasadności wysuwanego przeciw niemu oskarżenia o popełnienie przestępstwa być wysłuchanym sprawiedliwie i publicznie przez niezależny i bezstronny sąd" — tak w Artykule 10 głosi „Powszechna Deklaracja Praw Człowieka", uchwalona 10 grudnia 1945 roku przez Zgromadzenie Ogólne ONZ. Przypomniało mi się to prawo, gdy czytałem książkę Janusza Rolickiego „Edward Gierek: Przerwana dekada".

Było powszechną praktyką — dodam: bardzo złą praktyką — że odchodzący w niesławie przywódcy partyjni nie mieli prawa obrony swego postępowania nawet przed partyjnym audytorium. Spychani byli w społeczną niepamięć, a ich nazwiska skutecznie wymazywano z wszelkich pism i publikacji. Mogli wprawdzie zabrać głos w swojej obronie, ale gdzieś poza granicami swego kraju, na co nie mieli po prostu ochoty. I oto mamy zupełnie nowe zjawisko. Przy pomocy zapisu Janusza Rolickiego głos w swojej obronie zabiera Edward Gierek. Fakt do tej pory nie notowany w tej części Europy. Fakt, który bulwersuje, wywołuje emocje, rodzi sprzeciwy. Zapowiedziano też pierwsze procesy, sąd zakazał rozpowszechnienia książki, autor i wydawca odwołali się do Sądu Najwyższego. Książka zniknęła z księgarń, pojawiła się na czarnym rynku. Jej cena

Relacja Edwarda Gierka w książce Janusza Rolickiego budzi wiele wątpliwości i rodzi wiele pytań.

Widok z dołu

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

wzrosła niepomiernie w stosunku do nominalnej. Co będzie dalej? — zobaczymy.

Edward Gierek ma prawo do subiektywnego widzenia przeszłości, której był głównym architektem. Patrzy na tę przeszłość z wyżyny sprawowanej przez siebie funkcji, z perspektywy znanych sobie faktów i dokumentów. My patrzymy na lata 1971—1980 z zupełnie innej perspektywy. Niejako od dołu. Dostrzegamy nie tylko sukcesy tamtej dekady, ale i jej braki oraz błędy, których Edward Gierek może nie dostrzegać, może nawet nie chcieć dostrzegać. Niemniej dla pełnego obrazu lat 1971—1980 potrzebny jest również i jego punkt widzenia.

Chciałbym zatem niektóre punkty widzenia Edwarda Gierka przedstawione w rozmowie z Januszem Rolickim uzupełnić o punkty widzenia od dołu, nie tylko przez to, co sam widziałem i przeżywałem, ale też i o rzeczy zasłyszane, które — moim zdaniem — wymagają wyjaśnienia, uzupełnienia, dopowiedzenia.

1.

Gdy czyta się syntetycznie przedstawiony program rozwoju Polski, uniezależnienia jej od ZSRR, przyśpieszenia jej rozwoju cywilizacyjnego, to trudno odmówić temu programowi racji. Ale jednocześnie...

Oto cytat z książki Mieczysława F. Rakowskiego „Rzeczpospolita na progu lat osiemdziesiątych":

„Dzisiaj nikt, kto ma choćby bardzo ograniczony kontakt ze społeczeństwem, nie może twierdzić, że jest ono zadowolone z warunków, w jakich żyje. Społeczeństwo jest znużone pokonywaniem codziennych trudności. Ktoś wymyślił określenie „nastroje kolejkowe". *To prawda, że takie istnieją, ale ten, kto je potępia, kto wzywa do ich zwalczania, powinien najpierw zadać sobie pytanie, co jest przyczyną, a co skutkiem".*

W roku 1971 pracowałem w „Trybunie Ludu". Był to czas powszechnej euforii. Wszyscy na ogół cieszyli się, że „siermiężny socjalizm" Władysława Gomułki zostanie zastąpiony „oświeconym socjalizmem" Edwarda Gierka. Otwarcie na Zachód, nowoczesność, budownictwo, motoryzacja, epoka sukcesu. Ludzie byli tego spragnieni. Mało kto dziś jednak pamięta, że w tym czasie dokonywała się rewindykacja stołówek i świetlic poprzednio zajętych przez przedsiębiorstwa na magazyny lub pomieszczenia produkcyjne. To było pierwsze pociągnięcie nowej ekipy. I może nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie wielka propagandowa wrzawa, jaką wokół tego uczyniono.

Można zrozumieć, że programy nie rodzą się natychmiast, że — jak to Edward Gierek wielekroć podkreśla — nie były to warunki sprzyjające, dla dokonywania rewolucyjnych pociągnięć programowych. Wokół byli stróże dogmatów: na wschodzie, zachodzie i południu. To wszystko prawda, ale prawdą też jest, że trwały nadal strajki. Przyznaje to Edward Gierek. Strajkowano w stoczniach, w kopalniach, strajkowały załogi łódzkich fabryk przemysłu lekkiego. W farbiarni „Uniontexu" jedna z kobiet podczas nocnego wiecu w lutym 1971 roku powiedziała:

— Ja po prostu nie mam co dzieciom włożyć do garnka!

Cóż tej kobiecie było po pokoju śniadaniowym, gdy nie miała co wziąć ze sobą na to śniadanie?

Polska w dekadzie 1971—1980 rosła w siłę — to prawda, ale lepiej żyło się nie wszystkim ludziom. Pod koniec dekady pojawiły się — jak to odnotował Mieczysław F. Rakowski — *„nastroje kolejkowe"*. Edward Gierek broniąc swojej koncepcji mówi o wybudowanych fabrykach, sprowadzonych licencjach, postępie cywilizacyjnym, budownictwie, Dworcu Centralnym, Wisłostradzie w Warszawie, trasie Warszawa — Cieszyn, Porcie Północnym, Hucie Katowice, fabrykach samochodów, ale nie wspomina o *„nastrojach kolejkowych"*.

2.

Strajki w tamtych czasach były karygodnym zjawiskiem, prawnie niedozwolonym, ideologicznie szkodliwym. Jak mogli „właściciele Polski Ludowej" — czyli przodująca klasa robotnicza — strajkować przeciw samym sobie. Rzecz w tym, że przodująca klasa robotnicza po prostu nie czuła się „właścicielem" Polski Ludowej. Jej rzeczywistym właścicielem czuł się zupełnie kto inny, komu żyło się zasobniej. I przodująca klasa robotnicza buntowała się. Takie były fakty.

Edward Gierek wielekroć w swojej wypowiedzi przypomina, że dostarczano mu różnych informacji, że ludzie, którzy mieli go rzetelnie informować, często dezinformowali. Może więc i obraz dekady lat siedemdziesiątych jest fałszywy w jego widzeniu, bo na fałszywych danych został oparty?

Przypomina mi się taka historyjka. Strajki w tamtych latach nazywano *„przestojami"*. Obowiązywała zasada, że gdy gdzieś zaczął się *„przestój"*, najpierw wzywano siły partyjne, aby dogadać się ze strajkującymi i jak się to udawało, to „nie było sprawy". Jak nie — to trzeba było informować o fakcie władze zwierzchnie. Informowały o tym komitety partyjne i służba bezpieczeństwa. Aliści jedni podawali inne dane, a drudzy inne. Dane te lądowały w KC PZPR na czyimś biurku i ten ktoś miał kłopot: które dane są prawdziwe? Wziął więc za telefon, zadzwonił do województwa: *— Co tam się u was dzieje? Ile w końcu było tych strajków? Wy co innego, a SB co innego? Zróbcie z tym jakiś porządek!*

I zrobili. Od tej pory, nim dane szły do Warszawy, sektory informacji obu instytucji uzgadniały dane telefonicznie i w wyniku tych uzgodnień do Warszawy, i z komitetu, i z SB, szły dokładnie takie same meldunki. Był porządek, tylko czy była prawda?

3.

Edward Gierek ciągle powtarza w książce „Edward Gierek: Przerwana dekada", że miał wrogów, wymienia niektórych z imienia i nazwiska. Uważa, że przegrał nie na skutek społecznego niezadowolenia, ale na skutek intryg i spisków. Mam na ten temat inny pogląd. Nie zmienia to faktu, że ekipa Edwarda Gierka miała licznych przeciwników. Jej program ukształtowany właściwie na VI Zjeździe PZPR budził liczne sprzeciwy różnych grup ludzi. Najczęściej tych, których interesom zagrażał. W tym średniej warstwie aparatu partyjnego i administracyjnego.

Nie pamiętam w którym to było roku, ale w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych niewątpliwie, spotkałem na rogu Zielonej i Zachodniej Stanisława Januszewskiego — w Łodzi znanego jako Andrzeja Stajana, byłego naczelnego redaktora „Dziennika Łódzkiego". Był już na emeryturze. On to wówczas powiedział: *— Słuchaj, Gierek nic nie zrobi, jeśli nie rozbije średniego aktywu. Zobaczysz jeszcze, jak to się skończy.*

I miał rację. A że miał rację dowodzi inna historia, za autentyczność której nie ręczę, opowiadam tak, jak ją usłyszałem, choć są przesłanki wskazujące na jej prawdziwość.

Było to też w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych. Odbywał się właśnie w Pradze kolejny zjazd KPCz., na którym była polska delegacja z Edwardem Gierkiem na czele. W tym czasie do KC PZPR, do Wydziału Organizacyjnego przyjechał instruktor z KW PZPR w Olsztynie. Załatwił swoje sprawy i zapytał kogoś: *— A kto od was będzie jutro na zjeździe u nas?*

Zapytany zachował zimną krew. *— Poczekajcie, zaraz się dowiem.* — I pobiegł do swoich kierowników. Wrócił i zapytał: *— A co to właściwie za zjazd?* — Okazało się, że do Olsztyna przyjeżdża Mieczysław Moczar — wówczas jeszcze członek Biura Politycznego KC PZPR i kilku pierwszych sekretarzy z kilku województw. Do ambasady w Pradze poszła iskrówka. I następnego dnia na lotnisku pod Olsztynem wylądował wojskowy samolot, z którego wysiadł... Edward Gierek. Spotkanie się odbyło, ale z jego udziałem.

To już pamiętam, że z pewnym zdziwieniem zobaczyłem na ekranie telewizora Edwarda Gierka w jasnym garniturze idącego pomiędzy urządzeniami jakiejś fabryki w Olsztynie w otoczeniu grupy sekretarzy. Zdziwienie moje wzięło się stąd, gdyż wiedziałem, że powinien przebywać w Pradze. A okazało się, że był tego dnia w Olsztynie. Wkrótce potem Mieczysław Moczar przestał być członkiem Biura Politycznego KC PZPR i został szefem NIK. Co zresztą Edwardowi Gierkowi i wielu innym na dobre nie wyszło. Ale to już inna historia.

4.

Sam fakt pobytu Edwarda Gierka w Olsztynie zapewne nikogo nie zdziwił, gdyż była to już moda na *„gospodarskie wizyty"*. Łódź też przeżywała taką wizytę. Dokładnie sprawdzono ekipę dziennikarską, która miała tę wizytę obsługiwać. Ustalono program. Wizytowane zakłady pracy już dużo wcześniej wiedziały o tym i przygotowywały się do tego w „należyty sposób".

W Łodzi — jak wiadomo — spaliła się drukarnia przy ulicy Franciszka Żwirki. Pobudowano więc nową przy ul. Armii Czerwonej. Uznano ją za najnowocześniejszą w Europie, co było daleko idącą przesadą, ale wtedy ze wszystkim przesadzano. Była to bowiem epoka „propagandy sukcesu". Ówczesny — nieżyjący już — dyrektor Zakładów Prasowych RSW „Prasa-Książka-Ruch" podszedł do problemu z całą odpowiedzialnością. Pracownikom uszyto nowe stroje robocze, wymalowano całą drukarnię, a nawet na czas wizyty ruszyły stojące od dłuższego czasu zegary. Zatrzymano je zaraz po opuszczeniu drukarni przez dostojnych gości. Dziś chodzą normalnie, ale i czasy są dziś inne. Po co to wtedy i komu było potrzebne?

Po Polsce krążyła anegdota na temat takiej wizyty na wsi. Na czas wizyty chłopu wstawiono meble, kolorowy telewizor, dywany, do obory wprowadzono buhaja i piękne krowy, do chlewni — drobne świnie. Gdy po *„gospodarskiej wizycie"* przyjechano zabrać, chłop się sprzeciwił: *— Jak mi zabierzecie, to wszystkim opowiem, skąd to się u mnie i dlaczego wzięło.* — I dano spokój.

Ile w tym prawdy, nie wiem. Ale na Retkini opowiadali mi mieszkańcy, że na czas takiej *„gospodarskiej wizyty"* zasadzono drzewa i pomalowano na zielono trawę.

5.

Propaganda sukcesu miała przekonywać ludzi, że *„Polak potrafi"*, miała być antidotum na minione lata „zgrzebnego socjalizmu" Władysława Gomułki. Dziennikarze przyjęli początkowo „propagandę sukcesu" bez sprzeciwu. Kraj zamieniał się w wielki plac budowy i zdawało się, że przyniesie to oczekiwane skutki: — będzie nam się lepiej żyło. Ale „propaganda sukcesu" nakładała coraz większe ograniczenia. Przede wszystkim „Trybuna Ludu" i „Nowe Drogi" były poza wszelką krytyką. Polemizowanie z tym, co napisano w „TL" lub w „ND" było zakazane. Odważny autor mógł się narazić na srogie nieprzyjemności. W ogóle sprzeciwianie się w tym czasie nie było w modzie.

W połowie dekady, bo już po reformie podziału administracyjnego — jeśli mnie pamięć nie myli — przyjechał do Łodzi na spotkanie Kazimierz Rokoszewski — ówczesny kierownik Wydziału Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR. Dokonywano właśnie nowego podziału kraju na strefy informacyjne. Programy lokalne radia i TV przeniesiono do programów pracujących na falach ultrakrótkich, co znakomicie ograniczyło ich zasięg. I co znakomicie sprawdziło się w czasie strajków sierpniowych 1980 roku. Taki podział był doskonałym sposobem blokowania obiegu informacji.

Narada w budynku KŁ PZPR przebiegała w atmosferze sielankowej. Wszystkim się wszystko podobało. Wtedy nie wytrzymałem i — choć mnie proszono, abym milczał — powiedziałem kilka słów na temat bzdurności sposobu wykonywania założeń „propagandy sukcesu". Nie mam zamiaru *„robić za kombatanta"*. Po prostu piszę, jak było. A było tak, że Kazimierz Rokoszewski — o którym Edward Gierek mówi, że był człowiekiem Stanisława Kani — jeździł po kraju i opowiadał, jacy to wrogowie „propagandy sukcesu" są w Łodzi. Zastanawiano się nad tym, czy przypadkiem dla przykładu nie wyrzucić mnie z PZPR. Ujęli się wtedy za mną Tadeusz Lewandowski i Grzegorz Przysiężny.

„Propaganda sukcesu" była tylko jednym z elementów teatralizacji życia politycznego w Polsce. Andrzej Feliks Grabski co piątek zakładał się ze swoimi doktorantami o butelkę koniaku, że dziś DTV zacznie się od pokazania osoby Edwarda Gierka. I... wygrywał. Edward Gierek mówi, że był temu nieustannemu pokazywaniu go przeciwny, ale przekonano go, że jest to potrzebne dla... aktywu partyjnego, aby wiedział, kto kieruje partią, i że tak jest w innych krajach również, nawet w zachodnich, gdzie pokazuje się ludziom stale ich przywódców. Tylko że telewidzowie doskonale wiedzieli, że w Polsce jest to wynik licznych i pracowitych starań i zabiegów reżyserskich i że bardzo mało to ma wspólnego z rzeczywistością, w której oni tkwią stale.

Edward Gierek wspomina, że Leonid Breżniew dyrygował śpiewaniem „Międzynarodówki" podczas obrad VII Zjazdu PZPR, a ja jestem przekonany, że to było podczas obrad VIII Zjazdu PZPR. Byłem gościem tego zjazdu przez jeden dzień, siedziałem „na jaskółce" i doskonale słyszałem tubalny szept Leonida Breżniewa, który siedział w prezydium i przez cały czas z kimś, o czymś tym tabalnym szeptem rozmawiał.

Opowiadano mi — ale już po Zjeździe i nie mogłem tego sprawdzić, choć informatorowi wierzę — że Jan Szydlak miał za zadanie... gładzić się dłonią po głowie, a wtedy rozmieszczeni na sali klakierzy rozpoczynali klaskanie. Za nimi klaskali delegaci. Nie był to jedyny przykład teatralizacji życia politycznego w Polsce tamtych czasów.

6.

Muszę się zastrzec, że są to wstępne refleksje, jakie nasunęły się przy lekturze książki Janusza Rolickiego „Edward Gierek: Przerwana dekada". Można zarzucić im, że są powierzchowne. Chciałem tylko pokazać, że widok z góry i widok z dołu są bardzo różne. Pokazałem kilka przykładów odbioru tego, co inaczej widziano z góry, a inaczej odbierano z dołu. *„Gospodarskie wizyty"* — może i pożyteczne w zamiarze — okazały się przejawem teatralizacji życia społecznego i budziły więcej śmiechu niż uznania. W końcu zaczęły budzić zniecierpliwienie.

Lektura tej książki rodzi szereg pytań. Kilka też postawionych przez Edwarda Gierka wymaga polemiki. Przyjdzie na to czas, gdy minie zakaz rozpowszechniania książki. Trudno bowiem dyskutować o czymś, co jeszcze w pełni nie funkcjonuje w społecznym obiegu. Z polemiką i poszukiwaniem odpowiedzi na rodzące się po lekturze książki pytania poczekajmy zatem jakiś czas. Do tematu obiecuję powrócić.

ze str. 1

się plotka rozniosła, to ani jej nie potwierdzaliśmy, ani jej nie dementowaliśmy.

W rezultacie ekstradycji zginęło 70 tysięcy ludzi. I działo się to już po wojnie, która w Europie zakończyła się 9 maja 1945 roku.

Drugi akt tragedii.

Relacja z londyńskiego procesu jest niepełna. Nie obejmuje bowiem drugiego aktu tragedii, który miał miejsce w mieście Lienz nad rzeką Iselą. Tutaj, w myśl dyspozycji dowództwa brytyjskiego, w czasie prawosławnej Wielkanocy rozłożyli się taborem Kozacy znad Kubania i Donu, którymi dowodził generał Piotr Krasnow. Ten sam, który podczas Rewolucji Październikowej w Piotrogrodzie stanął przeciwko bolszewikom po stronie rządu Aleksandra F. Kiereńskiego, a w latach 1918—19 oblegał Carycyn na czele Armii Dońskiej. Potem wyemigrował do Niemiec. W czasie II wojny światowej współdziałał z hitlerowcami na okupowanych terytoriach ZSRR.

Pod Lienz znalazły się walczące przedtem u boku Niemców pułki kubańskie, dońskie, a także pułk syberyjski i pułk kałmucki, wchodząc w skład XV Kozackiego Korpusu Kawaleryjskiego ROA. Okupacyjną władzę wojskową sprawował nad nimi 8 batalion szkocki, którego oficjalna nazwa brzmiała Argyll and Sutherland Highlanders 8 Batalion. Jednostka ta, słynąca z bezwzględnego wykonywania rozkazów, odznaczyła się w walkach w Tunezji, a pod koniec wojny działała w składzie 78 dywizji brytyjskiej, którą dowodził brygadier, późniejszy generał-major R.K. Arbuthnott.

Szkoccy górale wyruszyli 7 maja 1945 roku z Tolmezzo na północy Italii przez alpejskie przełęcze z zadaniem rozbrojenia we wschodnim Tyrolu wszystkich napotkanych formacji niemieckich. Uprzedzono ich, że w Karyntii znajdować się będzie „dywizja" — to słowo podano im w z lekka ironicznym tonie — a właściwie horda składająca się z przeciwników obecnego ustroju w Rosji, którzy przeszli na stronę wroga i stali się najmitami niemieckimi.

Powyższe sformułowania zaczerpnąłem z książki Józefa Mackiewicza „Kontra", wydanej przez paryską „Kulturę" w 1957 roku. Zainteresowała mnie swego czasu, gdyż dotyczyła jednostek, z którymi jako kilkunastoletni chłopiec zetknąłem się w 1944 roku w województwie łódzkim.

Pamiętałem „własowców" i „kałmuków" — jak ich wówczas nazywano. Werbowano ich spośród dezerterów, wyłuskiwano w obozach jenieckich, zwracając specjalną uwagę na przedstawicieli narodów, które wykazywały sympatie proniemieckie.

Cytat z Józefa Mackiewicza: *„Na ręce generała von Mansteina, zdobywcy Krymu, delegacja Tatarów złożyła dary w postaci drogich tkanin, z prośbą, aby zechciał je przekazać „oswobodzicielowi spod jarzma bolszewickiego, Adolfowi Effendi".*

Także Józef Mackiewicz: *„Szczepy Kabardyńców i Bałkarów kaukaskich wręczyły byłemu konsulowi niemieckiemu kpt. Brautigam, pięknie wycyzelowaną, nabijaną szczerym złotem uzdę na konia, z prośbą o wręczenie tego podarunku Hitlerowi w dowód wdzięczności za wyzwolenie".*

„Nie obchodzą mnie dzikie narody kaukaskie".

Te słowa wypowiedział Adolf Hitler 9 maja 1941 roku. I dodał: *„Mnie obchodzi tylko ich nafta".* Józef Mackiewicz podaje, że w obozie pod Częstochową z trzydziestu tysięcy Turkmenów Einsatzkommando SD pozostawiło przy życiu tylko dwa tysiące. W korespondencji Marka Brzezińskiego z Londynu wspomniana została zła sława, która towarzyszyła „162 dywizji Turkonańskiej". Chodzi niewątpliwie o 162 dywizję Turkmeńską, a właściwie Turkmeńsko-Azerbejdżańską, której żołnierze dopuścili się wielu okrucieństw w północno-wschodnich Włoszech. Tam nazywano ich „Mongolami". Ja zaś pamiętam spotkanych na ulicach Łodzi wysokich, o smagłych twarzach, żołnierzy w mundurach Wehrmachtu z tarczą na lewym ramieniu, na której prężył się w skoku tygrys albo żbik, z napisem „Tadschikistan". Szukałem tego „Tadschikistanu" na mapach brytyjskich kolonii, gdyż moja wiedza geograficzna była wówczas znikoma. Z wielkim zaskoczeniem odnalazłem go w Azji radzieckiej. Nic z tego nie mogłem pojąć.

Adolf Hitler swoich chwilowych sojuszników antybolszewickich uważał za „untermeschów" i traktował jako podludzi. Odrzucił propozycje Wathera von Brauchitscha, aby wykorzystać narody wschodnioeuropejskie i radzieckie jako równouprawnego sojusznika przeciwko Sowietom. W maju 1943 roku na naradzie sztabowej z generałami, popierającymi ruch generała Andrieja Własowa, odniósł się nieufnie do rosyjskiej kontrrewolucji antybolszewickiej. Przy okazji powiedział o Polakach: *„Wystawią armię po to, aby... wyzwolić Polskę".* Według Józefa Mackiewicza tworzenie rosyjskich oddziałów zbrojnych odbywało się z cichej inicjatywy poszczególnych hitlerowskich dowódców, najczęściej przed najwyższym dowództwem ukrywanej. Fakt wszakże, że były to oddziały liczne. Niektóre narody radzieckie za gesty przyjaźni pojedynczych osób wobec Adolfa Hitlera bądź za udział swoich przedstawicieli w kolaborujących z Niemcami oddziałach, zapłaciły rozwiązaniem autonomicznych republik i zesłaniem całej ludności.

Wielkie oszustwo.

Nad Iselą, gdzie na żołnierzy brytyjskich *„nie nakładano jakiegoś specjalnego ograniczenia użycia siły"* (określenie lorda Aldingtona na londyńskim procesie) górale szkoccy wzięci do niewoli Kozaków potraktowali początkowo z galanterią. Przedstawiciel armii brytyjskiej tak przemówił do rozbrojonej „hordy".

„Kozacy! Brytyjski rząd Jego Królewskiej Mości bierze was pod swoją opiekę. Niech nikt nie wierzy pogłoskom, że was mają wydać Sowietom! Rząd brytyjski zamyśla przenieść Was do Kanady lub do Australii. Sprawa nie jest jeszcze rozstrzygnięta. Na razie was mało znamy. Dlatego proszę, abyście zachowali dyscyplinę i posłuszeństwo waszym dowódcom. Własnym swoim zachowaniem najskuteczniej będziecie mogli obalić oskarżenie, wysunięte przeciw wam ze strony Związku Sowieckiego, że jesteście nie armią, lecz „bandą". Przeprowadźcie dowód, że tak nie jest".

Znów zacytowałem książkę Józefa Mackiewicza „Kontra". Jej autor, młodszy brat premiera polskiego rządu emigracyjnego w Londynie Stanisława Cata-Mackiewicza, zmarł w 1985 roku, nie mógł zatem stanąć jako świadek przed londyńskim sądem. Ciekawe, czy sędziowie brytyjscy znali jego opowieść o wydarzeniach w Karyntii w 1945 roku? Książka ta tłumaczona była na wiele języków. Choć nie pada w niej nazwisko lorda Aldingtona, dotyczy tych samych wydarzeń. I niechlubnej roli, jaką odegrała w nich armia brytyjska.

Kozaków oszukano. 23 maja 1945 roku zawarta została w Wiedniu umowa z Rosjanami o ich wydaniu władzom ZSRR. Cytowana przemowa miała miejsce 24 maja. W kilka dni później jednostki XV Kozackiego Korpusu Kawaleryjskiego sformowano w kolumnę marszową. Przeprowadzono rewizję osobistą.

Józef Mackiewicz, który pytany o narodowość odpowiadał: *„jestem antykomunistą"*, tak opisuje tę część wydarzeń w Karyntii:

„Chłopcy walijskiej gwardii obszukują każdego i zabierają, co się komu podoba: zegarki, pieniądze, drobiazgi osobiste... Grupa oficerów brytyjskich stoi oddzielnie i paląc, nie patrzy w tę stronę".

Rankiem 29 maja 1945 r. brytyjski generał, którego nazwiska polski pisarz emigracyjny nie podaje, wystąpił przed front oficerów kozackich i oświadczył zimno:

Na mocy umowy zawartej pomiędzy rządem Jego Królewskiej Mości i rządem Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich wszyscy Kozacy, zarówno oficerowie jak szeregowi, a także ich rodziny, zostaną przekazani władzom sowieckim".

Wówczas to z ust Kozaków padły słowa: *„Wolimy umrzeć z głodu niż wrócić do ZSRR".* Pewien sotnik podszedł do brytyjskiego generała i poprosił przez tłumacza o wydanie po jednym naboju dla każdego, aby wszyscy mogli popełnić samobójstwo. Któryś z prawosławnych duchownych zaczął odmawiać głośno modlitwy za konających. Szkoccy górale plunęli pod nogi Kozaków ostrzegawczymi strumieniami ognia z miotaczy, które wypaliły wokół jeńców trawę. Zaczęły się ataki histerii.

„Tegoż samego dnia, 29 maja 1945 roku, wyprowadzono zza drutów pułki kozackie XV Korpusu. Niektóre zapewniano, że zostaną załadowane i powiezione do Włoch".

To, oczywiście znów Józef Mackiewicz. Nieco inaczej brzmi jego świadectwo niż słowa lorda Aldingtona o okolicznościach, w jakich rodziła się plotka, do autorstwa której po pół wieku Brytyjczycy nie chcą się przyznać. Józef Mackiewicz:

„Dlaczego do Włoch?" — pytano. — *„Tam są już wasi oficerowie". Większość Kozaków wierzyła. W rzeczywistości jednak skierowano ich w stronę przeciwną. Mianowicie do Judenburgu, gdzie za mostem, na lewym brzegu rzeki Mur, stały już posterunki sowieckie".*

W rękach NKWD.

Wydawanie kadry rozpoczęło się 1 czerwca 1945 roku. Towarzyszyły mu dramatyczne sceny. Kozacy zrywali z siebie dystynkcje oficerskie i ordery, zdzierali czerkieski. Darli dokumenty. Niektórzy zrzucali z szyi krzyżyki święte i deptali je nogami. Powiesił się dziennikarz Eugeniusz Tarusskij. Zastrzelił się generał Sitkin. Następnie włożył głowę w pętlę oficer kozacki nazwiskiem Charłamow. Po nim kolejny Kozak. Tłum prawosławnych i muzułmanów zawodził do Boga o zmiłowanie. Szkoci grzmocili Kozaków pałkami i kolbami.

O godzinie 8 rano zakończono ładowanie oficerów do ciężarówek. Łącznie wydano władzom radzieckim 35 generałów, 167 pułkowników, 283 podpułkowników, 375 esaułów, 460 podesaułów, 526 sotników, 756 chorążych oraz około 150 urzędników wojskowych, lekarzy, fotografów, duchownych. Tylko jedną trzecią stanowili obywatele radzieccy, którzy przeszli na stronę Niemców. Dwie trzecie kadry oficerskiej wywodziło się z białej emigracji.

Dwu oficerów otruło się w drodze do Judenburga. Piętnastu zostało zastrzelonych w czasie próby ucieczki. Podczas wywózki żołnierzy doszło do masakry. Niektórzy Kozacy rzucali się pod gąsienice angielskich czołgów. Sporo ludzi utonęło w Drawie. Wśród ofiar były kobiety i dzieci. Główna masakra miała miejsce na placu w Peggetz. Łącznie z samobójcami podczas likwidacji obozów w Karyntii zginęło około stu osób.

Z największą determinacją bronili się Kaukazczycy. Znaczna część Karaczajów, stojących obozem pod Oberdrauburgiem, uszła w góry z rodzinami, końmi, dobytkiem, a nawet częściowo z bydłem. Tyraliery żołnierzy brytyjskich, czołgi i samoloty ścigały Kabardyjczyków i Osetyjczyków. W austriackich kościołach biły dzwony.

Ogółem z terytorium południowej Austrii wydano Kozaków i ich rodzin 50 do 55 tysięcy. W sądzie londyńskim była mowa o 70 tysiącach przymusowo repatriowanych. Zatem Jugosłowianie stanowili pośród nich 15 do 20 tysięcy.

Ci, których wywieziono na Wschód, nie trafili do ojczystych domów. Zamiast nad Don, Kubań, Terek, **do aułów Kaukrymskich.** Te dane pochodzą również z książki Józefa Mackiewicza.

W przypisach do „Kontry" Józef Mackiewicz ocenił, że w 1944 roku we wszelkiego rodzaju formacjach antybolszewickich, włącznie z ROA i RONA, znajdowało się 1.200.000 do 1.600.000 ludzi. Wliczone tu są kurenie i sotnie UPA, ukraińskie jednostki SS, partyzantka antyradziecka, różne narodowe „legiony", oddziały litewskich szaulisów, policja białoruska, straże obozowe.

„Fakty te, do dziś dnia, z różnych względów, których omawianie zaprowadziłoby za daleko, nie są przyjmowane chętnie do wiadomości i traktowane przez opinię publiczną jako raczej drażliwe".

Tak konkludował w przypisach do książki „Kontra" jej autor w 1957 roku. Proces londyński, który odbył się przeszło trzydzieści lat później dowiódł, że niewiele się pod tym względem zmieniło.

Zamiast post scriptum.

Pierwsze propozycje stworzenia 200-tysięcznej rosyjskiej armii antyradzieckiej padły w październiku 1941 roku. Odpowiedni memoriał na ten temat opracował oficer sztabu niemieckiej grupy armii „Mitte" płk. Henning von Tresckow. Hitler nie przyjął memoriału do wiadomości. Sprawa odżyła, gdy w 1942 roku dostał się do niewoli radziecki generał Andriej Własow, który wyraził chęć kolaboracji z Niemcami. Własowcami nazywano także inne, nie podległe Andriejowi Własowowi, kolaboracyjne formacje, organizowane przy boku Wehrmachtu i SS. Na ziemiach polskich działały w 1942—1944 roku bataliony „legionów wschodnich" (Ostlegionen), formacja majora Dolla oraz oddziały Rosyjskiej Wyzwoleńczej Armii Narodowej — RONA, znane jako brygada SS Mieczysława Kamińskiego. Ten były kapitan Armii Czerwonej, urodzony w 1896 roku w Poznaniu z matki Niemki i ojca Polaka, zasłynął najpierw z niszczenia radzieckiej partyzanki na Białorusi, potem wyróżnił się gwałtami na ludności cywilnej podczas powstania warszawskiego. W swoich grabieżach i okrucieństwach przekroczył wszelkie granice. Naraził się nawet Niemcom. Heinrich Himmler, kiedy dowiedział się o jego łupach, rozkazał go aresztować. Kamiński próbował ujść w Karpaty. Na południe od Tarnowa dopadli go ludzie szefa krakowskiego gestapo, Bierkampa. Został zamordowany. Jego brygada wraz z całym taborem cywilnym włączona została do armii Andrieja Własowa.

Pierwszym oficerem Armii Czerwonej, który przeszedł na stronę Niemców, był na początku wojny major Kononow, który uformował sześć sotni kozackich pod Mohylewem. W czerwcu 1943 roku kozacy Kononowa przerzuceni zostali do Mławy. Stali się kadrą samodzielnej dywizji kozackiej, na czele której stanął pułkownik Helmut von Pannwitz, powieszony w trzy i pół roku później w Moskwie.

Helmut von Pannwitz był protegowanym pułkownika hr. Clausa von Stauffenberga, oficera sztabu generalnego. Tego samego, który w lipcu 1944 roku dokonał w Kętrzynie nieudanego zamachu na Adolfa Hitlera. Stauffenbergowi nie podobała się polityka uprawiana przez Hitlera na wschodzie. Chciał pozyskać jak najwięcej Rosjan do walki z bolszewikami.

Adolf Hitler nadal nie dowierzał kontrrewolucyjnie nastawionym Rosjanom. Kiedy pod Kurskiem na stronę radziecką przeszło 1.300 żołnierzy z prohitlerowskich formacji, kazał wycofać ich jednostki z Polski do zachodniej Europy. W ten sposób większość Kozaków trafiła na Bałkany, do Włoch, Danii, Grecji, Francji, Norwegii, Holandii.

W Mławie zdążono sformować 1 Doński, 2 Syberyjski, 3 i 4 Kubańskie, 5 Doński i 6 Terski pułki 1 Dywizji Kozackiej, tudzież baterię artylerii konnej. Przed wymarszem dywizji na front bałkański odebrał jej defiladę przebywający na emigracji pod Berlinem wódz kozactwa dońskiego generał Piotr Krasnow. Ta właśnie dywizja, po walkach z armią Josipa Broz-Tity i wojskami bułgarskimi, trafiła do Karyntii, gdzie spotkał ją dramatyczny koniec. Kozacy, których jako dziecko spotykałem koło Łodzi, należeli do Stanu atamana T. Domanowa. Tak nazywano na dawnej Rusi obozowiska wojskowe. Była to odrębna jednostka, która z rejonu Nowogródek-Baranowicze przybyła na początku lipca 1944 roku na prowizoryczne legowisko w Zduńskiej Woli. Stąd Niemcy próbowali przerzucić Kozacki Stan Domanowa do walki z powstaniem w Warszawie. Kozacy oparli się temu żądaniu, tłumacząc, że jako formacja kawaleryjska nie nadają się do walk ulicznych w mieście. Erich von dem Bach-Zelewski wytargował od nich jedynie nieznaczny oddział pod dowództwem płk. Bondarenki. We wrześniu 1944 roku skierowano ich do północnych Włoch. Tam spotkał ich taki sam los jak Kozaków, których koniec wojny zastał w Austrii.

Jesienią 1944 roku w czasie walk na Bałkanach dywizja kozacka z Mławy przekształcona została w XV Kozacki Korpus Kawaleryjski. Pod koniec wojny składał się on z trzech dywizji. Kozacki Stan ze Zduńskiej Woli, stacjonujący w okolicach Tolmezzo, liczył 20 tysięcy ludzi, a wraz z rodzinami Kozaków — 40 tysięcy. W dorzeczu Padu znajdowała się ponadto wspomniana już 162 dywizja Turkmeńsko-Azerbejdżańska oraz samodzielny rosyjski pułk „Wariag", a w górach w rejonie Paluzzo rozłożył się Korpus Kaukaski Sułtana Kelecz-Gireja. W północnych Włoszech wychodziła gazeta „Kozackaja Ziemla". W obłędne plany Adolfa Hitlera wchodziło prawdopodobnie osiedlenie tu oddziałów kozackich i kaukaskich. Amerykanie, którzy natknęli się na Turkmenów w bitwie pod Via Aurelia, sądzili, że mają do czynienia... z Japończykami. Dużo własowców przechodziło do partyzantki włoskiej, w której walczył po ucieczce z niemieckiej niewoli m.in. syn marszałka Siemiona Timoszenki. Był przyjacielem księdza, noszącego partyzancki pseudonim „Don Camillo". Gdy wchodzili ramię w ramię do wyzwalanych wsi i miast witały ich napisy na murach *„Viva il Papa!"* oraz *„Viva Stalin"!*

Przemieszało się to wszystko, splotło w gordyjski węzeł. Przecięła go armia brytyjska. Dziś stawia się pytanie, czy Kozaków nie należało odesłać do Eisenhowera. Lord Aldington, jak wiadomo, odpowiedział na nie z żołnierską brutalnością: *„Uważam, że Eisenhower też by ich oddał Stalinowi".*

RYSZARD BADOWSKI

Chcieli umrzeć z głodu byle nie wracać do ZSRR

Józef Mackiewicz prezentuje

Fakty mało znane

Wiemy o tym, że u boku Wehrmachtu i w Waffen SS walczyły obce narodowo formacje. Wiemy, że do tych formacji wstępowali między innymi jeńcy radzieccy. Wiemy, że u boku Niemców w drugiej wojnie światowej walczyli Ukraińcy, Kozacy, Azerbejdżanie, Włosi, Rumuni, Hiszpanie, Norwedzy i tak dalej. Zwykliśmy żołnierzy formacji składających się z narodów ZSRR nazywać w uproszczeniu „własowcy", choć jest to błąd merytoryczny. Bardzo zdolny radziecki generał — Andriej Własow, po przejściu do niemieckiej niewoli, dopiero we wrześniu 1944 roku otrzymał zgodę Adolfa Hitlera na sformowanie trzech dywizji jako Ruskoj Oswoboditielnoj Armii — ROA. Wcześniej istniała Ruskaja Oswoboditielnaja Narodnaja Armia — RONA Bronisława Kamińskiego. Niektórzy wymieniają jego imię jako Mieczysław. Tak więc w powstaniu warszawskim nie mogli walczyć „własowcy", skoro ROA dopiero zaczynała się formować. Walczyli żołnierze RONA — Bronisława Kamińskiego. Ale to tak na marginesie.

W Polsce — z oczywistych do tej pory względów — mało znana jest twórczość Józefa Mackiewicza. Był to człowiek, który narażał się wszystkim: i tym z lewa, i tym z prawa, i tym ze środka. Urodził się w 1902 roku w Sankt Petersburgu, wychował się w Wilnie. Był bratem Stanisława Cata Mackiewicza, publicystą, dziennikarzem i pisarzem. W 1940 roku rzucił pracę dziennikarską i został furmanem i drwalem. W 1943 roku na zaproszenie Niemców i za zgodą wileńskiej AK pojechał do Katynia. W 1949 roku ukazała się jego książka „Zbrodnia w lesie katyńskim". Od 1945 roku wraz z rodziną przebywał w Monachium. Zmarł w 1985 roku. Pozostawił po sobie kilka książek: „Droga donikąd", „Sprawa pułkownika Miasojedowa", której reprint właśnie ukazał się w księgarniach, „Lewa wolna", „Nie trzeba głośno mówić", „W cieniu krzyża", „Watykan w cieniu czerwonej gwiazdy". Jego powieści można określić mianem literatury faktu. Taką powieścią jest też „Kontra", która ukazała się w Paryżu w 1957 roku.

„Kontra" opowiada o dziejach ruchu kozackiego — antybolszewickiego. Opowiada na przykładzie rodziny Kolcowych — Kozaków z naddońskiej stanicy. Opowiada też o mało u nas znanych faktach powstania i działania ruchu antybolszewickiego w czasach drugiej wojny światowej.

„Prawdopodobnie nigdy nie uda się ustalić dokładniej daty — pisze w „Kontrze" Józef Mackiewicz — *kiedy mianowicie i gdzie na olbrzymich przestrzeniach Rosji pojawiły się pierwsze, antysowieckie oddziały zbrojnej ludności podczas drugiej wojny światowej. Być może do jednych z pierwszych zaliczyć by wypadało batalion ochotniczy pod Briańskiem. Być może sześć sotni kozackich uformowanych w Mohylewie pod dowództwem byłego majora armii czerwonej, Kononowa. Na obszarze całego zaplecza armii niemieckiej, wszędzie gdzie na rozkaz Moskwy zrzucani spadochroniarze organizowali partyzantkę, samorzutnie i żywiołowo powstają oddziały antypartyzanckie".*

„Kontra" jest opowieścią o wielkim pragnieniu Kozaków powrotu do odrzuconych nie przez nich tradycji, o pragnieniu wolności i o tym, jak ich oszukali najpierw Niemcy, a następnie Anglicy. Deportacja Kozaków do ZSRR stanowi wstrząsający obraz. A przecież jest to prawdziwy obraz. Dziś po latach wraca się do tych zbrodniczych faktów i usiłuje się je ponownie i jednoznacznie oceniać. W „Archipelagu GUŁag" Aleksandra Sołżenicyna są podobne fakty o samobójstwach ludzi, którym wbrew ich woli i siłą kazano wracać do ZSRR.

WITOLD BOROWY

Robi się coraz niebezpieczniej, potrzebna jest pomoc sąsiedzka, aby można było ustrzec się złodziei.

Policji lubić nie trzeba

MONIKA MATUSZAK

Pod koniec 1989 r. milicyjne statystyki zapotowały gwałtowny wzrost przestępczości. W listopadzie wszczęto w Łodzi 2805 postępowań przygotowawczych (kiedy zachodziło uzasadnione przypuszczenie, że popełniono przestępstwo), w grudniu — już 4333. W ciągu całego 1989 roku wszczęto w mieście 22 472 postępowania. W wykazach liczb bezwzględnych, nie uwzględniających specyfiki województw, charakteru miast ani stosunku ilości wszczętych postępowań do ludności zamieszkującej dany teren, Łódź w zakresie przestępczości znajduje się na czwartym miejscu po Warszawie, Katowicach i Gdańsku.

Zanotowano pewien wzrost ilości zabójstw. Jest więcej przestępstw przeciwko życiu i zdrowiu, ale nie tak dużo jak kradzieży. 80 procent — to wykroczenia przeciw mieniu. Rzecznik prasowy WUSW kpt. Adam Antczak otwarcie przyznaje, że jest to zupełna klęska, z którą milicja (a teraz policja) mimo dobrych chęci nie może sobie poradzić.

— Brakuje sprzętu, wielu ludzi odeszło ze służby i nie ma kto patrolować miasta. Nie wykrywamy wcale mniej przestępstw niż do tej pory, ale zalała nas fala, na którą nie byliśmy przygotowani.

Jest prawidłowością, że gdy następuje kryzys wielu wartości, wzrasta stopień anarchizacji życia społecznego. Barometrem braków na rynku jest wykaz skradzionych przedmiotów. Kiedyś ginęły akumulatory i opony, teraz łupem złodziei padają maszyny szwalnicze, overlocki, a także dostępny w sklepach, ale bardzo drogi sprzęt audiowizualny. Tygodniowo dokonuje się 600—700 kradzieży z włamaniem, w których przepada mienie wartości około 1 miliarda złotych.

Pewien wpływ na sytuację miała amnestia. Do tej pory zatrzymano 12 wcześniej zwolnionych, którym udowodniono popełnienie przestępstw Niektórym grupom społecznym po prostu nie opłaca się pracować. Dotychczas nie stwierdzono, aby do wykroczenia zmusiła autentyczna bieda, natomiast o ile wcześniej kradziono raczej używki, to teraz ginie już nie tylko alkohol, kawa i papierosy, ale również węgiel, ziemniaki, mięso.

Najwięcej postępowań przygotowawczych wszczyna się na Bałutach i na Górnej. W tych dzielnicach popełnianych jest najwięcej przestępstw przeciwko mieniu. Za to większość napaści i rozbojów notuje się w Śródmieściu, gdzie przez centrum dziennie przewijają się setki tysięcy ludzi z różnych części miasta i spoza Łodzi.

Gros włamań dokonuje się w nowych blokach. Ułatwia to anonimowość panująca na osiedlach, gdzie sąsiedzi z jednej klatki schodowej w ogóle nie znają się. Również źle zabezpieczone, a pełne atrakcyjnych towarów prywatne sklepy i warsztaty rzemieślnicze stają się częstym terenem penetracji osób niepowołanych.

Złodzieje zazwyczaj działają na pewniaka i są dobrze zorganizowani. Dysponują szybkimi samochodami, a nierzadko i krótkofalówkami. Prowadzą obserwację interesujących ich obiektów, mają własnych odbiorców i dobre rozeznanie, co warto kraść. Są młodzi i wysportowani, spuszczenie się na linie z dachu nie stanowi dla nich żadnego problemu. Pomaga im fakt, że działają w warunkach ograniczonego zaufania społecznego do organów ścigania.

— Ludzie mają do policji pretensje między innymi o to, że nie przyjeżdża natychmiast po wezwaniu* — mówi kpt. Adam Antczak. — *Na przykład 14 marca na terenie województwa miejskiego łódzkiego odnotowano 78 wydarzeń, w tym: 1 samobójstwo, 2 rozboje, 6 kradzieży z włamaniem do obiektów uspołecznionych i 60 do obiektów prywatnych, 1 spekulację i 7 kradzieży na szkodę osób fizycznych. U nas też jest kolejka, stąd opinia, że nie reagujemy. Jak wszędzie, nie wszyscy są wzorowymi funkcjonariuszami. Nie ma szkoły janczarów — ludzi bierze się z ulicy. Zarobki w milicji dla mężczyzny nie są konkurencyjne w stosunku do innych zawodów. Brakuje chętnych do OPMO.

W milicji (policji) już rozpoczęto reorganizację, ale jeszcze wiele pozostało do zrobienia. Trzeba dokonać takich przemian, aby policjant pilnował porządku na ulicy, a nie prowadził buchalterię i statystykę. Większość obywateli nie zna swoich dzielnicowych. W komisariatach wakują miejsca. Dzielnicowi obsługują po dwa rejony, wypełniają papierki, odpowiadają na pisma, przygotowują postępowania, i praktycznie nie wychodzą zza biurka. Kluczem do rozwiązania problemu jest prewencja.

Collage: Grzegorz Gałasiński

Przy WUSW powstała 90-osobowa etatowa kompania wywiadowcza. Jest to grupa szybkiego reagowania złożona z ludzi młodych, sprawnych, dobrze przygotowanych i jak na nasze warunki nieźle wyposażonych. Jest wysyłana w miejsca szczególnie zagrożone. Ma większą skuteczność działania i wykryła już sporo przestępstw. Kpt. Adam Antczak nie kryje, że w WUSW wiąże się z kompanią spore nadzieje.

Zanim znów pojawią się granatowi policjanci, zanim policja odzyska dobre imię, zanim posterunki będą miały samochody zdolne dogonić zachodnie wozy i zanim przystąpimy do Interpolu, warto póki co zastanowić się jak samemu sobie pomóc, a przy okazji nieco odciążyć służby porządkowe.

Nauka zwana wiktymologią stwierdza, że niektóre osoby mają cechy potencjalnych ofiar napaści, i że zazwyczaj stają się nimi naprawdę. 99 procent ofiar mogło przypuszczać, że niepewna znajomość może zakończyć się smutno. W większości przypadków przyczyną przestępstwa jest wódka — rozboje dokonywane są na nietrzeźwych, pod wpływem alkoholu dochodzi do scysji, bijatyk i zabójstw.

Miejscami szczególnie zagrożonymi są nie parki, jak się powszechnie uważa, ale tereny bezpośrednio przylegające do lokali takich jak np. „Casanova". Z reguły przestępstwo ma początek właśnie tam. Ulice Abramowskiego, Wschodnia, Wólkiennicza nie cieszą się najlepszą sławą, jednak dla przybyszy z zewnątrz nie są zbyt niebezpieczne, tam odbywają się raczej lokalne rozgrywki.

Jak wynika ze statystyk, najczęstszymi przestępstwami są kradzieże. Co zatem zrobić, aby ustrzec się przed wizytą nieproszonych gości w mieszkaniu? Przede wszystkim należy zaopatrzyć się w solidne, ale nie rzucające się w oczy drzwi z porządnymi zamkami. Kraty w oknach zabezpieczają ich właściciela, ale są zagrożeniem dla sąsiada piętro wyżej — mogą posłużyć włamywaczom jako drabina. W blokach, gdzie zainstalowano domofony, praktycznie nie notuje się włamań dokonywanych z klatki schodowej. Ewentualni złodzieje dostają się do mieszkań tylko z zewnątrz. Należy pamiętać o zamykaniu piwnic, zaopatrywaniu komórek w porządne kłódki i obiciu ażurowych drzwi tak, aby przez szpary nie można było wypatrzeć, co znajduje się w środku.

Najlepszym i najskuteczniejszym zabezpieczeniem jest zaprzyjaźniony, czujny sąsiad, który sprawdzi źródło podejrzanego zamieszania i hałasu, a w czasie nieobecności właściciela mieszkania nie tylko podleje kwiaty, ale i włączy na jakiś czas radio, zapali światło, odbierze telefon — jednym słowem stworzy pozory, że ktoś jest przez cały czas w domu.

Ważną sprawą, ułatwiającą odnalezienie utraconych w wyniku włamania rzeczy, jest umiejętność ich opisania. Warto odnotować sobie na specjalnej kartce numery fabryczne wszystkich przedmiotów, które je posiadają. Nie zawsze zachowa się gwarancja, z której można je odtworzyć, a ostatnio złodzieje zabierają nie tylko sprzęt grający, ale również karty gwarancyjne, aby uniemożliwić identyfikację. Posiadaczom rzadkich dzieł sztuki odnalezienie skradzionej kolekcji mogą ułatwić fotografie przedstawiające zaginioną własność.

Nie wszyscy dostatecznie strzegą swego mienia i zapominają, że są stosunkowo proste i tanie metody zabezpieczeń, czy może utrudnień dla potencjalnego włamywacza. Złodziei kuszą zainstalowane w pojazdach radiood-twarzacze, głośniki czy pozostawione na siedzeniach paczki. Autoalarm, świecąca dioda, laska założona na kierownicę mogą skutecznie zniechęcić amatora cudzych samochodów.

Nie należy odtwierać drzwi obcym osobom, były wypadki, że złodzieje podawali się nawet za funkcjonariuszy milicji. Brak zaufania do domokrążców może uchronić przed różnego rodzaju oszustami i utratą dorobku całego życia. Wystarczy zdrowy rozsądek i odrobina wyobraźni.

Zbyt rzadkie są jeszcze przypadki współpracy obywateli z policją. W Anglii ludzie poczytują sobie za zaszczyt możliwość podpowiedzenia czegoś policji, u nas wciąż pokutuje negatywne nastawienie do tego typu działalności i jednoznaczna ocena: kapuś, donosiciel. Zdarzało się i tak, że przygodni obserwatorzy pomagali przestępcy w ucieczce, szczując psami tych, którzy chcieli go zatrzymać.

Policji nie trzeba lubić, ale czasami w interesie społecznym i własnym dobrze jej pomóc.

■

Dlaczego zarzucono pomysł uruchomienia kolei obwodowej w Łodzi?

Jest pomysł na szybki tramwaj!

Niedawno Marian Strzelecki na łamach „Rzeczypospolitej" przypomniał koncepcję włączenia linii kolejowej PKP do miejskiej komunikacji w Łodzi. Pomysł taki narodził się w 1973 roku i stanowił fragment „Kompleksowego rozwoju Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej do 1990 roku". Dziś, gdy się o tych planach czyta, wydają się one być fantastyką naukową. Zakładano wtedy, że w 1990 roku — a więc mniej więcej teraz — odda się do użytku pierwszą linię metra w Łodzi.

W 1973 roku też byli realiści i sceptycy i zakładali, że gdyby nie udało się zbudować metra, to można przynajmniej włączyć do układu komunikacyjnego kolej obwodową. A jeśli udałoby się i jedno i drugie, to byłby z tego tylko wielki pożytek dla mieszkańców Łodzi. Ale nie udało się ani jedno, ani drugie i nadal mamy kłopoty komunikacyjne.

Na czym polegał pomysł z koleją obwodową?

Uważne przyjrzenie się planowi Łodzi pokazuje, że z trzech stron wlewa się do miasta strumień komunikacji kolejowej: z Koluszek, Pabianic, Kutna. Strumienie te mają wewnętrzne połączenie. Tory PKP biegną obok osiedli: Radogoszcz, Teofilów, Dworzec Kaliski, Retkinia, Chojny, Olechów, Widzew, przez Stoki do Zgierza. Pomysł polegał zatem na włączeniu tego strumienia komunikacyjnego w obieg miasta i stworzeniu możliwości rozwiezienia pasażerów z ruchu podmiejskiego po Łodzi. Jednocześnie mogła powstać wewnętrzna szybka komunikacja pomiędzy wielkimi osiedlami, z których większość leży w pobliżu torów obwodnicy. W kilku miejscach obwodnica PKP styka się z komunikacją tramwajową i autobusową. Logicznym zatem wydawało się, że połączenie tych dwu komunikacji może przynieść miastu korzyści. Marian Strzelecki pisze nawet, że „pobudowano dodatkowe przystanki osobowe, które dziś porastają trawą".

Była jeszcze inna koncepcja, która łączyła się z koncepcją włączenia obwodnicy PKP do ruchu miejskiego. Była to koncepcja połączenia dworca Łódź Fabryczna z dworcem Łódź Kaliska linią średnicową, która biegłaby wykopem wzdłuż ulicy Gabriela Narutowicza, Zielonej i dalej do dworca Łódź Kaliska. Koszt wybudowania wykopu byłby ogromny i pomysł zarzucono, choć co prawda rozpoczęto wyburzanie południowej strony ulicy Gabriela Narutowicza z taką właśnie myślą.

Dlaczego zarzucono pomysł z koleją obwodową?

Powody — jak to u nas zwykle — były bardzo prozaiczne. Po pierwsze — linia obwodowa należy do PKP, które stanowią państwo w państwie i co opłaca się i jest wygodne PKP nie musi opłacać się i być wygodne miastu i innym ministerstwom. Po drugie — PKP tłumaczyły się, że obwodnica obsługuje ruch tranzytowy, towarowy i osobowy na liniach w kierunku Kutna, Sieradza i Koluszek oraz Katowic czy Warszawy i trzeba byłoby położyć — przynajmniej na niektórych odcinkach — dodatkowe dwa pasma torów tylko dla komunikacji obwodowej. Po trzecie — nie można było — co dziś wydaje się śmieszne — skalkulować tak ceny biletów komunikacji na linii obwodowej, aby były one w logicznej wzajemnej relacji z cenami komunikacji MPK. PKP — po prostu — nie mogły dojść w tej sprawie do porozumienia z Ministerstwem Gospodarki Komunalnej. Nie mogły, bo nie chciały! I tak pomysł upadł.

Ale problem komunikacji w Łodzi pozostał. I teraz znów wraca się do pomysłu z koleją obwodową. Lepiej później niż wcale. Nie jest to jedyny pomysł usprawnienia komunikacji. Mgr inż. Andrzej Wilczkowski udostępnił nam kopię pisma, które złożył w UMŁ, a które w sposób prosty i przy małych nakładach pieniężnych, a przy sporych zmianach organizacyjnych może przyczynić się do usprawnienia komunikacji w Łodzi na linii Północ — Południe. Jak autor utrzymuje: — jest to plan dla ubogich. Nie musimy jednak udawać, że jesteśmy bogaci. Warto więc zainteresować czytelników tym pomysłem i dlatego publikujemy poniżej zarys koncepcji szybkiego tramwaju w Łodzi.

ŁUCJUSZ WŁODKOWSKI

SZYBKA KOLEJ W ŁODZI

Uwagi wstępne

Z niniejszym opracowaniem autor starał się zapoznać władze miasta już w roku 1987. Po początkowym zainteresowaniu wiceprezydenta St. Żałobnego, mimo kilkukrotnych monitów nie zapoznano się w pełni z koncepcją. Autor w chwili obecnej ponawia próbę rozpatrzenia propozycji zdając sobie sprawę, że problem komunikacji w Łodzi z każdym rokiem staje się ważniejszy.

W naszym mieście istnieje duża możliwość wprowadzenia na linii północ-południe szybkiej kolei śródmiejskiej. (W dalszym ciągu opracowania będzie używany skrót SK). Jej stacjami końcowymi byłyby Chocianowice i Helenówek.

Na tej trasie co najmniej na 80 proc. jej długości tramwaj posuwa się po wydzielonych torach. Ułatwia to organizację takiej szybkiej linii. Już dawno na podstawie badań i obserwacji zostało stwierdzone, że tramwaj poruszający się po wydzielonym torowisku jest szybszy od autobusu, oczywiście po spełnieniu odpowiednich warunków.

Stan obecny

W chwili obecnej trasa ta na różnych odcinkach jest zajmowana przez różne linie tramwajowe. W sumie korzysta z niej 17 linii wchodząc nań i schodząc. Ten stan rzeczy całkowicie uniemożliwia jakiekolwiek usprawnienie komunikacji, zwłaszcza od czasu kiedy skręcający tramwaj przestał mieć pierwszeństwo przed jadącymi prosto samochodami. Przepis taki był konieczny ze względów bezpieczeństwa. Natomiast stanowi ogromne utrudnienie w ruchu pojazdów szynowych.

Możliwość zwiększenia przelotowości trasy

Zwiększenie prędkości podróżnej na tej trasie można osiągnąć bez znacznego zwiększenia prędkości maksymalnej pociągów. Można to osiągnąć poprzez przeznaczenie tej trasy dla jednej linii SK usuwając z niej wszystkie inne linie tramwajowe. Przyniesie to następujące korzyści:

— na skrzyżowaniach zlikwidowanie oczekiwania na to aż tramwaj innej linii będzie miał możliwość wykonania skrętu,

— zmniejszenie liczby przystanków (w tej sytuacji autobus przejąłby funkcje normalnego tramwaju).

Sprzyjać temu będzie również:

— fakt, że tramwaj po zapaleniu się zielonego światła ruszałby zawsze pierwszy (co autobusom nie zdarza się często),

— fakt, że silnik elektryczny ma przy ruszaniu lepsze własności trakcyjne od spalinowego tj. daje możliwość większych przyśpieszeń.

Uzasadnienie koncepcji

Należy wziąć pod uwagę, że Łódź jest ciągle miastem rozciągniętym bardziej na osi północ — południe niż wschód — zachód, linia SK obsługiwałaby więc lepiej znaczny procent mieszkańców. Wedle szacunkowych — z braku dostępu do ścisłych danych — obliczeń autora koncepcji wynosi to ok. 20 proc. mieszkańców aglomeracji łódzkiej.

System kolei miejskiej w Łodzi jest z dawna nie reorganizowany, wobec tego już dawno nie odpowiada potrzebom miasta. W chwili obecnej nie można liczyć na poprawę sytuacji poprzez zbudowanie w Łodzi kolei podziemnej, wobec powyższego projektowany układ mógłby poprawić komunikację komunalną w mieście na najbliższe lata. Przy odpowiedniej częstotliwości kursów SK zlikwidowałaby tłok w wagonach i czas oczekiwania na przystankach. Autor widzi możliwość przeorganizowania całej sieci komunikacji tramwajowej pod kątem rozładowania obciążenia trasy P-P.

Komunikacja tramwajowa mimo wielu mankamentów wraca czasem na Zachodzie do łask. Autor, będąc w Calgary interesował się budowaną tam od podstaw naziemną koleją miejską wchodzącą niejako w żywy organizm miasta. Wobec ogromnych kłopotów z miejscami parkingowymi w śródmieściu, wielu posiadaczy samochodów pozostawia swoje pojazdy na parkingach przy krańcowych stacjach kolei i do śródmieścia udaje się koleją miejską. W 1987 r., kiedy autor badał te sprawy, w zasadzie była w Calgary tylko jedna linia, niemniej projektowano dalszą rozbudowę. Najbliższy stacji parking posiadał ok. 1000 miejsc. W godzinach pracy znaczna część była zajęta.

Autor projektu zajmował się szczegółowo jedynie trasą P-P co nie znaczy, że nie jest możliwe powiązanie jej (a wydaje się nawet stosunkowo prostsze) z szybką linią W-Z.

Problemy przebudowy

Najpoważniejszym problemem, jaki dotychczas się wyłonił podczas rozważań, jest sieć zajezdni, względnie odpowiednich miejsc parkingowych dla tramwajów innych linii, tak aby co rano nie blokowały one trasy SK. Tej sprawy bez odpowiednich materiałów i współpracy z dysponentami łódzkich tramwajów nie da się rozwiązać.

Usunięcie innych linii tramwajowych poza SK z trasy północ — południe nie wydaje się specjalnie trudne od Helenówka do ul. Żwirki i od pl. Niepodległości do Chocianowic. Odcinek, gdzie trasa biegnie ul. Piotrkowską, wydaje się szczególnie trudny i wymaga większej ilości danych.

Celem usunięcia innych linii tramwajowych z trasy P-P tak, aby jedynie ją przecinały, a na nią nie wchodziły wymaga przebudowy torowisk na niewielkich odcinkach, zmian organizacyjnych w przebiegu linii — przede wszystkim poprzez ich skrócenie.

Sprawność funkcjonowania linii SK wymaga również kilku bocznic, do których można by było zepchnąć uszkodzone wozy bez konieczności ich transportowania do zajezdni w godzinach dużego ruchu.

Uwaga końcowa.

Autor projektu ma szereg przemyśleń dotyczących rozwiązań szczegółowych, a mianowicie przebudowy skrzyżowań z linią SK, rozmieszczenia przystanków, koniecznych zmian w układzie innych linii w tym kolei podmiejskich i inwestycji towarzyszących. Gotów jest brać udział — od początku do końca opracowywania projektu technicznego — w pracach zespołu, o ile taki powstanie.

PS. W poprzednim numerze „Odgłosów" ukazał się wywiad z dr Markiem Edelmanem, w którym dwukrotnie wspomina on o planie modernizacji komunikacji miejskiej w Łodzi opracowanym przez fachowców z Politechniki Łódzkiej. Nie mogę wykluczyć, że istnieje jakiś alternatywny plan, opracowany przez moich kolegów, o którym akurat nic nie wiem, niemniej wiele wskazuje na to, że chodzi o przedstawioną powyżej koncepcję szybkiej kolei. Przy takim założeniu muszę wprowadzić pewne sprostowania do słów dr. Edelmana. Po pierwsze, w Politechnice Łódzkiej nie ma sensu stricto fachowców od inżynierii ruchu drogowego. Po drugie, na razie nie jest to plan, a jedynie koncepcja, nad którą trzeba jeszcze bardzo długo popracować. Po trzecie, powstała ona nie w politechnice tylko w autobusie pośpiesznym linii A, który akurat posuwał się znacznie wolniej od jadącego równolegle tramwaju. Po czwarte w końcu, Politechnika Łódzka nie firmuje tej koncepcji. Odpowiedzialność za nią ponoszę tylko ja.

Oczywiście sprawia mi przyjemność, że na tyle doceniono moją koncepcję, że włącza się ją do programu wyborczego, niemniej propozycja została już ponownie złożona w Urzędzie Miasta — tym razem u prezydenta Bohdanowicza — i to nie w związku z wyborami, ale ze względu na poważne prace wykonywane akurat na tej linii. Chodziło o to, aby w przypadku przyjęcia koncepcji, pewnych prac nie zaczynać od początku.

ANDRZEJ WILCZKOWSKI

(Mgr inżynier, starszy wykładowca w Instytucie Pojazdów Politechniki Łódzkiej).

■

W zasięgu trzeciego oka (2)

Uzdrawiająca energia

JACEK INDELAK

POZA MISTYKĄ I METAFIZYKĄ

W 1973 roku Amerykanie (m.in. Cleve Backster i Marcel Vogel) potwierdzili naukowo istnienie energii uzdrawiającej (healing energy). Opracowali w toku dalszych badań kilka metod pomiaru tej energii. Obiektami doświadczeń była przede wszystkim para znanych „healerów" — Olga Worall i Alex Tanous.

Robert N. Miller sprowadził wyniki eksperymentów do takich oto rzeczowych stwierdzeń:

Ręce uzdrawiaczy emitują pierwotną energię różną od ciepła, światła lub elektryczności. Można ją wykrywać i mierzyć ilościowo, badając jej wpływ na napięcie powierzchniowe wody (tensometrem typu Du Nouy). Energia ta potrafi utworzyć kryształy z roztworów chlorku miedzi. Woda poddana działaniu uzdrawiacza zwiększa prędkość wzrostu roślin. Doświadczalnie też dowiedziono, że woda poddana działaniu energii uzdrawiającej doznaje zmian w wiązaniach wodorowych.

Przeprowadzone doświaczenia dowiodły też niezbicie, że — jak piszą eksperymentatorzy — „myśli są rzeczami" i że widzialne efekty w świecie fizycznym można wytworzyć myślowo (mentalnie) na odległość.

Ulica Łagiewnicka.

Trzecie piętro przedwojennej kamienicy, utrzymanej w nie najgorszym stanie. Wejście z klatki schodowej zamknięte na cztery spusty. Przez szybkę w drzwiach widać kwadratowy hall z dwojgiem drzwi do oddzielnych mieszkań.

Dzwonek. Otwiera pani Aleksandra i prowadzi do siebie. Mieszkanko małe — pokój z kuchnią — zadbane, schludne. Gospodyni niewysoka, siwowłosa, energiczna; o dłoniach, które musiały zaznać ciężkiej pracy fizycznej. Długa, czarna, bufiasta spódnica, czarna też bluzka, ze złotym haftem. Na piersiach metalowy — może srebrny — krzyż, spory, na długim łańcuchu o grubych ogniwach.

W pokoju — ciasno, stół i ława, kanapa, fotele, krzesła, telewizor („Neptun" z pilotem), meblościanka, w której rogu — mały ołtarz z udekorowanym bogato wizerunkiem Chrystusa, świece, kwiaty. Obrazy religijne na ścianach, książki o tej tematyce na półkach, na stole, ławie. Zwraca uwagę opasły tom w czarnym płótnie ze złoconym tytułem: „Żywot i bolesna męka Jezusa Chrystusa, Pana Naszego". Wśród współczesnych wydawnictw jest „Ojciec Pio" — album o charyzmatycznym zakonniku z San Giovanni Rotondo, który zasłynął jako wizjoner i prorok, posługiwał się telepatią i telekinezją, a także — uzdrawiał przez dotyk i na odległość. Naukowcy — przypomnijmy — usiłowali niezwykłe zdolności i umiejętności ojca Pio, jak i jego bogato udokumentowane dokonania, zracjonalizować, rozpatrując je jako zjawiska z dziedziny psychotroniki, ludzie jednak głęboko wierzący nie pozwalają tego niedawno zmarłego, a legendarnego już cudotwórcy, odrzeć z mistycznego nimbu.

I taki też stosunek do własnej działalności ma pani Aleksandra, o czym przekonuję się w czasie kolejnych spotkań, podczas których nie padają takie pojęcia, jak „biopole", „bioenergia", „bioenergoterapia", lecz — „uzdrawianie", „cudowna moc", „boska energia". Występuję incognito, w roli pacjenta, słucham tylko i obserwuję, a teraz — zdaję relację, nie komentując.

W tym właśnie pokoju, gdzie siedzimy, pewnej nocy przed laty usłyszała głos Boga, oznajmiający jej, że otrzymuje oto cudowną moc, którą ma się dzielić z ludźmi, uzdrawiając ich. Dowiedziała się wtedy nie tylko, że rozpocząć ma od leczenia własnej matki i rodziny brata, ale i w jaki sposób to czynić.

I tak się podobno zaczęło... Pani Aleksandra zaczęła potem przyjmować chorych we własnym domu, co dziś stanowi raczej margines jej działalności, zapraszana bowiem bywa w różne zakątki kraju — najczęściej w Poznańskie i Pilskie — gdzie schodzą się i zjeżdżają masowo chorzy, nierzadko po kilkaset osób dziennie. Wyjeżdża też — jak opowiada — za granicę, głównie do krajów skandynawskich i zachodnich Niemiec, gdzie ma liczne rzesze pacjentów, którzy, nierzadko utrzymują z nią stały kontakt, będąc więc w Polsce pomaga im za pośrednictwem zdjęcia lub telefonu. Telefon zresztą raz po raz zakłóca nasze spotkania.

— Dobrze, niech pan ją poprosi do telefonu — powiada w czasie rozmowy z organizatorami, jak się domyślam, jej kolejnego wyjazdu w Poznańskie. *— Tak, już widzę... O, ma pani bolesny skurcz jelit... I wątroba, woreczek żółciowy... Tak, jeszcze chwila... Już puszcza, proszę wziąć głęboki oddech... O, tak... Pomogło? To cudownie, zdrówka życzę!... A jak już będą na miejscu proszę się zgłosić do mnie, bo jest znacznie więcej do zrobienia...*

Pani Aleksandra ma wiele uleczeń udokumentowanych listami lub dziękczynnymi wpisami, niestety, bez potwierdzeń lekarskich, bo lekarze — mimo że wielu prywatnie prosi ją o pomoc — nie wykazują żadnego zainteresowania jej działalnością. Niejeden jednak przypadek dałby się, gdyby kto zechciał, zweryfikować. Są ponoć adresy, są badania lekarskie. Jak chociażby przykład emerytowanego lekarza z Olsztyńskiego, który doznawszy wylewu, pięć lat był sparaliżowany, a po wizycie tutaj, na Łagiewnickiej, zszedł na własnych nogach do samochodu. Oczywiście, podpierany z obu stron, powłóczący jeszcze nogami, bo przecież pięć lat bezwładu... Albo ten pięcioletni chłopiec przygotowywany na operację z powodu krwiaka mózgu. Tomograf komputerowy wykazał — po jednej wizycie tutaj — że krwiak się wchłonął i operacja nie była potrzebna. I tak dalej...

Relacjonuję, co słyszałem, czego jednak nie miałem możności zweryfikować.

Z moich obserwacji wynika, że szczególną domeną pani Aleksandry jest, mówiąc bardzo przyziemnie, ortopedia (zaburzenia i zniekształcenia układu kostno-stawowo-mięśniowego) oraz niedomagania układu trawiennego i wydalniczego, których przyczyn upatruje ona często w zatruciu różnymi toksynami, zwłaszcza wszelkimi produktami współczesnej cywilizacji z wytworami przemysłu farmaceutycznego na czele. Sama jest wegetarianką, domniemywać więc mogę, że większość z nas, zwykłych śmiertelników, jawi się jej jako istoty przeżarte miazmatami. W wielu więc przypadkach, co miałem okazję obserwować, leczenie zaczyna się od odtruwania organizmu: pani Aleksandra wywołuje bez trudu serie odbijań, a niekiedy — wymioty, czasem bardzo przykre dla pacjenta.

U mnie kuracja — na szczęście — rozpoczyna się od kręgosłupa, który jest odpowiedzialny jej zdaniem za mój fatalny stan fizyczny, bo — jak wnoszę ze słów pani Aleksandry — jestem kompletna ruina. Mój kręgosłup, powodując uciski na różne sploty nerwowe, uniemożliwia prawidłowe funkcjonowanie wielu narządów.

Pani Aleksandra diagnozuje ze sporej odległości, wysunąwszy dłoń przez siebie. Zamyka wówczas oczy, które przywodzą na myśl oczy niewidomego — zapadnięte głęboko, z martwymi powiekami. Podczas zabiegu leczniczego też niekiedy zamyka oczy, przez cały zaś czas — wodząc dłonią w powietrzu, zatrzymując ją w jednym punkcie i znów puszczając w ruch — w specyficzny sposób posapuje przez nos. Poziewuje też od czasu do czasu — celowo zresztą, gdyż chce wywołać u pacjenta ziewanie, które — jak powiada — ułatwia cudownej energii dostęp do całego organizmu.

W moim kręgosłupie wyraźnie coś się dzieje, wiercę się na krześle ustawicznie. Odczuwam zmieniające się napięcia mieśniowe, tu coś ciągnie, tam prze lub uwiera. Prostuję się raz po raz, poruszam ramionami, kręcę biodrami. Próbuję te ruchy powstrzymać, nie na długo jednak, bo i jak długo człowiek powstrzymuje się przed podrapaniem w swędzące go miejsce?... Sugestia? Być może, ale jak — wobec tego — wytłumaczyć pochrupywanie w karku, trzaski w innych partiach kręgosłupa?

Nie kończę — mimo poniesionych już kosztów — kuracji u pani Aleksandry, bo przecież nie o moje zdrowie tu chodzi. Wznawiam reporterskie poszukiwania z legitymacją prasową w dłoni.

Wracam do punktu wyjścia — do Marzeny Kaczmarek.

Aha, mija miesiąc, na przestrzeni którego — wyjąwszy kilka krótkotrwałych incydentów — głowa mnie nie boli, jedynie silne zmęczenie daje odczucie bólu, wystarczy jednak, żebym się wyspał, wszystko mija. Katar też prawie ustał, korzonki jednak odzywają się od czasu do czasu...

Jestem na ulicy Żwirki po dwunastej. Chcę się rozminąć z pacjentami, co nie całkiem mi się udaje, gdyż w chwilę po mnie do drzwi stuka stała klientka. Twierdzi, że dysk jej wyskoczył. Z tego, co wiem, gdyby jej dysk wypadł, nie zdołałaby tu przyjść o własnych siłach. Cóż, nie moja sprawa, nie wtrącam się.

Marzena godzi się na rozmowę, pod jednym wszak warunkiem, który niniejszym spełniam, odnotowując co następuje:

Marzena Kaczmarek ma dwie młodsze siostry, trudnią się one także bioenergoterapią — Renata Pabin w Łodzi (ul. Nawrót) i Beata Łobzuch w Ozorkowie (ul. Sikorskiego). Od siebie dodam, że mają one brata — najmłodszego — Dariusza, który podobno także dysponuje paranormalnymi zdolnościami, nie wykorzystuje ich jednak jeszcze w celach zarobkowych.

Matka rodzeństwa powie mi później:

— Darek różne figle mi płata. Zajmuję się w domu chałupnictwem, a on czasem mi nie daje pracować. Potrafi mi jakby ręce nadmuchać, że same unoszą się w górę. I kieruje nimi, jak chce. Wszystko, oczywiście, bez jednego dotknięcia. I śmieje się, kiedy się na niego złoszczę.

A jego najstarsza siostra? Pytam — rutynowo — kiedy to się zaczęło? Jest nawet dokładna data: 13 czerwca 1987 roku.

— Było to w czasie przyjęcia urodzinowego Renaty — opowiada — *żartowaliśmy, wygłupialiśmy się, nagle zdenerwowały mnie okulary siostry. Zapowiedziałam, że będę ją leczyć, zaczęłam wykonywać jakieś ruchy rękami. Podobno te ręce mi wciąż same chodziły, potem zaczęłam automatycznie wypisywać, na co wszyscy obecni na urodzinach są chorzy... Nie wiem dotąd, co się wtedy działo, sama nic nie pamiętam, znam to wszystko z cudzych opowiadań. Wtedy wpadłam w jakiś dziwny trans, potem przytrafiało mi się to dzień po dniu, a ja nie wiedziałam, co to jest i skąd się wzięło... Przypomniało się nam później, że kiedy miałam 15 lat, leczyliśmy się całą rodziną u księdza zielarza, który posługiwał się wahadełkiem. I on powiedział, że jestem silnie napromieniowana. Mówił, że pod naszym blokiem musi być bardzo silna żyła wodna. Radził, żebyśmy się wyprowadzili, co zresztą wkrótce zrobiliśmy, bo mama była bardzo chora. Potem się jednak okazało, że pod blokiem nie było żadnej silnej żyły, a mama nie przestała chorować.*

Matka Marzeny:

— Faktycznie byłam ciężko chora, zwłaszcza kręgosłup i krążenie, ostatnio to już prawie nie chodziłam, ale Marzena mnie wyleczyła. I dziś, niech pan sam powie, okaz zdrowia ze mnie!

Jej córka relacjonuje dalej:

— Potem już nie wpadałam w trans, nauczyłam się świadomie posługiwać bioenergią, co wypróbowałam najpierw na bliskich. Mama zaczęła chodzić... Z początku nie ujawniałam się z tym, ale powoli znajomi roznieśli... W ogóle pierwszą osobą z zewnątrz był ojciec, który przywiózł do mnie córeczkę z porażeniem mózgowym. Nie potrafił powiedzieć, jak do mnie trafił. Mówił, że go coś instynktownie tu ściągnęło. Dziecko wyleczyłam. Fama się roznosiła. Tak że od października 1987 zaczęłam regularnie leczyć. Były jakieś notatki w prasie, zjechała też ekipa telewizyjna, bo — jak się okazało — koleżankę pani redaktor z telewizji uwolniłam od kamieni nerkowych. Swoją drogą, program nagrali w październiku, a ukazał się dopiero w marcu 1988, nie dali zresztą wszystkiego, co nagrali.

Sprowadzam rozmowę na szczegóły techniczne. Pytam, jak dokonuje diagnozowania?

— Ja nie widzę człowieka ostro — słyszę — ale jakby pod powłoczką... Nie, organów wewnętrznych nie widzę. Automatycznie napływają myśli, po prostu wiem, co komu dolega, jakby mi to druga podświadomość podpowiadała. Czasem czuję też na sobie, gdy bardzo ciężkie schorzenie... A leczenie? Też różnie, jeden organizm przyjmuje szybko, inny z oporem. Z siostrami wyspecjalizowałyśmy się w niektórych schorzeniach. Kamienie żółciowe i nerkowe — bez problemu. Tarczyca, tak samo. U dzieci — niedosłuchy, odblokowanie mowy, wady wzroku. Bez problemów też nastawia się kręgosłupy... Podrzucamy też dzieci (śmieje się), *to znaczy leczymy bezpłodność. Niedawno leczyłam ze zdjęcia znajomą: od szóstego miesiąca ciąży groziło poronienie, a dziewczyna miała padaczkę. Bałam się trochę, ale udało się, urodziła zdrowe dziecko w terminie, a ataków nie miała dotąd... Co jeszcze? Czasami są przypadki, gdy z chorego coś wyciągamy, taka bezkrwawa operacja, jak na Filipinach. Musiałby pan sam zobaczyć... Z nowotworami bywa różnie, przychodzą do nas często ci, co już chemię biorą, niby stan beznadziejny, ale i tu czasami się udaje... Kontakty z lekarzami? Właściwie to tylko ze szpitalem klinicznym Akademii Medycznej w Białymstoku, gdzie po raz pierwszy byłyśmy w kwietniu 1989 roku, żeby ratować dziewczynę po wypadku, czwarty miesiąc leżała nieprzytomna. Lekarze mówili, że to bez sensu, bo i tak, jeśli się uda, będzie z niej tylko żywa kukła, a wcale nieprawda. Wyrwałyśmy ją z tego całkiem normalną, normalnie myślała i mówiła, nawet niektóre szczegóły wypadku pamiętała...*

Przekazuję i tę relację bez komentarza. Zapytana o dokumentację swej działalności Marzena rozkłada bezradnie ręce, jest wprawdzie trochę listów i wpisów do księgi, ale to przecież — z naukowego punktu widzenia — żaden materiał dowodowy.

C.D.N.

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI PREZENTUJE:

Galeria Muzyki im. Artura Rubinsteina

Rys. Sławomir Łuczyński

Przestępca retro

MACIEJ ŚWIERKOCKI

Wspomnienia więzienne spisywane bywają z dwojakich powodów: po to, by szokować czytelników, bądź po to, by przekazać pewne wartości dydaktyczne, mające stanowić przestrogę dla niedoszłych jeszcze złoczyńców. Naturalnie literatura współczesna znacznie chętniej odwołuje się do pierwszej z wymienionych przyczyn, grają tu bowiem niebagatelną rolę względy komercyjne, choć nie bez znaczenia pozostaje również pytanie, czy autor tworzy w książce świat całkowicie fikcyjny (oczywiście nie chodzi tu o naukowy punkt widzenia), czy też traktuje swój utwór jako wierny, odtwórczy zapis historii, którą sam przeżył, w której uczestniczył i którą przemyślał. Dlatego też zawsze interesująco wypada porównanie literackich dokonań kilku autorów, spoglądających na ten sam problem z tej samej, wewnętrznej perspektywy, lecz nie zawsze zajmujących w zaprezentowanej kwestii tożsame stanowiska.

Nie tak dawno wiele kontrowersji wśród czytającej jeszcze książki części naszego społeczeństwa wzbudziła „Zbrodnia i..." Jerzego Trębickiego, pozycja będąca niezwykle gwałtowną obyczajowo sagą więzienną, napisaną współcześnie, tj. przed kilku laty, omawianą wielokrotnie w prasie, między innymi i na łamach „Odgłosów" przez niżej podpisanego. Tymczasem walcząca z ekonomicznymi kłopotami Wydawnictwo Łódzkie przypomniało pod koniec ubiegłego roku opublikowaną po raz pierwszy przed wojną książkę autora ukrywającego się pod pseudonimem Urke-Nachalnik, a zatytułowaną po prostu „Życiorys własny przestępcy". Jest to napisany w więzieniu pamiętnik wielokrotnego recydywisty, włamywacza wywodzącego się z rodziny żydowskiej, zamożnej i szanowanej przez ogół mieszkańców położonego gdzieś nad Narwią miasteczka. Daleko Nachalnikowi do biegłości pisarskiej Trębickiego (nie jest to prawdziwe nazwisko twórcy „Zbrodni i..."); daje znać o sobie różnica w wykształceniu i erudycji, bowiem Urke przeznaczony był wprawdzie na kandydata na rabina, jednak jego szkolna edukacja skończyła się dość szybko, zaś proces dalszego kształcenia kontynuowany był już na ulicach, w gęstwinie melin złodziejskich, szynków i burdeli. Brak literackiego sztafażu we wspomnieniach Nachalnika, błędy i nieporadności stylistyczne, których wystrzega się narrator „Zbrodni", nie stanowią jednak żadnej przeszkody w lekturze, ponieważ celem pisarza-przestępcy nie jest twórczy Panteon, lecz nieco naiwnie — przyznajmy — pojęta profilaktyka. Ze względu na upływ czasu (opisywane w „Życiorysie" wydarzenia rozgrywają się mniej więcej w latach I wojny światowej) i niezbyt skomplikowany charakter filozoficznych rozważań autora, dydaktyczna wymowa utworu znacznie już dzisiaj wyblakła i nie ma wątpliwości, że żaden adept złodziejskiego fachu nie potraktowałby Nachalnika poważnie. To, co zapewne najbardziej zafascynuje dzisiejszego czytelnika, to dawno miniony, barwny i egzotyczny świat małych, sennych miasteczek, zaludniających nędzne rudery szumowin i prymitywnych włamywaczy z prowincji, rekrutujących się przeważnie spośród biedoty i lumpenproletariatu rozbiorowej jeszcze Polski. I w tym sensie, jako dokument pewnej epoki i rejestracja stanu świadomości książka Nachalnika jest odpowiednikiem „Zbrodni i..." Trębickiego — dzieli je jedynie historia.

Istnieje jednak zasadnicza różnica pomiędzy obiema tymi pozycjami. Otóż Trębicki mitologizuje swoich bohaterów, przypisuje im swoisty ethos, coś w rodzaju moralnego i samoświadomościowego zaplecza, nadającego im wymiar nie tyle ludzki, ile raczej nadludzki, więcej wspólnego mający z postaciami westernowych bandytów niż, powiedzmy, z gwałcicielami z Pragi. Natomiast największą wartość wspomnień Nachalnika upatrywałbym w daleko idącej demitologizacji występku i podłości, w bezpretensjonalnym ukazaniu całej słabości przestępczych charakterów, żyjących w universum wiecznego braku. Tu złodziej nie jest herosem, lecz psychicznym, duchowym kaleką, dokonującym na sobie nieustannego samookaleczenia. Pytanie o to, która wersja jest prawdziwa, nie może znaleźć odpowiedzi na gruncie literatury. Ale pamiętnik Nachalnika jest cennym uzupełnieniem „dokumentacji" problemu, rozstrzyganego w ludzkim sumieniu — lub w sądzie. Dlatego warstwa anegdotyczna książki przestaje w takim wypadku mieć jakiekolwiek znaczenie.

Urke-Nachalnik — „Życiorys własny przestępcy", Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1989, wyd. I, nakład 60 000 egz.

Tygrysica i maleńka

„BABY BOOM" reż. Charles Shyer, w rolach głównych. DIANE KEATON, SAM SHEPARD, prod. USA, 107 min., Wypożyczalnia wideo „Bałtyk".

Ta komedia obyczajowa od lutego br. utrzymuje się w pierwszej piątce hitów łódzkich wypożyczalni i to mogłoby już być wystarczającą rekomendacją. Film ten nie jest może dziełem wybitnym, jeśli kryterium miałyby być „Oskary", Został on stworzony z myślą o szeroko rozumianej widowni, szczególnie kobiecej (wyjątkowo lektorem jest kobieta). Historyjka jest więc ciekawa, prosta — z zakończeniem łatwym do odgadnięcia, ale jednocześnie twórcy cały wysiłek włożyli w to, żeby widz doznawał wzruszeń, typowych dla dobrze skrojonego melodramatu. Opowiadanie urozmaicają dyskretnie wplecione w tok narracji przerysowane sytuacje, budzące refleksyjne rozbawienie.

Rzecz dzieje się współcześnie w Nowym Jorku. Bohaterką jest kobieta w średnim wieku, zajmująca się wyłącznie wielkimi interesami. Mieszka z mężczyzną o identycznym podejściu do życia i niezależnym od niej dzięki własnemu kontu bankowemu. W kołach biznesu nazywają ją tygrysicą, bo jest energiczna, bezpardonowa w interesach oraz chłodno kalkulująca. Dowiaduje się o śmierci kuzynów, którzy w testamencie obarczyli ją odpowiedzialnością za córeczkę. Początkowo chce się jej pozbyć, ale rezygnuje widząc, że półtoraroczna urocza baby mogłaby trafić do rodziny zastępczej, należącej do mormonów. Traci przyjaciela. Zaniedbuje interesy. Wyjeżdża na wieś. Aby zarobić na utrzymanie, zaczyna sprzedawać naturalną odżywkę dla dzieci własnego pomysłu, którą nazwała „Wiejskie Dziecko". Zapoczątkowuje odżywkowy boom.

„Baby boom" jest przednią satyrą na amerykański system wychowywania dzieci z dobrych domów. Matka jest jeszcze w ciąży, a już myśli o umieszczeniu dziecka w snobistycznym przedszkolu, „pomnażającym inteligencję" maleństw, uczącym np. rozpoznawania motywów z obrazów Cézanne'a. Matki rozumują tak: dziś elitarne przedszkole, jutro — college o najlepszych tradycjach, a w przyszłości — Harward. A bohaterka skończyła właśnie Harward i upatruje od razu wielkie nadzieje w przybranej córce.

Półtoraroczna Nancy Meyers daje pokaz dojrzałego aktorstwa, porównywalnego z czarem i nadprzyrodzonymi umiejętnościami maleńkiej z kolei Shirley MacLaine. W obrazie odnajdujemy też cytaty ze „Sprawy Kramerów", tylko sytuacja jest odwrócona: tygrysica opuszczona przez przyjaciela nie daje sobie rady z odpowiedzialną pracą zawodową, rezygnuje z kariery dla wychowania baby. Tu też maleńka czaruje widza swą urodą, byle gestem budzi rozbawienie.

WŁODZIMIERZ KUPISZ

Kto weźmie „Bałtyk"?

TADEUSZ WIJATA

Trwa wyprzedaż kin. Okręgowa Instytucja Rozpowszechniania Filmów masowo oddaje w dzierżawę nie tylko deficytowe placówki. Broni się jak może przed upadkiem w swoim dwupiętrowym bastionie na Stokach, choć wiadomo, że jej dni są policzone. Zostały w Łodzi jeszcze 4 kina utrzymywane przez OIRF, w tym oczywiście „Bałtyk", ale i one znajdą się wkrótce w prywatnych rękach.

Widzowi kinowemu jest zupełnie obojętne, czy ogląda film w kinie państwowym, czy w prywatnym. Byle miał co oglądać. Okazuje się jednak, że przeprowadzana ze sporym rozmachem reforma kinematografii może spowodować załamanie — miejmy nadzieję okresowe — jakiegokolwiek sensownego repertuaru dla kin, nie mówiąc już o kulturze filmowej. Jak wiadomo, przez ostatnie lata wprowadzano rocznie na ekrany dwadzieścia kilka filmów polskich oraz 100—120 obcych. Z rodzimej twórczości sukces frekwencyjny (bądź artystyczny) odniosło zaledwie kilka tytułów. Obecnie, gdy koszt produkcji jednego utworu fabularnego oscyluje wokół kwoty miliarda, czy nawet półtora miliarda złotych, realizacja filmów „dla siebie" jest niemożliwa. Zespoły filmowe są wreszcie samodzielne finansowo i artystycznie, więc trudno sobie wyobrazić, by skierowano do produkcji film nie dający gwarancji zwrotu poniesionych kosztów.

Można zatem założyć, że znikną z repertuaru utwory nieudane myślowo i warsztatowo, chybione tematycznie, różne knoty, gnioty, pawie, bzdety, przez nikogo nie chciane, zalegające magazyny. Realizowane przez „zasłużonych działaczy" polskiego kina, za ciężkie państwowe pieniądze, których widownia jakoś nie kwapi się zwrócić w postaci wykupionych biletów.

Można również przypuszczać, że z repertuaru znikną filmy wartościowe, ale trudne, rzadko trafiające do masowego widza. Ministerstwo Kultury i Sztuki nie przestało pojmować filmu w kategoriach sztuki i stoi na stanowisku utrzymywania przez państwo twórczości artystycznej oraz niekomercyjnej. Postuluje się np. zwolnić od podatków rozpowszechnianie filmów artystycznych lub ustalić niższą stopę opodatkowania. Czy jednak będzie to możliwe?

W zarysowanym kontekście jawi się jako zastanawiające zjawisko lekceważenia, czy wręcz bojkotu przez kinową widownię twórczości rodzimej. W Łodzi jest to szczególnie wyraziste. „Przesłuchanie" Ryszarda Bugajskiego — film legenda, który każdy powinien zobaczyć — wprowadzone na ekrany w grudniu, wyświetlane przy niezbyt rewelacyjnej frekwencji, już zostało zastąpione przez „szwarcenegerów". Inny utwór, z pewnością nie tak znakomity, ale odwołujący się do wydarzeń 1968 roku — wprawdzie nie bezpośrednio, a poprzez odtworzenie atmosfery tego szczególnego miesiąca — czyli „Marcowe migdały" Radosława Piwowarskiego, padł w łódzkich kinach po niespełna 2 tygodniach. Co się dzieje?

Repertuar kształtują też w coraz większym stopniu dystrybutorzy prywatni. Do tej pory Ministerstwo Kultury i Sztuki wydało ponad 100 licencji na taką działalność. Oferty programowe, które OIRF-om przedstawiają prywatne spółki dystrybucyjne są jednak mocno nieciekawe. Np. „Dawis" — Entertraintment Trade — spółka z o.o. proponuje za 40 proc. wpływów jakąś staroć z Louisem de Funes pt. „Przygody rabina Jakuba", a warszawskie „Eastern Communications" — zupełnie nieznaną komedię amerykańską „Sticky Fingers", po 30.000.000 zł za jedną kopię. Film Polski do niedawna absolutny monopolista (jeśli chodzi o zachodnie zakupy), przekształcony w spółkę „Fata", również nie ma w zanadrzu niczego ekscytującego. Proponuje m.in. głośne, lecz zgrane na kasetach „9 i pół tygodnia" oraz pokazany w naszej tv dokument „Oto Ameryka". Jeżeli dodamy zupełnie nietrafiony zakup spółki „Oskar", czyli francuską bzdurę erotyczną „Joy", to kierunki zainteresowań tych dystrybutorów rysują się wyraźnie — jako nastawione na zaspokojenie niewybrednych gustów za najmniejsze możliwe pieniądze. Koszt licencji aktualnego hitu wynosi bowiem ok. 20—30 tysięcy „zielonych" i tylko państwowa centrala działająca pod skrzydłami Ministerstwa Kultury mogła sobie pozwolić na ryzyko sprowadzenia na nasze ekrany przebojów ostatnich Konfrontacji, takich jak „Rain Man" czy „Płonąca Missisipi".

Prognozy dla rozpowszechniania brzmią zatem pesymistycznie. Z jednej strony niezwykle uboga oferta programowa działających dystrybutorów oraz totalna komercjalizacja bieżącego repertuaru, by wycisnąć ostatnie złotówki ze zużytych kopii różnych Command, Elektronicznych morderców, Emmanuelli, Ników i Predatorów, krążących nieustannie po kinach tak państwowych jak i prywatnych. Z drugiej — zamykanie kin, dekapitalizacja budynków i sprzętu, coraz gorsze warunki projekcji. Sytuacja jeszcze się zmieni, gdy przestaną istnieć OIRF-y, a ich majątek przejmie skarb państwa.

Jest wielce prawdopodobne, że w wolnorynkowej batalii padną kolejne kina. Oczywiście mniejszym złem jest ich ubywanie w dużych organizmach miejskich. W końcu, zamiast 20 kin może wystarczy na milionowe miasto połowa, z bogatą i interesującą ofertą programową, a także z pewnym komfortem odbioru. Dramat stanowi znikanie placówek z małych miasteczek i wsi, gdzie kino, jako miejsce spędzania wolnego czasu jest jedyną alternatywą dla podłej knajpy z tzw. wyszynkiem.

Trudno dziś przewidzieć jak potoczą się losy kina i kin. W niektórych ośrodkach już działają wg nowych zasad. Każde miasto jednak posiada swoją specyfikę i publiczność. Niestety Łódź nie jest ostatnio dobrym miejscem dla kina. Jeśli ktoś ma inne zdanie, z chęcią dam się przekonać.

Pałac bez szyldu

Rozmowa z dr ANTONIM SZRAMEM

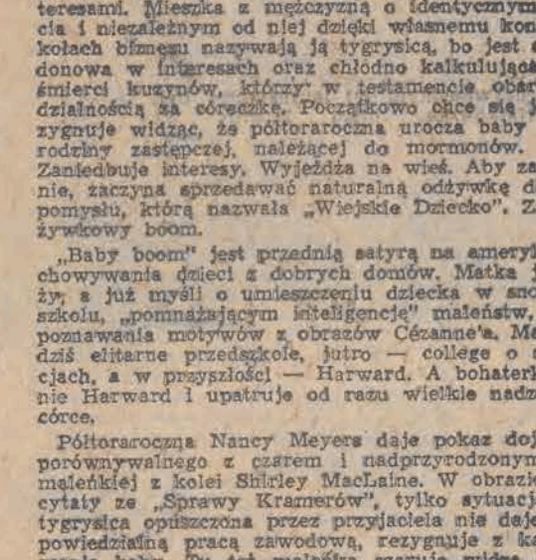

— Dyskoteki obejdą się jakoś bez opieki Wydziału Kultury i Sztuki, ale jak w nowej sytuacji poradzą sobie muzea? Co będzie z „szyldem", ze statusem Muzeum Kinematografii? Czy prezydent ma zamiar zająć się tą sprawą — istotną wszak nie tylko dla Łodzi — rzecz cała dawno już przecież „wyszła" poza granice miasta i kraju...

— Aż przykro się powtarzać, ale „pałac filmu", w którym przeszło trzy lata temu umieszczono zalążek Muzeum Kinematografii, nadal nie może się doczekać konkretnych decyzji „ojców miasta", które stanowić będą o jego przyszłości. Wszystko jest wszystkim dobrze znane. Było wiele razy powiedziane w artykułach prasowych, w „Zbliżeniach" (program TV red. Iwony Łękawy), rozmowach i dyskusjach. Jeśli wracamy znów do tego tematu, to tylko po to, by jasno sobie powiedzieć: działacze kultury i ludzie z administracji nie rozumieją i nie doceniają wagi historycznej istnienia Holly-Łodzi. Żadne inne polskie miasto nie ma tylu „filmowych" instytucji — mamy najlepszą — swego czasu oczywiście — szkołę filmową, Wytwórnię Filmów Fabularnych, Wytwórnię Filmów Oświatowych, „Semafora", Zakłady Wytwórcze Kopii Filmowych. Przecież to właśnie dlatego w naszym mieście, a nie gdzie indziej, powstało pierwsze, polskie Muzeum Kinematografii — panteon twórców i artystów mass mediów kinematografii i telewizji. To najważniejsze wydarzenie kulturalne łódzkiego stulecia! Tyle że nie wszyscy ten fakt dostrzegają i doceniają...

Obrońcy przeszłości — łódzcy filmoznawcy — zmierzają do zadośćuczynienia krzywdom doznanym przez artystów filmowych od biurokracji kulturalnej. Zapomniano o „Ziemi Obiecanej" Wajdy, „Honoratce" Polańskiego, „Aneksie" Królikiewicza, „Tangu" Rybczyńskiego (filmowy „Oscar"!!!). Miasto filmowej legendy nie odwdzięczyło się swoim piewcom... Muzeum Kinematografii jest próbą ocalenia i trwałego wpisania w pejzaż Łodzi wartości emocjonalnych, intelektualnych, ale i elementów materialnych związanych ze sztuką filmową. Trzeba je ratować! No bo jakież w ogóle mamy obecnie wartości w kulturze miasta? Puste widownie i nieudolna komercjalizacja kultury doprowadzą nas do bankructwa umysłowego albo do parafiańszczyzny...

— Na razie w „pałacu filmu" trwa non stop remont...

— Prace konserwatorskie prowadzone są we wszystkich pomieszczeniach, także tych zajmowanych przez zbiory, pracownie, administrację. Technologia robót wymaga stałego i swobodnego dostępu do wszystkich sal — wiąże się to z układaniem instalacji centralnego ogrzewania, instalacji elektrycznej, wymianą belek stropowych, tynków i sztukaterii...

— Jak w takich warunkach czują się zgromadzone zbiory? Są to przecież cenne i unikalne eksponaty — od starych kamer i projektorów po elementy scenograficzne, kostiumy, fotosy, taśmy filmowe, plakaty itp., itd....

— Niestety, bardzo smutno się czują. Niestety — wciąż nie możemy się doczekać eksmisji Szkoły Muzycznej, która zajmuje budynek dawnej stajni. Należy on co prawda do Muzeum Kinematografii, ale bez prawdziwej pomocy władz miasta nie pozbędziemy się uciążliwego sublokatora, blokującego nam pomieszczenia przeznaczone na muzealne magazyny i pracownie.

— Pojawiła się ponoć nadzieja, że Szkoła Muzyczna wyniesie się po wakacjach?

— Istnieje koncepcja przeniesienia szkoły do budynku opuszczonego przez Komitet Dzielnicowy PZPR na Widzewie. Chciałbym z całą mocą powiedzieć, że to jedyne konstruktywne rozwiązanie: dzieci będą miały lepsze warunki do nauki, my zaś przestrzeń niezbędną do prawidłowego zabezpieczenia zbiorów i rozwinięcia działalności wystawienniczej na szerszą niż dotąd skalę. Relacjonowałem już całą sprawę senatorowi Andrzejowi Wajdzie, któremu też leży na sercu idea stworzenia muzeum filmu polskiego z prawdziwego zdarzenia i wierzę, że w końcu uzyskamy pomoc i poparcie dla naszych starań, nie tylko od artystów o głośnych nazwiskach, ale i od władz naszego miasta.

— Czy istnienie Muzeum Kinematografii, które wciąż się czegoś domaga — a to pieniędzy na remont, a to zwolnienia pomieszczeń, których jest właścicielem — nie burzy spokoju i wygody administracji kultury „sterującej" życiem tego miasta?

— Od początku staramy się nie brać pieniędzy za darmo. Sądziliśmy, że zaistnienie Muzeum Kinematografii w świadomości społecznej będzie pełniejsze po realizacji pierwszej tury wystaw w Łodzi. Były to m. in. „Reymont — Ziemia obiecana — Wajda", „Projektor i dźwięk", „Aleksander Fogiel — portret", „Twórczość Wojciecha J. Hasa", „Roman Polański", „30 lat Popiołu i diamentu", „Lochy Manhattanu — sztuka innych mediów". Poza Łodzią, m. in. w Poznaniu — scenografia filmowa, „Dziecięcy świat filmów J. Nasfetera", „Scenografia filmu animowanego". I wreszcie za granicą, m. in. w Zagrzebiu — „Plastyka polskiego filmu animowanego", w Sofii — „Twórczość W. J. Hasa", w Giessen — „Kontrasty łódzkie". Organizowaliśmy także spotkania z twórcami, przeglądy, seminaria i sesje; np. „80 lat polskiego filmu fabularnego" w Książu, czy prestiżowy, pierwszy w Polsce Międzynarodowy Salon Plakatu Filmowego.

Współuczestniczyliśmy też w organizacji przeglądów i festiwali filmowych; fundujemy nagrodę filmową — ARTURA — którą otrzymali: Studio Filmowe im. K. Irzykowskiego, reżyser Krzysztof Tchórzewski i Andrzej Żuławski. W 1989 roku Medal Muzeum Kinematografii otrzymał Tadeusz Konwicki. We wrześniu minionego roku zostaliśmy uhonorowani Nagrodą II stopnia Ministra Kultury i Sztuki w konkursie na najciekawsze wydarzenie muzealne roku. Przytaczam te, znane przecież ogólnie fakty, nie z racji szczególnej naszej próżności, ale by zrekapitulować dotychczasową drogę muzeum.

— Jakie plany na przyszłość?

— Przede wszystkim pragnęlibyśmy, aby władze miasta wreszcie jasno określiły status muzeum i udzieliły pomocy w rozwiązaniu naszych problemów. Warto ocalić dla potomności cały zespół parkowo-pałacowy, piękny zabytek architektury XIX wieku i świadectwo dawnych dziejów Łodzi przemysłowej. Ulokowane w dawnej siedzibie Scheiblera Muzeum Kinematografii może spełnić rolę pomostu, łącznika między historią miasta a współczesną sztuką europejską i światową. Film — od czasów tuż powojennych — był „lokomotywą" łódzkiego życia kulturalnego i może nadal pełnić tę rolę. Tworzone z takim trudem Muzeum Kinematografii jest ważne nie tylko dla środowisk artystycznych związanych z mass mediami. Warto o nie walczyć i to nie tylko dlatego, że zbliża się stulecie filmu — Muzy XXI wieku.

— Na razie w budynku widzewskiego komitetu ulokowano komisję poborową...

— Która zdewastuje odremontowany, czysty lokal i opóźni przenosiny szkoły muzycznej z naszej stajni.

— Ale wy, mimo tego bardaku, sprowadzacie nowe zbiory?

— Za parę dni przyjeżdża z Kopenhagi spuścizna po Aleksandrze Fordzie, ofiarowana muzeum przez córkę reżysera...

— Jesteście niepoprawni! Teraz trzeba narzekać, płakać, biadolić i żądać pieniędzy, a nie pracować, i to z sensem. Mimo to, życzę sukcesów i dziękuję.

Rozmawiał:
ANDRZEJ GRUN

PESTKI DYNI

Kasiadec, to człowiek, który spada. (Nie pamiętam, kto to wymyślił; powiedzenie weszło do „ogólnej skarbnicy", ustalenie więc autora nie ma specjalnego znaczenia).

Idąc za poprzednim: — Kiper, to człowiek, który maca. Maca zmysłami różne rzeczy. Wina, kawy, tytonie... Zmysły kipera muszą być doskonałe. Jest on artystą najwyższego rzędu, albo nie jest kiperem. Może się zdarzyć, że zmysły kipera napiętnowane są „boską dewiacją"; posiadają jakiś feler czyniący je niepodobnymi do innych, wrażliwszymi na niebywałe zapachy, kolory, smaki... Wtedy mamy do czynienia z geniuszem; jak w sztuce.

Jakiś profesor, gbur i barbarzyńca, z Uniwersytetu w Princeton (USA) skonstruował komputer, który zastępuje „żywego kipera". Odpowiednio zaprogramowany, „bezbłędnie" wystawia glejt jakości temu czy innemu winu. Komputery „tworzą" już powieści, sztuki teatralne, scenariusze filmowe, piszą liryki i elegie, komponują i wykonują symfonie, malują obrazy...

Może się zdarzyć w przyszłości, że komputery, pospołu z robotami, będą jadły, piły i dupczyły, a ludzie dostawać będą jedzenie w pigułkach, wino w pastylkach i seks w drażetkach; oczywiście dla ich dobra i szczęścia.

Taki obraz społeczeństwa nie jest obcy autorom SF, a wiele niemożliwych, fantastycznych pomysłów, które powymyślali w swoich książkach, ziściło się w rzeczywistości...

Kiedy piszę te „Pestki" nad Krasnojarskiem i nad Liège ukazały się w nocy, nadleciały od gwiazd (chcę w to wierzyć) obiekty UFO. W nocy też, w nowojorskiej klinice odeszła do gwiazd GWIAZDA GWIAZD — bosska Greta. Samotna heroina filmu, zamknięta w wieży z kości słoniowej przez siebie samą. Odchodząc ze świata luzji w pełni chwały i sławy... Ponad czterdzieści lat trwała owa, niezrozumiała dla innych, izolacja. Izolacja? Ucieczka? Kaprys? Pokuta? Rezygnacja? Duma? Pokora? Strach? Rozczarowanie? Znudzenie? Co?

Nie popadła ani w narkotyki, ani w alkoholizm, ani w dewiacje seksualne — jak wiele jej sławnych i mniej sławnych sióstr i braci w Zakonie Iluzji. Chciała tylko być wobec świata — sama. Chroniła swoje prywatne życie, jak skarb największy, jak jedyną prawdziwą wartość. Dlaczego? Któż to wie. Może takie są — między innymi — obyczaje niektórych GWIAZD. Czy dowiemy się kiedyś, jakie były jej racje? Może zostawiła pamiętniki? Może nie...

ANDRZEJ GRUN

P.S. Nieznani frankfurccy włamywacze dali się nabrać na łudząco prawdziwą fasadę domu, pełniącą rolę dekoracji do kręconego właśnie, telewizyjnego filmu. Włamali się do rzekomej pizzerii w pobliżu zajezdni tramwajowej, licząc na łatwy łup. Po wyważeniu, nie bez trudu, masywnych drzwi, przekonali się jednak, że znowu są na dworze. Jak powiedział rzecznik policji we Frankfurcie nad Menem „dawno już nie mieliśmy tak pięknego włamania" (Forum).

W pewnym mieście, w Polsce, w Pracowni Konserwacji Zabytków ukradziono muszle klozetowe i inne utensylia sanitarne. Dokonano tego „w drugim rzucie", po uprzednim oczyszczeniu pracowni i magazynu z dzieł sztuki odrestaurowanych już i czekających na renowację.

Jest publiczną tajemnicą, że celnicy, na różnych przejściach granicznych, zatrzymywali nie raz i nie dwa przemycających dzieła sztuki turystów: okazywali się nimi kustosze i pracownicy administracji różnych muzeów. Jedna kustoszka z „krakowskiego" tłumaczyła się, że starą monetę i XVIII-wieczny zegarek wiozła jako prezent dla tych, co ją zaprosili, bo nic innego „ładnego" nie mogła dostać...

W „Polityce" zapiski z zebrań i z życia Erny Rosenstein notowane w Związku Plastyków, Związku Literatów, na ulicy, w tramwaju, wszędzie:

„Mówi się, że piętą achillesową jest brak koloru, a tymczasem główna pięta jest gdzie indziej".

„Ten koloryzm nie istnieje już nawet w przyrodzie".

„Idzie nam o młodzież. Trzeba im rozwiązać te skrzydełka i niech pokażą swój lwi pazur".

„Jesteśmy skrępowani, żeby wkroczyć w głąb człowieka, a jak to robił Matejko?".

(AG)

„Głos to tylko jeden składnik spektaklu..."

— rozmowa z MONIKĄ CICHOCKĄ.

— Solistką łódzkiego Teatru Wielkiego jest pani od początku bieżącego sezonu, niemniej miłośnikom opery w naszym mieście nazwisko Moniki Cichockiej znane było wcześniej. Oczywiście głównie dzięki I nagrodzie uzyskanej na konkursie w Tuluzie przed 2 laty. To był naprawdę wielki sukces — tym wspanialszy, że będący udziałem tak młodziutkiej śpiewaczki. Czy pomysł wzięcia udziału w konkursie wypłynął od pani, czy też może od pedagoga, kolegów, rodziny?

— Może pan nie uwierzy, ale na ten konkurs — zresztą swój pierwszy w życiu — pojechałam właściwie przez przypadek. Po prostu znalazłam się w Warszawie akurat wtedy, gdy odbywały się wstępne przesłuchania (organizowało je Krajowe Biuro Koncertowe). Postanowiłam spróbować swych sił i ku własnemu zaskoczeniu zostałam sklasyfikowana najwyżej ze wszystkich.

— Zaskoczenie wobec tego musiało być tym większe w Tuluzie, podczas ogłaszania wyników.

— Wyniki podawano w nocy. Ja, nie licząc na żadną nagrodę, poszłam już do garderoby. Gdy przekazano mi wiadomość, musiałam czym prędzej włożyć znów estradową kreację, by wyjść na scenę. Otrzymałam wtedy po raz pierwszy owację, gdyż w trakcie konkursu nie wolno było bić brawa. Dlatego w ogóle nie wiedziałam wcześniej, czy mój śpiew się podobał, czy też nie.

— Poczucie sukcesu utwierdziły zapewne liczne propozycje występów?

— Dostałam cały szereg ciekawych propozycji dotyczących występów zagranicznych i z niektórych udało się skorzystać. Z RFN nadeszła oferta kontraktu. Tę jednak odrzuciłam, ponieważ dostrzegłam w perspektywie niebezpieczeństwo zbytniego ograniczenia swobody.

— Czy po powrocie posypały się też występy krajowe?

— Dałam wiele recitali. Jeden z nich włączony został do festiwalu **Wratislavia Cantans.** Program obejmował arie **Verdiego** oraz pieśni **Schuberta, Liszta, Schoenberga.** W ramach tego festiwalu uczestniczyłam ponadto w realizacji **Mszy C-dur Beethovena** z filharmonikami wrocławskimi pod dyr. **Mieczysława Gawrońskiego.** Nieco wcześniej, z tą samą orkiestrą śpiewałam **Stabat Mater Szymanowskiego.** W tej partii debiutowałam zresztą, gdy miałam niecałe 20 lat, z zespołem Filharmonii Częstochowskiej pod dyr. **Zygmunta Hassy...**

— A na operowej gali, inaugurującej obecny sezon w Łodzi, zbierała pani zasłużone oklaski za arię Hrabiny z „Wesela Figara". Czy to ulubiona rola?

— Była to moja partia dyplomowa (studia w wrocławskiej Akademii Muzycznej u prof. **Danuty Paziukówny-Zipser** ukończyłam 2 lata temu). Potem śpiewałam m. in. Hrabinę w Operze Wrocławskiej.

— Pani profesorka dała nie tak dawno znakomity recital w naszym mieście. Czy jest z nią pani w stałym kontakcie?

— Owszem. Prof. Paziukówna, której w sferze wokalistyki wszystko zawdzięczam, udziela mi nadal lekcji i dobre rady w wielu sprawach. Ale w interpretacje już, rzecz jasna, nie ingeruje.

— Obserwowałem panią kilkakrotnie na scenie i stwierdziłem, że poza świetnym sopranem liryco-spinto dysponuje pani rzadkimi predyspozycjami aktorskimi. Jak zapatruje się pani na funkcję czynnika aktorskiego we współczesnym teatrze operowym, bo skądinąd są np. jeszcze artystki uważające, że opery należy wystawiać tak, jak — powiedzmy — 150 lat temu, a reżyseria tkwi w głosie solisty?

— Uważam, że tej tezy nie da się utrzymać. Głos to tylko jeden ze składników spektaklu, który musi być nowocześnie zrealizowany, żywy, frapujący zarówno muzycznie jak i dramaturgicznie, a przez to atrakcyjny nie tylko dla specjalistów. Rolę w operze pojmuję więc jako zadanie złożone.

— Na łódzkiej scenie kameralnej „wchodzi" pani w partię Fiordiligi w „Così fan tutte" Mozarta, operze wyreżyserowanej ciekawie przez Adama Hanuszkiewicza. A jakie są dalsze plany związane z Teatrem Wielkim i nie tylko?

— O planach nie lubię mówić, żeby nie zapeszyć. A mam ich sporo, również jeśli idzie o występy pieśniarskie i oratoryjne. Zaś faktem jest, że z łódzkim teatrem wiążę duże nadzieje na przyszłość. Bardzo cenię tę placówkę — doskonałych artystów, którzy tu pracują i od których można, w sensie zawodowym, wiele się nauczyć. Cieszę się więc z engagement.

Rozmawiał:
JANUSZ JANYST

„Odgłosy" proponują:

W 1887 roku na brytyjskim rynku wydawniczym ukazała się powieść **„Stu w szkarłacie"** autorstwa **Arthura Conan Doyle'a. Świat** poznał **Sherlocka Holmesa, detektywa wszechczasów i jego metodę dedukcji. Kino zainteresowało się** Holmesem na początku XX wieku — w 1903 roku pojawił się po raz pierwszy na ekranie w amerykańskim filmie jednoaktowym. Od kilkunastu lat reżyserzy i scenarzyści coraz swobodniej traktują literacki pierwowzór. Ale tego, na co odważyła się para scenarzystów **Gary Murphy i Larry Strawther** jeszcze nie było.

W filmie **„Bez śladu" Thoma Eberhardta** Sherlock Holmes jest nierozgarniętym, nadużywającym alkoholu marnym aktorem, podczas gdy mistrzem dedukcji i intelektu jest doktor Watson. To on toczy wojnę na inteligencję z okrutnym Moriartym, to on bezbłędnie rozwiązuje każdą najtrudniejszą nawet zagadkę, to on jest konkurencją dla Scotland Yardu. Holmes gra tylko rolę wyznaczoną mu przez Watsona, stając się niesłusznie obiektem masowego uwielbienia. Kiedy Watson, zmęczony już udawaniem, chce wyjaśnić prawdę, napotyka trudności...

Thom Eberhardt do głównych ról w swoim filmie zaangażował znakomitości brytyjskiego kina i sceny — **Bena Kingsleya,** wsławionego „Gandhim" **Richarda Attenborougha i Michaela Gaine'a,** który rolę Holmesa potraktował jako aktorskie wyzwanie, mierząc się z mitem.

Kronika

W Muzeum Historii Miasta Łodzi, 20 bm., odbyło się uroczyste otwarcie wspaniałej Galerii Muzyki im. Artura Rubinsteina. Wzięły w nim udział m. in. żona i córka wielkiego pianisty — Aniela i Ewa Rubinstein. Z tej okazji z uświetniającymi recitalami wystąpili: pianista Krzysztof Jabłoński oraz Trio im. A. Rubinsteina — Anna Wesołowska-Firlej (fortepian), Stanisław Firlej (wiolonczela) i Adam Kostecki (skrzypce). Wśród wielu okazjonalnych imprez miało miejsce 22 kwietnia br. w MHMŁ spotkanie z wybitnymi ludźmi sztuki pn. „Pamięci Artura Rubinsteina". W kościele ewangelickim św. Mateusza 21. bm., odbył się też galowy koncert pod batutą Zdzisława Szostaka, z solistą Krzysztofem Jabłońskim. ■ W Krakowie od 26 kwietnia do 2 maja br. odbywać się będzie II Festiwal Kultury Żydowskiej. Zainauguruje go 26 bm. sesja naukowa pn. „Polska — Izrael", w której udział wezmą naukowcy z Izraela, Wielkiej Brytanii i Polski. Na bogaty program festiwalu złożą się też: koncerty dawnej muzyki żydowskiej, retrospektywny pokaz filmów w jidysz z lat trzydziestych (nakręconych w Polsce). Samoistną częścią festiwalu będą „Dni żydowskiego Kazimierza". W ramach tej bardzo atrakcyjnie zapowiadającej się imprezy przewidziane są koncerty, spektakle i wystawy, zaś jej główną atrakcją stanie się z pewnością giełda judaików. ■ Ekspozycja fotograficzna Włodzimierza Małka pn. „Zraniona pamięć" otwarta została 20 bm. w łódzkiej Galerii 86. Towarzyszyła jej sprzedaż albumu pt. „Cmentarz Żydowski w Łodzi", wydanego staraniem „Artusa" — współorganizatora tej bardzo ciekawej wystawy. ■ W Salonie Sztuki Współczesnej łódzkiego BWA (ul. Piotrkowska 88) 24 kwietnia br. otwarta została wystawa prac malarskich z ubiegłego roku Krystyna Zielińskiego. Zachęcamy do obejrzenia tej ciekawej ekspozycji malarskiej jednego z czołowych łódzkich artystów plastyków. ■ Na Scenie Prezentacji PTL „Pinokio" (ul. A. Struga 90) 27 kwietnia br. o godz. 10 i 17.30 Teatr w Drodze z Gdańska przedstawi „Johanesa doctora Fausta — albo straszliwą historię z ogniami i piekielnymi hałasami...". Natomiast 2 maja o godz. 10 i 17.30 Teatr „Wierzbak" wystąpi ze spektaklem „Kto pocałuje żabę?", zrealizowanym wspólnie z aktorami belgijskimi. ■ Oddział wrocławski Archiwum Wschodniego organizuje w dniach 27—29 bm. sesję pn. „System komunistyczny a Polacy 1939—1956". Przewidziane są na niej m. in. referaty profesorów: Krystyny Kersten, Andrzeja Ajnenkiela i Adama Strzembosza. Towarzyszyć sesji będą wystawy fotograficzne oraz projekcje filmowe ■ W tym miesiącu odbywał się w Polsce IV Światowy Kongres Cyganów. Jego uczestnicy zwiedzili obóz w Oświęcimiu-Brzezince, gdzie oddali hołd zamordowanym przez hitlerowców swym pobratymcom. Przebywali też w Tarnowie, gdzie znajduje się jedyny w Polsce Dom Kultury Romów oraz muzeum poświęcone historii polskich Cyganów. ■ Tegorocznym laureatem nagrody polskiego PEN-Clubu został Kazimierz Leski. Przypadła mu ona w udziale za książkę wspomnieniową „Życie niewłaściwie urozmaicone. Wspomnienia oficera wywiadu i kontrwywiadu AK". ■ Na posiedzeniu Komisji Kultury Rady Narodowej m. Łodzi, które odbyło się 19 bm., radni pozytywnie zaopiniowali wniosek o przywrócenie nobilitującej nagrody artystycznej naszego miasta za najwybitniejsze osiągnięcia twórcze (w okresie międzywojennym jej laureatami byli m. in. Zofia Nałkowska, Julian Tuwim, Władysław Strzemiński). Przychylnie również odnieśli się do postulatu o przywrócenie Miejskiej Bibliotece Publicznej imienia Józefa Piłsudskiego. ■ Rozstrzygnięty został VII Konkurs im. Władysława Strzemińskiego dla młodych adeptów sztuki, organizowany przez PWSSP w Łodzi. Główną nagrodę otrzymała Maria Dietrych. W dziedzinie malarstwa jury nagrodziło Małgorzatę Borek, rysunku — Andrzeja Bartnika, grafiki warsztatowej — Piotra Turka. Laureatami zostali też: Bogusław Strzopa, Zofia Hejke, Joanna Kędziorek, Małgorzata Rosicka, Konrad Kuszynow, Zbigniew Bogatko i Marcin Posiła. ■ Pod patronatem Łódzkiego Towarzystwa Inicjatyw Społecznych w dniach od 27 kwietnia do 6 maja br. odbędzie się w naszym mieście przegląd artystyczny pod nazwą: „Kultura żydowska — Łódź '90". W programie przewidziane są m. in. projekcje filmowe (premiery filmów Andrzeja Wajdy i Agnieszki Holland) koncerty z udziałem artystów z Francji, Izraela, Holandii i RFN, występy żydowskiego zespołu „Nowy dzień" ze Związku Radzieckiego. ■ ZAPROSILI NAS: Biuro Wystaw Artystycznych w Łodzi na wernisaż 6 grafików szwedzkich — Olle Dahla, Bertila Lundberga, Lizzie Lundberg, Mariana Mannera, Helmtruda Nystroma, Per Svenssona, który odbędzie się 27 bm. (o godzinie 14) w Ośrodku Propagandy Sztuki (park im. H. Sienkiewicza).

Opracował: JAK

Łódzka grafika nad Dunajem

MICHAŁ S. DALECKI

Dobrego jak obecny i jeszcze bardziej reprezentatywnego pokazu łódzkiej grafiki będą chyba z niecierpliwością oczekiwać sympatycy „czarnej kreski" w stolicy Słowacji — Bratysławie.

Właśnie dobiega końca zbiorowa manifestacja łódzkich grafików nad Dunajem. Wstępna prezentacja grupy artystów zawiera się w samym tytule wystawy — **„Stanisław Fijałkowski i jego uczniowie".** Całość przemyślana i starannie zrealizowana — ze smakiem a nawet zmysłem handlowym, co jest zasługą łódzkiego BWA i Polskiego Ośrodka Kultury i Informacji w Bratysławie. W nielekkich i na tamtym gruncie czasach organizatorzy zadbali o otwarcie wystawy, lecz dla piszącego te słowa i całym sercem obecnego na otwarciu — absencja autorów była dotkliwym brakiem.

W centralnym punkcie miasta, w witrynach na głównym placu Bratysławy pokazano prace — dobrze tu znanego **Stanisława Fijałkowskiego, Andrzeja Bartczaka, Pawła Ciechelskiego, Jerzego Grzegorskiego, Jana Hrycka, Witolda Kalińskiego, Lesława Miśkiewicza, Andrzeja Smoczyńskiego i Krzysztofa Wawrzyniaka.**

Porządek listy jest oczywiście formalny. Kompozycja wystawy raczej skłaniała się ku realizacji sugestii zawartej w tytule ekspozycji. Nie ma potrzeby chyba podnosić kwestii trafności formuły, bowiem i tak publiczność obcowała z każdym dziełem osobno, a jakieś ogólniejsze refleksje dotyczyły raczej tego co inne w pracach, podobne stanowiło oczywistość samą w sobie.

Być może dlatego na przykład prace A. Bartczaka wyszły na ulicę — eksponowane w witrynach galerii. Cała notabene wystawa przez ponad dwa tygodnie konkurowała z ekspozycją w ośrodku handlowo-wystawienniczym bratysławskich plastyków, położonym po drugiej stronie placu. Zupełnie przypadkowo można więc było poczynić pewne porównania. Co wypada w takiej sytuacji powiedzieć, to głównie to, że oryginalność formy i różnorodność refleksji plastycznej łódzkich artystów stanowiły wystarczającą zachętę do wejścia na teren ośrodka.

I jeszcze kilka spostrzeżeń szczegółowych. Jądrem ekspozycji są oczywiście prace Profesora — taki był zamiar i słusznie, lecz myliłby się ten, kto przedwcześnie uległby sugestii, że inne obrazy stanowiły jedynie tło. W tym upatruję sensu takich zbiorówek — stworzyć warunki dla zaistnienia, w tym wypadku, uczniów. W ciekawym katalogu tej wystawy faktu powyższego jednak nie zaznaczono. Sądzę i nie jestem w tym odosobniony, że o klasie Mistrza stanowią również jego uczniowie. Jest więc bratysławski pokaz jakby dwiema jednocześnie ekspozycjami. Przypadkiem, czy też celowo ujawniło się to w kalendarzu wystawy. Większość uczniów pokazała prace z lat osiemdziesiątych, gdy postać widącą dokumentowano wcześniejszymi dziełami. Już z tego faktu wynika, że pokazano tylko fragment dzieła Stanisława Fijałkowskiego. I to byłby, niestety, pewien niezrozumiały „błąd w sztuce wystawienniczej", który nawiasem mówiąc, w wypadku St. Fijałkowskiego popełnia się, któryś raz z rzędu, że przywołam chociażby dużą wystawę **„Grafika łódzka w czterdziestoleciu".**

Konsekwencją tego jest także komentarz zamieszczony w katalogu, w którym obok trafnych spostrzeżeń zupełnie pominięto wyraźny nurt metafizyczny w twórczości autora, skwitowany jedynie ogólnikiem, że owa metafizyczna tendencja skłania rozum i serce w stronę kontemplacji. Być może jest ta zdawkowość wynikiem szczupłości katalogu. Pominięcie natomiast zupełne wystawianych prac pozostałych artystów jest po prostu nietaktem i to przede wszystkim wobec publiczności, która wciąż jest otwarta na propozycje Ośrodka Kultury Polskiej w Bratysławie.

Piszący te słowa, także łodzianin, miał z wystawy łódzkich grafików bardziej osobiste satysfakcje, mógł przy kilku okazjach to i owo dobrego powiedzieć o łódzkiej szkole drzeworytu, o coraz bardziej samoistnym dziele Andrzeja Bartczaka, o światowej prezentacji małych form graficznych — właśnie w Łodzi.

Pozostaje jednak przekonanie, że obecność któregoś z artystów, a już szczególnie samego Stanisława Fijałkowskiego, byłaby może okazją do trwalszej obecności łódzkiej plastyki nad Dunajem.

Póki co gratulacje dla BWA w Łodzi i propozycja: wystawę — Stanisław Fijałkowski i jego uczniowie — po powrocie z Bratysławy pokazać łódzkiej publiczności!

Galeria pisarzy

ZBIGNIEW NIENACKI

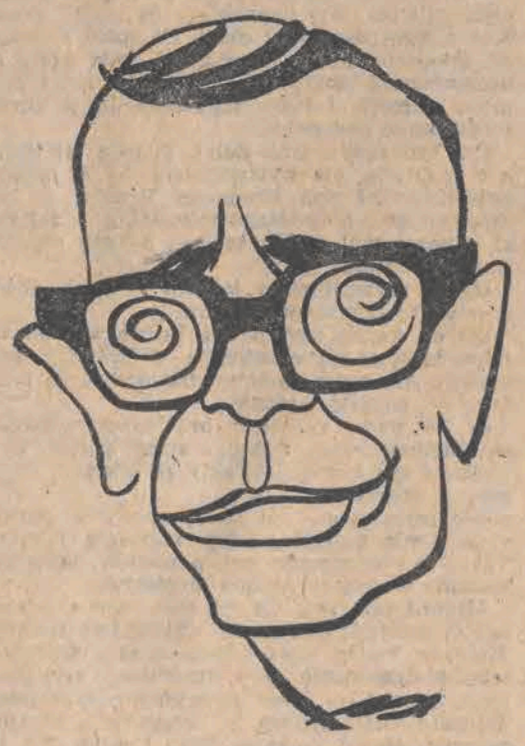

Rys. Sławomir Arabski

Wcisnąłem jej w torebkę pięćdziesiąt funtów.

— Nie ma mowy, Cheryl! Nie mogę cię narażać na taki wydatek z twojej pierwszej pensji.

— Nowicjuszy tutaj te sukinsyny angażują na tak zwanej bazie „no cure, no pay" — nie ma wyników w pracy, nie ma płacy. Krwiopijcy! Protestujące usta zamknąłem pocałunkiem. — Zostaw Cheryl. Jeszcze nie stać cię na to.

Według Stanleya — bossa redakcji sprawdziła się, ale jak na pełną samodzielność ma braki. Tych rzeczy nie można pisać z wędrówek palcem po mapie. Muszą krzyczeć, tętnić krwią żywych ludzi. Ponieważ egzamin zdała, ma prawo stawiać warunki. Proszę bardzo, chce, może wyskoczyć na wycieczkę krajoznawczą po Hiszpanii. Na własny koszt, naturalnie, on nie zgłosi sprzeciwu.

I jeszcze, co Stanley powiedział:

Artykuły koniecznie podlać polityką. Słynna Anna Forrest z „Timesa" nazwisko zrobiła na polityce. Chcąc dziś znaczyć coś w żurnalistyce, trzeba zacząć od polityki. I żadnych tematów tabu. Żadnych świętych krów. Polityka, jeszcze raz polityka. Ale tego nie da się napisać przy kominku; tyłek wynieść trzeba w świat, powiedział Stanley.

Przyniosła foldery z biur turystycznych. Espana. Bienvenidos en Espana! Madryt, królewskie Walencja, Malaga, Sewilla — dwa tygodnie z hotelami, wyżywieniem, autokarami za jedne siedemset funtów od osoby. Łącznie z przelotem w obie strony. Okazja! Co ja na to, bo beze mnie ona się nie pisze.

Wstałem z łóżka i wciągnąłem spodnie. Nie mogę się uwolnić od wrażenia, że nago w oczach kobiety mężczyzna wygląda śmiesznie. Ich zachwyty nad moją budową tego nie zmienią.

Tysiąc czterysta funtów plus kieszonkowe, razem, powiedzmy, dwa tysiące. Za pół miesiąca szczęścia. Dzień po dniu, noc po nocy razem. W Madrycie, w królewskich Walencji, Maladze, Sewilli. Tylko dwa tysiące.

Wyciągnęła ku mnie ręce.

— Wróć do łóżka, kochany. W Hiszpanii, w tym słońcu tam będziemy robić sobie codziennie, kiedy tylko zechcemy. Czyż nie będzie to cudowne? Adam — wychyliła się po mnie — chodź.

Z przystawki do uczty ona robi danie główne. Ja wolę normalnie, ale ona może delektować się nim bez końca. Zauroczenie. Z żadną czegoś takiego nie przeżyłem. Jedno jej spojrzenie, a tracę grunt pod nogami. Gdyby ona wiedziała, jak na mnie działa. Jakiego niewolnika swego ciała i sposobu ze mnie zrobiła. Aż boję się to okazać.

— Adam...

— Daj mi pomyśleć.

Dwa tysiące... Głowa pęka mi w szwach. Skąd teraz, kiedy przy nim nie mam dostępu do konta, wytrzasnę dwa tysiące cholernych funtów? W końcu jesteśmy młodzi i mamy prawo do szczęścia. Dwa. Z tamtych trzynastu tysięcy też będę musiał się rozliczyć...

Udziału w tej eskapadzie nie dało się uniknąć.

Przy kierownicy Zając, obok niego ojciec kwaśny jak ocet, tył dzielę z Brodą. Z równym powodzeniem mógłbym siedzieć z wieprzem. Ale wolę jego od towarzystwa mego starego, on przynajmniej milczy.

Nie mam do niego zaufania. Nie cierpię go. Ten śmierdziel wydaje się myszkować za mną, deptać mi po piętach, grzebać mi we flakach. Nikt w filii za tym szpiclem nie przepada, robi się przed nim uniki, towarzysko bojkotuje go, lecz ja, mając go przed sobą, muszę się hamować, aby nie plunąć mu w mordę. I na zasadzie chyba niewytłumaczalnej przeciwności moją nie skrywaną odrazę do niego kwituje nadskakiwaniem mi. Pluskwa. Wiadomo, że pluskwa, a nie można obcasem jej. Stosuneczki. Jak Boga jedynego kocham, idylliczne.

Więc jedziemy.

W stałym tokowaniu tych z przodu wozu, wciąż na tę samą nutę. Już bez fanfar i bicia w bębny, jak gdyby nie umieli o czym innym. Makaron. Lądowanie na Księżycu a sprawa polska. My! Gdyby nie my, kiedy było trzeba... Ciąg dalszy tej śpiewki wkuto mi w pamięć na blachę. To jego, to ich „gdyby nie my". Od rana do nocy, w świątki i piątki, bez wytchnienia. Przez całe moje dwudziestodziewięcioletnie życie to samo. Że też się nie znudzą! Maniacy. Uzurpatorzy. Oni naprawdę wmówili w siebie odegranie decydującej roli w wyzwoleniu kraju.

Sunęliśmy lustrzanie gładką drogą. Na niebie sierpniowe słońce, ptaki też, choć ich nie słyszę, po obu stronach wozu nic ciekawego. Żałowałem czasu, który mógłbym spożytkować przynajmniej w gniazdku Cheryl. Długo przyglądała się bransoletce. Śliczna. Polacy mają gest — nigdy nie otrzymała takiego prezentu. Musiałem się wykosztować. Po co, przecież wiem, że mnie kocha.

Gdybym wiedział, jak wypadnę na wyścigach, byłbym przezorniejszy.

Słońce przypiekało przez blachę karoserii niemiłosiernie. Nie dopalonego do końca papierosa wyrzuciłem przez okno. Co robić z pustymi rękami? Ciało a wieczność? Rola pracy w uczłowieczeniu małpy? Co z nogami, które przy moim wzroście i tuszy tego śmierdziela Brody muszę kulić pod siebie.

Oni tymczasem truli dalej. Pogoda jak złoto, a ci polityka, nie wytrzymałem. — A hetman Sobieski pobił pod Wiedniem Turków — dorzuciłem do ich zgodnego tokowania — zaś nasi piłkarze byli w Monachium o krok od mistrzostwa świata...

Ojciec przeszył mnie jadowitym spojrzeniem.

— Co ty tam znowu, Adam!

On do końca swoich dni będzie widział we mnie krnąbrnego chłopczyka w krótkich porciętach. Ale czeka go niespodzianka! — Ja tylko tak — odparłem sennie.

— To wasze przeklęte, bezideowe pokolenie! — Zacisnął zęby, napięty, zlany potem kark podbiegł mu krwią. — Fakty są faktami, chyba nie zaprzeczysz?

Nie przeczyłem. Z jakiej strony by się na sprawy nie patrzyło, fakty pozostają faktami. Takie jest odwieczne prawo realiów, takie pozostanie wbrew życzeniom utopistów.

Machnąłem ręką. Co mi tam, głowę miałem nabitą swoimi sprawami. Piętnaście tysięcy... Mniejsze kwoty wpisywałem zawsze w koszty własne dysponenta jego superlewej, arcytajnej kasy, znanej — poza generalnym dyrektorem gabinetu wicepremiera i, oczywiście, samemu wicepremierowi — tylko jemu i mnie. Nie był drobiazgowy. Na tysiąc funtów, dwa tysiące przymykał oczy, tym razem jednak przeholowałem. Mój bookmacher klął się słowem honoru. Jedna z gonitw: trzecia, piąta lub dziewiąta miała być przez właścicieli stajni „robiona" Dwie pierwsze zależne będą od wyników na torze, dziewiąta jest murowana. Gratka taka zdarza się w życiu tylko raz, poszedłem na całego. W trzeciej byłem o włos od wygranej, co oznaczało, że nie byłem podprowadzany, ale sparzony, szósta obstawiłem zbyt ostrożnie i miast odegrać się, wyszedłem ledwie na swoje. W dziewiątej postawiłem pięć tysięcy — raz kozie śmierć! Płacono dziesięć za jednego. Gdyby nie wypadek, zdobyłbym fortunę, niestety, przy wychodzeniu z wirażu na ostatnią prostą — sam nie wiem, jak to się stało — dżokej mojego prowadzącego miast zaoszczędzić mu sił na finisz po zewnętrznej, podciął go ostro, zdezorientowany tłokiem koń rzucił się przed siebie jak do skoku przez przeszkodę i wylądował na bandzie. Pech czy celowa robota, lepiej nie mówić; stary, jak się dowie, wpadnie w szał.

Wielki Londyn pozostał za nami. Jechaliśmy pustkowiem, jak na gęsto zasiedlone tereny wokół tego molocha, nietypowe. Droga wiodła przez krainę chudych pastwisk przebijanych miejscami płachtami szarawego piachu — pozostałości po amerykańskich lotniskach z czasu ostatniej wojny, nie do końca jeszcze skultywowanych. Na południe od trasy zostawialiśmy wżarte głęboko w brzeg spływającej ku morzu Tamizy doki przeładunkowe kontenerowego portu Tilbury, największego w Europie, postawionego w dziewiczym polu w mgnieniu oka, podczas gdy u nas dyskusje nad czymś takim w Gdyni ciągną się dziesiąty rok. Stara Anglia nie oddaje punktów walkowerem w żadnym wyścigu. Dyktowała światu tempo w erze węgla, pary i stali, nie zostaje w tyle w nowoczesnej żegludze. Niewesołe myśli kłębiły mi się w głowie. Albo tak odstałem już od spraw kraju, że widzę je tylko w krzywym świetle, albo mój stary i ja patrzymy na nie z dwóch wrogich sobie pozycji, gdyż co by mi nie powiedział, wracało do niego bumerangiem szyderstwa. Anglia — przez wieki kuźnia świata i światowe centrum kupiectwa. A Marks w Londynie szlifował swój „Kapitał" i mając taki wzorzec, handlować się nie nauczył...

Jeszcze osiem mil, myślałem.

Wcisnąłem się w kąt pluszowej, made by Toyota, klatki wiozącej prominentów naszej motoryzacji. Nie korzystających za granicą, choćby dla reklamy, z wozów krajowych. We wszystkich parametrach ustępujących samochodom produkcji zachodniej. To im strzelił do łba ten absurdalny pomysł. To im przyjdzie za parę chwil oglądać jego żałosne skutki. Moja przekorna dusza już się na to widowisko gotowała.

Jego finał rozegra się daleko od mlekodajnych pól hrabstwa Sussex.

Na obejrzeniu rzecz się nie skończy.

Ostatni akt rozegra się w kraju.

Rozegra się przy spuszczonej kurtynie, naturalnie. Nasza władza nie pierze swych brudów na oczach widowni.

Rozegra się więc w ciszy i jak wszystkie inne smrody władzy ludu pracującego rozpłynie się we mgle.

Chyba że stanie się kolejny cud nad Wisłą...

Prasa brytyjska donosi o wrzeniu w stoczniach i kopalniach, prasa polska tego nie dementuje, a to już coś. Nasza prasa dostarczana tu statkiem, ojciec przybył samolotem, ma świeższe wiadomości. Nadstawiłem uszu.

Wrogowie ustroju socjalistycznego przeniknęli do zakładów pracy i wichrzą. Za bardzo popuszczono motłochowi cugli.

Głosy obsługi lotniska w Warszawie były podgorączkowane, spojrzenia rozbiegane. Napór magmy — cienka jest skorupa Ziemi na terytorium Polski, wulkaniczna. Zwariowany kraj. Tu fetor bezrobocia, tam pracy bez liku i jeszcze buntują się. Napuścić na nich wojsko, a wichrzyciele pod ścianę.

Eppur si muove!

Jeśli si muove, to mnie przy okazji też się dostanie. Ale pieprzę! Ruszajcie się, robole, w tych waszych cholernych kazamatach! Na ulicę z wami!

(3)

Rys. Dariusz Romanowicz

Rzecz pomyślano pod kątem optymalnie ekonomicznym. Jeżeli miała w ogóle coś wspólnego ze słowami: „optymalny", „efektywny", „ekonomika".

Tak zdawało się Anglikom zatrudnionym w londyńskiej filii centrali Polcar, wychowanym na zmurszałej ekonomii kapitalistycznej. Byli oni jednak tylko najemnymi pracownikami, którzy w brytyjskich warunkach pracy podlegali — jeżeli taka wola pracodawcy — natychmiastowemu zwolnieniu, decyzja zaś spoczywała w rękach wybitnych znawców arkanów handlu zagranicznego przybyłych na Wyspę z egzotycznego dla nich kraju zza Żelaznej Kurtyny.

Marketing councellor Polcaru Peter Logan uważał ideę za chybioną. Krakus. Najlepszy samochód krajów obozu komunistycznego. Nie przeczył. Pozwolił sobie jednak zauważyć, że jest to model przestarzały. Nie wróżył mu wzięcia na rynku brytyjskim nasyconym nowoczesnymi markami wozów producentów zachodnich.

Poza swoją przestarzałością okropnie pożera drogą obecnie benzynę.

A także, zdaniem ekspertów, jego niezbyt szczęśliwie zaprojektowana karoseria stoi na bakier z prawami aerodynamiki.

I w ogóle jest za ciężki, jak na swój litraż. Te różnice....

Nie różnice, upierał się Logan, a wady.

Niech będzie. Te wady da się zniwelować dumpingiem ceny.

W przypadku, zauważył Logan, produktów porównywalnych. Wysoka jakość produktu jest sama w sobie dumpingiem ceny.

To Loganowe krakanie! Czesi, Rosjanie sprzedają swoje samochody za połowę ceny najtańszego wozu zachodniego, my — dla zwabienia nabywców używających tutaj wóz i tak nie dłużej niż trzy lata, a tyle nasze krakusy wytrzymają — za, powiedzmy, jedną trzecią; każda kuchta pójdzie na to jak w dym!

Pójdzie, przyznał Logan rozumujący tutejszymi kategoriami rynkowymi, jeżeli w zasięgu oka będzie miała stację serwisową ze wszystkimi częściami zapasowymi, obsługującą ją w ramach gwarancji bezpłatnie i od ręki.

Bezpłatnie! żachnęli się nasi handlowcy. Ci ludzie tutaj mają poprzewracane w głowie!

Tak jest, bezpłatnie, zaripostował Logan i ze stoickim spokojem, z którego dał się poznać, dodał: Od ręki. To znaczy już, na poczekaniu, immediately. A przy okazji wymiany danej części mechanicy sprawdzą jeszcze cały wóz. Też gratis...

Zbyt przesadnie, zdaniem polcarowców, pojmujący swoją rolę Logan przypiął się jeszcze do nazwy samochodu. Rzeczownik crack w pisowni angielskiej kojarzony będzie z crack (ingiem) — jednym z etapów rafinowania ropy naftowej, procesem nie działającym na wyobraźnię, mało finezyjnym. Używany bywa także przez ulicę jako substytut dla czasownika: to break — łamania (komuś) karku. Czy w tym kontekście, myślał głośno Logan, nie warto by zastanowić się nad zmianą nazwy dla mutacji samochodu przeznaczonego na rynek angielski?

I jeszcze jedno, co na marginesie tej pouczającej rozmowy panowie z centrali Polcaru usłyszeli. Logan zna nieco język polski, to słyszał pierwszy raz: kuchta. Ładne słowo. Zachwyciło go brzmieniem. Co ono znaczy? Ach, housemaid, rozumie! Logan nie jest wyrywny. Usłyszeć od niego coś — nie na nasze tempo myślenia, ale jak co powie, to powie. Jako doradca marketingowy, który życzy dobrze swemu pracodawcy, pozwolił sobie na koniec obiadu zauważyć „the pejorative meaning of the word kuchta", raczej w tym kraju nie stosowanego. Klient — obojętnie czy kupuje rolls-royce'a czy hulajnogę — jest klientem i nawet prywatnie należy wyrażać się o nim z szacunkiem. Jeżeli, naturalnie, nie chcemy wyrobić sobie złej opinii...

Ja bym tego Logana ozłocił. Boże, jaką frajdę mi tym sprawił. Ale ekipa założycielska Polcaru składała się z nie byle kogo.

Co tam Logan! Polcar dawał sobie radę z Arabami, z Azjatami — a ci wiadomo, jacy to złodzieje! — poradzi sobie i z tymi tutaj, nie z takimi robił już interesy. Kraj milowymi krokami nadrabiający przemysłowe zacofanie potrzebuje dewiz. Wydobycie surowców osiągnęło apogeum. Ceny węgla i siarki spadają. Utrzymanie tempa rozwoju zapewnić może tylko eksport produktów przetworzonych.

Peter Logan nie przeczył. Surowce nikogo nie wywindowały na Olimp uprzemysłowienia. To domena krajów trzeciego świata, gdzie siła robocza jest tania i nie ma głosu. Gdyby jeszcze tak wielka ropa naftowa. Albo ruda uranowa, złoto i diamenty jak w RPA.

Polcar był tego samego zdania. Idealna zgodność poglądów. Nie ma ropy, nie ma rudy uranowej, nie ma złota i diamentów, ale stworzono już bazę techniczną. Socjalistyczna baza techniczna motorem przyspieszonego postępu. Cena samochodu równa się wpływom ze stu ton węgla. Tysiąc samochodów sprzedanych na Zachodzie zaoszczędzi krajowi sto tysięcy ton węgla. Dziesięć tysięcy samochodów stanowi równowartość miliona ton węgla w twardej walucie. Sto tysięcy samochodów... A jaki efekt propagandowy: Polski samochód osobowy podbija wymagający rynek brytyjski!

Doradca marketingowy Peter Logan miał minę jak gdyby z ekipą Polcaru wybierał się na polowanie na lwy — bez amunicji...

Więc na początek niech będzie tysiąc krakusów, a potem zobaczy się. Trzeba tylko wynająć brytyjskiego autodealera, który da przedsięwzięciu swój szyld, i do przodu.

Dla jadącego pod słońce wyglądało to z daleka na przestrzenną konstrukcję umiejscowioną niezrozumiale w szczerym polu, oślepiającą wzrok kolorami. W miarę przybliżania się konstrukcja traciła pozorną litość masy na rzecz pstrokaciny tej osobliwej figury geometrycznej zbudowanej z metalowo-szklanych pudeł na gumowych kołach ustawionych w długie szeregi równiutko, nos w nos, jedno przy drugim, niczym do parady. Impresjoniście wrażliwemu na wojskowy porządek mogła się nawet podobać.

Przed pasącym się w pobliżu bydłem składowisko chronione było naelektryzowanym drutem, głęboki na trzy czwarte metra rów, oddzielający je od drogi, uniemożliwiał wyjazd bez pomocy rampy. Nieskomplikowany system zabezpieczenia mienia bądź co bądź miliardowej wartości uzupełniały nieduże drewniane tabliczki z nazwą właściciela składowiska i zakazem wstępu. U nas wywołałoby ono uśmiech politowania, a po samochodach powierzonych opiece Pana Boga, bez brytyjskiego poszanowania czyjejś własności, w krótkim czasie pozostałoby tylko wspomnienie.

Osiemnaście równych rzędów. Osobliwą symetrię psuł ostatni szereg liczący czterdzieści niebieskich i rdzawoczerwonych krakusów. Nad dachami karoserii hasały niefrasobliwie stadka wróbli i szpaków, spryskując je rzęsiście odchodami.

Zając przełknął nerwowo ślinę. Tyle razy przypominał Brodzie o zmywaniu od czasu do czasu karoserii. Teraz będzie na niego.

Romuald Osterwa obszedł składowisko. — Nie ma tu strażnika? — zdziwił się.

— Tu jest Anglia...

— Anglia nie Anglia, wszędzie kradną.

Zając uradował się z pominięcia przez zwierzchnika popaćkanych dachów.

— To by strasznie podrożyło koszty składowania — powiedział. — Na samym oddaleniu składowiska od Londynu, tak kwestionowanym przez pańskiego zastępcę, dyrektorze, oszczędziliśmy po trzydzieści funtów miesięcznie na sztuce. Niech pan dyrektor pomnoży to przez liczbę miesięcy, do tego doda oszczędność na gaży strażników, których musiałoby być pięciu... Pięciu, powiedziałem, przynajmniej pięciu, a to masa pieniędzy. Umowę zbiorową z robotnikami traktują tutaj niezwykle poważnie!

— Ile tego tu jest?

— Dziewięćset czterdzieści.

— Znaczy to, że przez rok... — Minę Osterwa miał tragiczną.

— Sprzedano sześćdziesiąt, z czego połowę nabywcy reklamowali, a nie otrzymawszy części zamiennych w ustalonym gwarancją terminie, oddali do naszej dyspozycji. Tu jest niestety Anglia. Musieliśmy pokryć im poniesione z tego tytułu straty.

Z satysfakcją przyglądałem się widowisku, finalizującemu pomysł ojca — bo to jego sprawka — czysto propagandowy „efekt statystyczny", jak się w kraju mówi, nie mający nic wspólnego z interesem, który miał wynieść go na stanowisko wicepremiera. Miliony funtów straty. Z każdym dniem rosnącej, pokrywanej z branych ochoczą łapą pożyczek zagranicznych. Kto się zresztą na tym galimatiasie wyzna.

Lisiej mordki Brody też nie spuszczałem z oka. Nie dałbym głowy, czy w ostatecznym rozrachunku nie dostanie on odznaczenia za troskę o powierzone mu dobro państwowe. Z tytułu oszczędności na strażnikach.

Nie pojadę do nich. Niech sobie myślą, co chcą.

Wciśnięty w kąt Broda pochrapywał. Nadmiar wrażeń i ruchu, jak na jego tuszę, upał i piwo, za którym przepada i którego mu celowo nie szczędzono, zmorzyły go. Przy dworcu King's Cross położyłem rękę na ramieniu Zająca. Skończyły mi się papierosy, a innych nie palę. Niech na mnie nie czekają. Nie dopuściłem ojca do słowa. Bayham Street, gdzie Zającowie mieszkają, to zaledwie pół mili stąd. Zdrętwiały mi nogi. Mały spacerek dobrze mi zrobi.

Atak na mnie ojca urwało pojawienie się czarnego munduru policjanta. Staliśmy kawałek przed białą granicą parkingu. Panowie ci są skłonni potraktować to za obrazę królowej i przestępstwo srodze ukarać. Odstawią Brodę do domu, nim się odświeża po męczącej eskapadzie, będę na miejscu. Pomachałem im ręką. Ukłony dla szanownej pani małżonki.

Mają być (oprócz zimnych przystawek z alaskańskiego łososia, perliczek z beszamelem, pieczonych gołębi, zapiekanych frykadeli i innych drażniących podniebienie smakołyków) ożywczy chłodnik szczawiowo-buraczany na jogurcie, pietruszce i koperku, słynne na cały polski Londyn „Drugie Danie Krystyny Zajacowej", kolację uwieńczą pyszne ciasta i owiane legendą lody malinowo-truskawkowe w gorzkiej czekoladzie, zwane w tym domu Policecreamem. Lukullusowa uczta, nie mówiąc o towarzystwie przemiłych gospodarzy. A potem panowie sobie porozmawiają.

Beze mnie. Panowie dyrektorzy sami znajdą rozwiązanie dręczącego ich problemu.

CDN.

ze str. 1

Kto porwał i zamordował synka Charlesa Lindbergha?

„Dodam do okupu jeszcze 10 tysięcy dolarów z oszczędności całego życia, żeby tylko dziecko wróciło do matki. Czekam na oznaczenie miejsca i czasu spotkania".

Odpowiedź nadeszła już po dwóch dniach.

„Jeśli chce pan pośredniczyć, proszę dać o tym znak w „New York American".

Dr. Condon połączył się z Charlesem Lindberghem.

— *Zgoda* — zadecydował pułkownik — *daję panu pełnomocnictwo, niech pan działa w mym imieniu.*

Minął kolejny dzień. O północy w mieszkaniu dr. Condona odezwał się telefon.

— *Doktorze, niech pan jutro o jedenastej wieczorem pójdzie wzdłuż muru cmentarza Woodlawn w kierunku ulicy 233. Po drodze się spotkamy. Tylko żadnej obstawy, zrozumiano, bo dziecko zginie. Niech pan trzyma w ręku dwie paczki z pieniędzmi, żebym mógł pana rozpoznać.*

Kiedy dr. Condon mijał cmentarną bramę zza grobowych płyt wyłonił się w ciemności wysoki mężczyzna w kapeluszu na głowie.

— *Jest forsa?*

— *Tak* — odparł doktor.

— *Dawaj, niech zobaczę.*

Doktor wręczył nieznajomemu obie paczki, bacznie go obserwując.

— *W porządku* — wyrzekł po chwili mężczyzna — *masz tu kopertę z podanym adresem dziecka. Powodzenia!*

Zniknął w ciemnościach.

Charles Lindbergh, radośnie podniecony zapoznał się z treścią pisma jeszcze tej nocy.

„Dziecko jest na pokładzie „Nelly". Ta mała łódź znajduje się na wodach między Horseneck Beach i Gay Head".

Poszukiwania wszczęte niebywałym nakładem sił i środków, przy współudziale lekkich nawet jednostek marynarki wojennej, przeciągnęły się cały tydzień. Na wody wypłynęły też prywatne motorówki i łodzie rybackie. Zajrzano w każdy zakątek Long Island Sound. Charles Lindbergh dzień po dniu lustrował zatokę z samolotu, przelatując nisko tuż nad falami. Po „Nelly" nie było śladu. Czyżby kidnaper dopuścił się na zimno skalkulowanego oszustwa? Co się stało z dzieckiem?

Utrudzony William Allen prowadził pod wieczór ciężarówkę z Princeton do Hopewell. Traf chciał, że przed Mount Rose zatrzymał wóz, wysiadł i podążył w głąb lasu, żeby nieco rozprostować nogi. Naraz mignęło mu przed oczami jakieś zawiniątko. Podszedł bliżej i oniemiał z przestrachu. Zza gęstych krzaków wystawała nóżka martwego dzieciaka. Bez zwłoki ruszył na pełnym gazie do Hopewell. Po jakimś czasie przy zwłokach odzianych w kolorową flanelę stanął inspektor Harry Walsh. Przeszedł go dreszcz. Czyżby to miał być synek Charlesa Lindbergha?

Ciałko odstawiono w pośpiechu do miejskiej kostnicy. Nie wiadomo, kiedy zebrał się tam zbity tłum. W milczącym skupieniu czekano na przybycie pułkownika. Charles Lindbergh wkroczył do trupiarni szybkim zamaszystym krokiem. Przystanął przy czarnym całunie, na którym spoczywało martwe dziecko. Pochylił się niżej, wparując się z napięciem w twarz dzieciaka. Jego oddech stał się urywany. Zasłaniając oczy ręką, wykrztusił.

— *Tak, to mój synuś, poznaję.*

Śledztwo, jak to bywa w takich wypadkach, skupiło się w pierwszej fazie na domownikach. Inspektor Harry Walsh przepytywał służbę cały dzień. Bez pardonu przycisnął do muru kucharkę. Potem wziął w cztery ognie niańkę Betty Cow. Słyszał, że lata za mężczyznami. Może komuś okno uchyliła? Wreszcie coraz bardziej rozdrażniony brakiem jakiegokolwiek jasnego tropu, dobrał się do Violet Sharp, pokojówki pani Anny Lindbergh.

Zadzwonił telefon. Pułkownik Norman Schwarzkopf usłyszał w słuchawce głos profesora Schoenfelda ze szpitala Mount Sinai w Nowym Jorku.

— *Jestem pewien, pułkowniku* — zachrypiał głos psychiatry — *że mógłbym pomóc w wykryciu zbrodniarza. Bardzo bym jednak prosił o udostępnienie do wglądu jego listów.*

Pułkownik słuchał z niechęcią. Jeszcze tego brakowało, żeby sprawę zaczęli wikłać pokrętnymi wywodami jacyś tam uczeni.

— *Nie chciałbym zabierać panu czasu, profesorze. Z tym fantem poradzimy sobie sami.*

— *Bardzo bym jednak prosił.*

— *No dobra* — ustąpił pułkownik. — *Niech pan wpadnie do nas.*

Po kilku dniach psychiatra Schoenfeld złożył takie oto oświadczenie.

„Nie ma gangu, jest przestępca, który działa w pojedynkę i na własny rachunek. Gdyby chodziło o szajkę, okup musiałby być znacznie wyższy. List z całą pewnością pisał Niemiec. Mieszka w Bronxie. Dowodem na to jest fakt, że czytuje lokalne „Home News". Zna tę dzielnicę doskonale. Dlatego na spotkanie z dr. Condonem wybrał odludny cmentarz".

Norman Schwarzkopf podzielił się uwagami psychiatry z inspektorem Harry Walshem, który promieniał zadowoleniem.

— *Jedną rybkę mam już w sieci. Jeżeli ten facet siedzi gdzieś w Bronxie, zaprowadzi mnie wprost do niego.*

Miał na myśli pokojówkę Violet Sharp. W domu Charlesa Lindbergha wszyscy ją ubóstwiali. Z pochodzenia Angielka uchodziła za skończoną piękność. Inspektor Harry Walsh nie ufał jej i wziął w ostre obroty. Gdy młoda dziewczyna zaczęła się wahać i plątać, zawiózł ją do komisariatu.

— *No jazda, gadaj gdzie byłaś tamtego wieczoru między ósmą a dziesiątą wieczorem. I pamiętaj, nikt tu z tobą nie będzie się bawić w wersal.*

Violet Sharp przycisnęła piąstkę do ust.

— *Spacerowałam, a potem byłam w kinie.*

— *Z kim?*

— *Sama byłam.*

— *Co to był za film?*

— *Western, z Gary Cooperem.*

— *Kto cię odprowadził do kina?*

— *Znajomy.*

— *Przecież mówiłaś, że byłaś sama.*

— *Nie, byłam ze znajomym.*

— *Kto to był?*

— *Nie wiem, pierwszy raz spotkałam.*

Pokojówkę przesłuchiwano całą noc. Wypuszczono ją nad ranem.

— *Wieczorem znowu do ciebie zajrzymy* — inspektor pogroził jej palcem — *nas nie wykiwasz, damy ci tak do wiwatu, że wyśpiewasz całą prawdę jak na irlandzkiej spowiedzi.*

Violet Sharp nie doczekała wieczoru. Otruła się całą garścią nasennych pigułek. Inspektor Harry Walsh oświadczył, że miss Sharp kogoś osłaniała.

W komisariacie zjawił się niejaki Ernst Miller. Wzburzony do głębi zarzucił policji, że zaszczuła jego narzeczoną na śmierć. Tamtego wieczoru Violet Sharp była z nim w kinie. Ma na to wielu świadków, chociażby małżeństwo Green, które siedziało tuż obok. Inspektor pobladł i sięgnął po papierosa. Dlaczego więc nie chciała wymienić pana nazwiska?

— *Skąd mam wiedzieć* — ryknął Ernst Miller — *złożę skargę do Waszyngtonu.*

Samobójstwo młodej i prześlicznej Angielki nabrało rozgłosu. Energiczny protest złożył ambasador Wielkiej Brytanii. Londyńska prasa zawrzała świętym oburzeniem. To jednak prawda, że Jankesi są Anglosasami, a jakże, tyle że z epoki kamienia łupanego. Jak można było tak brutalnie znęcać się nad młodą kobietą, która była tak niewinna, że nie chciała się przyznać, że chodziła z mężczyzną. Waszyngton szybko zareagował i inspektor Harry Walsh został odsunięty od sprawy Charlesa Lindbergha. Udzielono mu też surowej reprymendy.

Śledcze cugle ujął teraz porucznik Finn. Młody, inteligentny i ambitny. Na ścianie za swym biurkiem zawiesił dokładny plan Nowego Jorku. Rozesłał do sklepikarzy i stacji benzynowych rysopis podejrzanego. Wysoki, atletycznej budowy szatyn, brązowe oczy, bystre spojrzenie, wysunięty podbródek i szerokie czoło. Tak odmalował porywacza dr. Condon. Ten człowiek, informował porucznik Finn, będzie prawdopodobnie opłacał rachunek złotymi monetami. Prosimy bieżąco nas o tym zawiadamiać.

Sygnały zaczęły napływać mniej więcej dwa razy w tygodniu. Za każdym razem porucznik oznaczał na planie czerwonym trójkątem miejsce wpłaty. Po trzech miesiącach okazało się, że psychiatra Schoenfeld miał słuszność. Zbrodniczy kidnaper mieszkał w Bronxie. W tej dzielnicy wydawał złote dziesięciodolarówki. Z początkiem 1934 r. w sukurs przyszedł porucznikowi rządowy dekret. Złote monety wyłączono z obiegu. Każdy był zobowiązany do ich wymiany w banku na banknoty. Kryzys nie ustępował. Szło o wzmocnienie federalnych zapasów złota dla stabilizacji dolara. W połowie roku zadzwonił do porucznika właściciel stacji benzynowej na Manhattanie przy Lexington Avenue.

— *Przed chwilą odjechał stąd jakiś drągal w niebieskim dodgu* — meldował. — *Zażądał dwudziestu litrów, rachunek wyniósł dziewięćdziesiąt centów, patrzę, a ten gość podaje mi dwudziestodolarówkę w złocie. Co robić? A on na to, co pan tak patrzy, każdy bank przyjmie złoto z pocałowaniem ręki. Mówił obcym akcentem.*

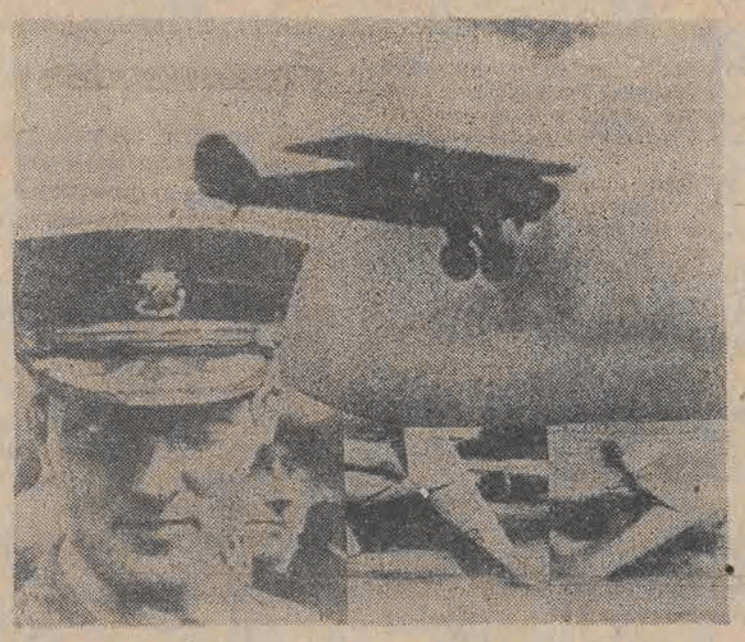

Porucznik Finn aż się cały spiął.

— *Zapisał pan może numer rejestracyjny tego wozu?*

— *Tak, mam to na papierze, Nowy Jork, 4-U-13-41.*

— *Pana nazwisko?*

— *Walter Lyle.*

— *Serdecznie dziękuję, mister Lyle, bardzo nam pan pomógł, nie zapomnimy tej przysługi.*

Porucznik wykręcił numer wydziału komunikacji i dowiedział się po chwili, że posiadaczem dodga jest Richard Hauptmann, zamieszkały przy ulicy 222 na Bronxie. Finn nie posiadał się z radości. Nareszcie, trop jest świeży, jasny, nie budzący żadnych wątpliwości. Dotrze do tego łotra najpóźniej jutro. Pułkownik Norman Schwarzkopf też pogratulował sobie. Cierpliwość przyniosła owoce. Pościg za kidnaperem trwał już dwa i pół roku. Wreszcie zakończył się chyba powodzeniem. Ale trzeba ostrożnie.

W październiku 1934 r. kilkunastu tajniaków pod wodzą porucznika Finna zaległo w gęstych krzakach niewielkiego parku. Porucznik miał stamtąd dobre wejrzenie przez lornetkę na stojący na odludziu nieduży domek. Tam mieszkał Richard Hauptmann. Porucznik wodził po ulicy uważnym okiem. Była pustawa i jedynie w części zabudowana. Ten drań nie powinien umknąć. Taka ulica to pułapka. Chwycił znów lornetkę i dojrzał, że z domu wyszedł do garażu wysoki mężczyzna. Wyjechał niebieskim dodgem. Uwaga, zaraz zaczynamy, skinął na tajniaków. Kiedy dodge zbliżył się do parku, tajniacy skoczyli do samochodów i zablokowali przejazd z przodu i od tyłu.

Do kierowcy, który raptownie zahamował, doskoczył Finn z pistoletem w ręku.

— *Wyłaź, ale już i kładź się płasko na brzuchu.*

Postawny szatyn wysiadł bez cienia lęku na twarzy i ułożył się na jezdni. Obszukano go starannie. W kieszeni znaleziono portfel, w nim dwudziestodolarówkę.

— *Może mi kto powie, co to za cyrk?* — odezwał się mężczyzna.

— *Stul pysk, kiedy nie jesteś pytany* — wrzasnął porucznik — *skąd masz złote monety?*

— *Z oszczędności.*

— *Nie wiesz, że takich monet nie wolno przechowywać.*

— *Wiem, ale wiem też z rodzinnych Niemiec, co to jest inflacja i czego wart jest papierowy pieniądz w razie dużego kryzysu.*

— *Nie bądź taki cwany, jazda z nami, pokażesz nam gdzie reszta takich pieniędzy.*

— *Jaka reszta?* — mężczyzna przewrócił oczami. — *Mam u siebie w puszce po konserwie jeszcze parę takich monet i to wszystko.*

W domu Richarda Hauptmanna odnaleziono w rzeczy samej tylko sześć dwudziestodolarówek. Porucznikowi wpadła w oko potężna polowa lorneta niemieckiej fabrykacji. Przypuszczalnie przez nią Richard Hauptmann obserwował dom Charlesa Lindbergha, pomyślał. Nie uszło mu również, że Richard Hauptmann co rusz podchodził do okna i gapił się czymś zdenerwowany na garaż. Przewieziono go na Manhattan, do komisariatu przy Greenwich Street.

Detektywi wywęszyli, że zatrzymany był cieślą. Wszelako z niewiadomych przyczyn porzucił pracę w 1932 r. W tymże czasie zafundował żonie kosztowną podróż do rodzinnych Niemiec. Udawał się często do Maine na polowania. Nabył też aparat radiowy za 400 dolarów. Skąd zaczerpnął na to środki, skoro wówczas nie pracował?

— *Grałem na giełdzie* — oświadczył Richard Hauptmann.

Naraz porucznik Finn przypomniał sobie, że Hauptmann popatrywał ze swego okna na garaż, siadał i znów wracał do okna. Czyżby tam ukrył pieniądze z okupu? Do domu przy ulicy 222 udała się ponownie grupa tajniaków. Policjanci przeszukali garaż z największą starannością. No i wykryli na jednej z półek pod stropem dwie paczuszki owinięte w gruby papier i nakryte dla niepoznaki różnymi narzędziami. Zawierały ponad 20 tysięcy dolarów w złocie i banknotach.

Richard Hauptmann bynajmniej nie stracił zimnej krwi.

— *Batem się o tych pieniądzach mówić, bo przecież nie wolno trzymać złota. Zresztą te monety nie są moje. Dał mi je na przechowanie Isidor Fisch.*

— *Gdzie on jest?* — zapytał porucznik.

— *Wyjechał do Niemiec.*

— *Kiedy wraca?*

— *Nie ma go, zmarł miesiąc temu w Dreźnie.*

— *Skąd pan wie?*

— *Dostałem list od jego rodziny.*

— *Gdzie ten list?*

— *Nie wiem, gdzieś się zawieruszył.*

— *Mówił pan o giełdzie. Sprawdzaliśmy, zgrał się pan do nitki i grubo zapożyczył.*

— *Tak, ale potem się odegrałem.*

— *Ma pan kopię umowy w sprawie przechowania pieniędzy?*

— *Nie, po co, Fisch wisiał u mnie na dziesięć tysięcy.*

Te wykrętne dość odpowiedzi nikogo nie przekonały i gazety piały z zachwytu. Ohydny zbrodniarz i kidnaper został wreszcie przyskrzyniony.

Przed sądowym gmachem w Flemington, gdzie toczył się jeden z najgłośniejszych procesów stulecia cisnął się od pierwszego dnia wielotysięczny i rozgorączkowany tłum. Fala rozhisteryzowanych ludzi zaatakowała wejściową bramę. O włos tylko nie doszło do linczu. Wreszcie, gdy budynek otoczyli też członkowie „Legionu Amerykańskiego" ciżba nieco ustąpiła. O.K. niech stanie się zadość prawu. Ten zboczeniec nie ujdzie z życiem.

Akt oskarżenia odczytał David Wilentz generalny prokurator stanu New Jersey. Zaczął od charakterystyki oskarżonego. Richard Hauptmann urodził się w Kamieńcu nad Nysą Łużycką. Po przegranej przez Niemcy wojnie żył z rabunku i rozbojów. Raz jeden dostał się po drabinie na pierwsze piętro do mieszkania miejscowego burmistrza. Schwytany na gorącym uczynku stanął przed sądem. Po wyjściu z więzienia udało mu się w 1923 r. przedostać do Nowego Jorku.

Prokurator zrobił pauzę, upił trochę wody z karafki i natarł na podsądnego z taką furią, że sala zamarła w grobowej ciszy. Zakończył słowami: *tylko bydlę wyzute z wszelkich ludzkich uczuć, o zwierzęcej skamieniałości serca, mogło się porwać na czyn tak potworny.*

Richarda Hauptmanna bronił Edward Reilly, jeden z najwybitniejszych adwokatów Ameryki. Zacięty bój o uwolnienie oskarżonego wiódł niezmordowanie okrągły miesiąc. Wywodził spiżowym, budzącym respekt głosem, że trudne chwile po wojnie przeżywał nie tylko Richard Hauptmann. Po zrujnowanych wojną i wygłodzonych Niemczech grasowały całe bandy rzezimieszków i dezerterów. Straszliwe mordy, nic już nie mówiąc o włamaniach, były na porządku dnia. Cóż, kiedy głód skręca kiszki, człowiek aż nazbyt często przeistacza się w zwierzę. Taka jest prawda, walczy wtenczas wszelkimi środkami o przetrwanie.

Zeznania świadków zdruzgotały obronę. Dr. Condon oświadczył krótko i z naciskiem.

— *Oskarżony jest tym człowiekiem, któremu wręczyłem okup. Ta sama twarz, ten sam wzrost, taki sam obcy akcent.*

Sędziom wręczono karteczkę odnalezioną właśnie w domu Richarda Hauptmanna. Widniał na niej napis, 2974 Decatur, SEDG-3-7154. Był to adres i numer telefonu dr. Condona. Dowód, że nikt inny tylko Richard Hauptmann komunikował się z doktorem. Doszła jeszcze opinia profesora Osborna, najwybitniejszego w Ameryce grafologa.

— *Mam stuprocentową pewność, że listy do pułkownika Lindbergha i doktora Condona skreśliła ręka oskarżonego* — stwierdził rzeczoznawca.

Tę opinię podzieliło jeszcze siedmiu innych grafologów.

— *To nie żadne dowody* — zagrzmiał obrońca — *jest cienka herbata, cienkie wino, a tu demonstruje się jeszcze cieńsze dowody, które są tylko wątpliwej jakości poszlakami.*

Edward Morton, majster na budowie „Majestic" oznajmił, że począwszy od kwietnia 1932 r. Richard Hauptmann przestał pokazywać się w pracy. Było to dziwne. Jako ceniony cieśla wyciągał po sto dolarów tygodniowo. Profesor uniwersytetu tego nie miał. A tu zniknął jak kamfora i nigdy potem nie dał o sobie znaku życia. Richard Hauptmann wszystkiemu zaprzeczał.

— *Jestem niewinny* — wołał uporczywie. — *Dowody są sfingowane, świadkowie przekupieni albo zmuszeni pod groźbą do składania fałszywych zeznań. Ja miałbym skrzywdzić jakieś dziecko? Przecież mam własne, za które oddałbym życie. Wrabia się mnie w zbrodnię, której nie popełniłem. Policja chce się wykazać i znalazła kozła ofiarnego, żeby podreperować swą reputację i uspokoić opinię publiczną.*

Wyrok miał zapaść 13 lutego 1935 roku.

Do Flemington zjechało na ten dzień blisko sto tysięcy sfanatyzowanych ludzi. Wzburzony tłum, ciasno okalający gmach sądu, domagał się kary śmierci dla Richarda Hauptmanna. Żadnej łaski, żadnego pobłażania, krew za krew, szyja za szyję. Już przedtem działy się w tym mieście sceny nader osobliwe. W niedzielę, podczas przerw w rozprawie, mężczyźni wpadli na salę sądową, żeby porobić sobie pamiątkowe zdjęcia na fotelu prokuratora, obrońcy i ławie oskarżonych. Przed budynkiem w ulicznych kioskach sprzedawano po dziesięć centów miniaturowe drabinki, dokładną kopię „składanki", jakiej użył Richard Hauptmann. Ulicami w takt paradnych werbli i wojskowych bębnów przeciągały barwne defilady Long live America, śmierć dzieciobójcom. Wielkie to było „show" w dawnym amerykańskim stylu.

Zakończenie rozprawy ogłosił Charles Walton.

— *Oskarżony jest winien porwania i mordu z premedytacją. Skazuje się go na karę śmierci.*

Podano też krótki komunikat. Egzekucja odbędzie się 18 marca 1935 r.

W celi śmierci Richard Hauptmann płakał jak bóbr.

— *Jacy mali są ludzie, jacy podli i pełni nienawiści, choć głoszą, że są chrześcijanami. Dlaczego nikt mnie nie broni? Jestem niewinny.*

A tu nagle pojawiły się coraz liczniejsze znaki zapytania. Może podrzucono do mieszkania Richarda Hauptmanna sfałszowaną kartkę z adresem dr. Condona? Jak mógł doktor rozpoznać porywacza, skoro spotkał się z nim na cmentarzu w zupełnych ciemnościach? Czy można mieć zaufanie do grafologów? Czy sąd był obiektywny, skoro znalazł się pod presją manifestujących tysięcy ludzi? Sam Charles Lindbergh nie opuszczał procesu. Jego obecność paraliżowała sędziów. Patrząc na niego, mieli przed oczami jego nieszczęsne dziecko. W takiej sytuacji sąd często przeobraża się w farsę. Charles Lindbergh znalazł się pod obstrzałem.

Codziennie odbierał listy z wyzwiskami. Grożono mu porwaniem Jona, drugiego synka, którego żona w międzyczasie mu urodziła. Napięcie rosło. Fala nienawiści wciąż się podnosiła. Wreszcie Charles Lindbergh poddał się. Na skraju nerwowego załamania odpłynął potajemnie w grudniu 1935 r. z rodziną do Anglii i osiadł w Liverpoolu. Jako generał brygady zmarł w 1974 r. w wieku 72 lat.

W obronie Richarda Hauptmanna stanęło potężne lobby Amerykanów niemieckiego pochodzenia. Wykonanie wyroku kilkakrotnie odraczano. W końcu sprawa trafiła pod obrady Sądu Najwyższego, który utrzymał w mocy wyrok pierwszej instancji.

O świcie 3 kwietnia 1936 r. strażnicy wywlekli Richarda Hauptmanna z celi na krzesło elektryczne. Był blady, choć opanowany. Siląc się na spokój parokrotnie otwierał usta, być może po to, żeby jeszcze raz zaręczyć, że jest niewinny. Nie zdołał jednak wydusić jednego słowa. Zarzucono mu czarną maskę na twarz i przymocowano skórzanymi pasami do krzesła. Jeszcze sekunda i przeszył go prąd o sile dwóch tysięcy voltów. Przez moment zatrzepotał głową jak ptak w sidle i zamarł bez ruchu.

Sprawiedliwości stało się zadość? Co do tego poglądy do dziś są podzielone. Zagadką pozostała prawdziwa przyczyna samobójstwa Violet Sharp.

JAN BĄBIŃSKI

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia – podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

26 kwietnia — ANDRZEJ GĘBAROWSKI — godzina 10—15.

TELEFON 36-77-70 CZEKA NADAL NA CIEBIE.

SPRAWOZDANIE Z DYŻURU REPORTERSKIEGO W DNIU 19.IV.1990 R.

Człowiek może wiele się wyrzec, może cierpieć niedostatek, kolejki w sklepach, niedogrzanie mieszkania, ale chciałby czuć się bezpiecznym, Tymczasem w sprawie bezpieczeństwa publicznego panuje swego rodzaju zmowa milczenia, a liberalizacja prawa działa jedynie na korzyść przestępców. Pan **Jerzy Libich**, 65-letni emeryt, który współpracuje z Komitetem Obywatelskim w swoim osiedlu, uważa, iż nie należy żyć przeszłością i złymi wspomnieniami, lecz teraźniejszością. A jest ona taka, że ludzie tylko żądają i atakują, a z wytworzonej próżni korzysta zwykły bandyta. Szczytem odwagi byłoby dziś włożyć milicyjny mundur i pójść solo na interwencję w jakieś zakazane rewiry.

Pan Jerzy Libich pyta, czemu dziś wszystko zwala się na milicję, skoro przebudowy wymaga każdy resort, każdy dział naszego życia. Przecież ludzie z byłej MO wywodzą się ze społeczeństwa. Może więc jakie społeczeństwo, taka milicja lub policja? W dobie, gdy wyłażą na wierzch najgorsze cechy Polaków, gdy mnożą się grabieże i rozboje, czas wielki na pojednanie i współpracę. Poza tym ludzie chętnie by się opodatkowali, podobnie zresztą przedsiębiorstwa, bo wszyscy tracimy w wyniku dokonywanych przestępstw, byle tylko mieć dobrą i sprawdzoną policję. Bo policjant nie musi być wcale naszym wrogiem.

Nasz Czytelnik dziękuje **Jackowi Indelakowi** za kontynuację cyklu reportaży piętnujących wszelkie zło i niesprawiedliwość.

Od spraw ogólnych, poważnych, trzeba przejść do bardziej przyziemnych, czyli do zwykłego smrodku. Jak donosi pan **Marek Stojanowski** z ul. Pabianickiej 158, od miesiąca nie wywozi się stamtąd nieczystości z szamba, które już się przelewa. **ROM nr 9** o tym wie, ale udaje głuchego, a w posesji śmierdzi.

Na cmentarzach zaś coraz smutniej, szczególnie na cmentarzu katolickim Zarzew. Nasza stała Czytelniczka informuje, że wycina się tam masowo modrzewie i tuje. Wiele drzew jest tylko podpiłowanych, aby wyciekły soki, po czym transportuje się je do tartaku. Miało być wyciętych 60 proc. drzew chorych, a wycina się zdrowe. Kto o tym decyduje, kto bierze za to pieniądze? I czy to prawda, że modrzewiowe drewno ma być użyte do budowy domków dla zasłużonych, przechodzących na emeryturę? A w ogóle, co na to wojewódzki konserwator przyrody?

RYSZARD BINKOWSKI

POZOSTAJĄ PRZY SWOIM STANOWISKU

Widząc potrzebę istnienia silnej partii chłopskiej podjęliśmy wysiłki w kierunku tworzenia niezależnej, nieskompromitowanej jednej partii Polskiego Stronnictwa Ludowego. Skompromitowany aparat Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, ratując swe pozycje przemalował się na PSL „Odrodzenie". Mimo tego nasz Tymczasowy Zarząd rozpoczął rozmowy w celu połączenia tych sił na takich zasadach, aby partia ta miała pełną wiarygodność i zaufanie wśród rolników i wszystkich ludzi, którzy chcieliby w tym ruchu ludowym działać w imię testamentu Wincentego Witosa i dorobku politycznego Stanisława Mikołajczyka. Z przykrością stwierdzamy, że przemalowany ZSL nie zgadzając się na nasze warunki połączenia wykorzystał ustalenia wstępne do propagowania jedności, do której faktycznie nie doszło.

W sposób manipulacyjny, niezgodny ze statutem, przeprowadzono większość zjazdów gminnych (typowym przykładem jest gm. Zgierz) i zebrań wiejskich. Wobec powyższych faktów Tymczasowy Zarząd Wojewódzki Polskiego Stronnictwa Ludowego, działający przy poparciu Rady Regionu Ziemi Łódzkiej „Solidarność" Rolników Indywidualnych, nie weźmie udziału w planowanym zjeździe PSL „Odrodzenie" i przestrzega działaczy naszej partii i wszystkich uczciwych ludowców przed kompromitacją, jaka ich czeka przy współpracy z tak nieuczciwym partnerem.

Nasze Stronnictwo będzie prowadziło działalność organizacyjną w terenie współpracując z NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność", zachowując ideały, tożsamość i wiarygodność społeczną.

Łódź, dnia 18.04.1990 r.

Mieczysław Korczak, Stefan Wyszkowski, Janusz Biernaciak, Henryk Tomczak, Antoni Mikina, Edward Nowak

Rozmyślania pani woźnej.

Bezbożnicy i ateiści

1.

Myślę, że nie tylko mnie przejął artykuł Zygmunta Roli („Polityka", nr 12) o aferze budzyńskiej. Sprawa nabrała szerokiego rozgłosu, mówiono o niej i w telewizji: dwóch utytułowanych naukowo duszpasterzy (rodem z Budzynia, choć jeden jest teraz dziekanem Papieskiego Wydziału Teologicznego w Poznaniu, drugi — doktorantem Akademii Teologii w Warszawie) rozpoczęło jeszcze w 1989 roku kampanię przeciwko patronowi szkoły podstawowej w Budzyniu, prof. Tadeuszowi Kotarbińskiemu. Kampanię przeprowadzano podczas gościnnych kazań, w imię demokracji oraz niszczenia pozostałości totalitarnej nomenklatury. Dwa pierwsze zarzuty mało skomplikowane i można powiedzieć: typowe — imię patrona przywieziono w teczce, a ponieważ przywieziono przed wybuchem demokracji, więc wywodzi się ono prosto z „tamtego okresu". Trzeci zarzut kojarzy się ze Świętym Officium: Profesor był ateistą, czyli jest niegodnym na patrona dla chrześcijańskiej młodzieży. Patrona wywalić, szkole nadać godne imię, np. gen. Dowbor-Muśnickiego, który nie tylko był wybitnym generałem z sukcesami, lecz nawet raz osobiście odwiedził Budzyń, *„dekorując miejscowego proboszcza Odznaką Wojsk Wielkopolskich Powstańców"*.

2.

Był taki katolicki pisarz, dziś już zapomniany, a ongiś głośny i zaczytywany powszechnie: Archibald Joseph Cronin, którego (działo się to przed wojną) Kościół obłożył prawie anatemą za powieść „Klucze Królestwa", zaś sama powieść znalazła się na indeksie. Czytałam ją dawno, nie potrafię więc teraz ocenić jej wartości literackich, pamiętam jednak do dziś jej moralne przesłanie: jeśli żyjesz, człowieku, godnie i uczciwie, niosąc potrzebującym pomoc, twoje mogą być też klucze do Królestwa Bożego.

3.

Red Zygmunt Rola stara się w swoim artykule usprawiedliwić nieżyjącego profesora z jego ateistycznych poglądów. Pisze: *„Tadeusz Kotarbiński nie był bezbożnikiem. Nie szydził z uczuć religijnych, nie ośmieszał ich ani obrażał"*.

Ta próba „obrony" zbulwersowała mnie silniej niż cała afera, która — summa summarum — dała świadectwo godziwości wiernym z Budzynia, nie chcą oni nowego patrona, chcą profesora, bo: *„jeśli choć w części zaszczepimy młodzieży wartości propagowane przez Tadeusza Kotarbińskiego, to wychowamy ludzi pracowitych, dobrych, szlachetnych, prawdomównych, wrażliwych na krzywdy i niezależnych"*, całkiem nieświetne wystawiając świadectwo autorom nagonki.

4.

Więc jakoś tak, może i bezwiednie, i w najlepszej wierze wyszło Zygmuntowi Roli, że ateista równa się bezbożnik, i to aż taki, który ma zakodowane szydzenie z uczuć religijnych; toteż red. Rola pośpieszył zapewniać, że profesor nie „taki". A ja natomiast myślę, że ekstremalna nietolerancja połączona z duchowym chamstwem przydarza się różnym wyznawcom różnych religii. I ktoś, kto obraża uczucia katolika czy prawosławnego, starowiera lub świadka Jehowy, mahometanina czy mormona niekoniecznie musi być ateistą.

5.

Ateizm jest poglądem, wynikającym z racjonalistycznej filozofii. Mieć pogląd znaczy wyznawać coś, swój pogląd właśnie, więc stawianie znaku równości między bezbożnikiem a ateistą jest urągliwe w stosunku do wyznającego pogląd ateistyczny. Bezbożnik w potocznym tego słowa znaczeniu to ten, kto żyje niegodziwie, kto jest bez sumienia.

6.

„Głosu własnego sumienia niepodobna zastąpić głosem cudzym. W istocie rzeczy każdy z nas, niezależnie od kogokolwiek innego odwołuje się przede wszystkim do głosu własnego sumienia. Ono jest dla każdego z nas sędzią nad sędziami. Ono wydaje w każdej moralnej sprawie sąd: surowy, bezwzględny, ostateczny", wyznaje w „Medytacjach o życiu godziwym" ateista Tadeusz Kotarbiński.

7.

Akt wiary jest aktem intymnym. Można się modlić bardzo głośno, tak, aby inni słyszeli; i można wewnątrz siebie. Znam sporo osób praktykujących (nie wiem: czy wierzących?, gdyż dla mnie to nie jest równoznaczne), którzy modląc się bardzo głośno, w swoim życiu doczesnym doskonale obywają się bez głosu sumienia.

8.

I, nie wiem dlaczego?, przypomina mi się inne zdarzenie: łzy w oczach mego syna, który, siedmioletni wówczas, powrócił z lekcji religii i patrząc na mnie z przerażeniem zapytał: — „Mamo, kogo zabiłaś?" Bo na lekcji religii w małej wiosce mazurskiej katecheta objaśniał siedmiolatkom pojęcie „bezbożnictwa". Bezbożnik to ktoś taki, kto nie chodzi do kościoła. Bezbożnicy kradną, podpalają, grabią, zabijają.

9.

„Polska nie jest wyłączną własnością katolików, jakkolwiek byliby oni liczni. Hasło: Polak-katolik ma swoją piękną treść, gdy mówi o więzi między tym narodem a wiarą Kościoła. Ale ma i swoją złą treść, gdy zaczyna dzielić, gdy ludzi innych wyznań lub niewierzących ustawia jako obywateli drugiej kategorii".

To Jerzy Turowicz, w „Tygodniku Powszechnym". (25.III.1990).

EWA OSTROWSKA

Żydzi w Polsce i nie tylko.

Przypomnieć nieznane

Od 27 kwietnia do 6 maja 1990 r. trwać będą Dni Kultury Żydowskiej Łódź '90, stanowiące aneks do drugiej edycji krakowskiego Festiwalu Kultury Żydowskiej. Do Łodzi przeniesione będą najlepsze imprezy z Krakowa i uzupełnione o propozycje lokalne. Organizatorem jest Łódzkie Towarzystwo Inicjatyw Społecznych, patronują także muzea, biblioteki, Akademia Muzyczna i kino „Przedwiośnie".

Muzeum Sztuki udostępni ok. 800 prac żydowskich artystów dawnej Łodzi, Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne — unikalne starożytne monety. Na numizmatyczne wydarzenie roku zapowiada się pokaz lokalnych emisji monet bitych (!) w starożytnej Judei, odnalezionych w Palestynie, a dostarczonych do Polski przez żołnierza armii gen. Władysława Andersa.

W gmachu Biblioteki Uniwersyteckiej będzie można zwiedzać wystawę druków pt. „Łódzkie judaika" oraz dwie ekspozycje fotografii Włodzimierza Małka i Michała Greia. MBP przedstawi najcenniejsze zbiory czasopism, książek, dokumentów życia społecznego i ikonografię obrazujące dzieje łódzkich Żydów od 1945 roku.

W programie przeglądu filmów znajdą się m.in. nowe kino izraelskie i retrospektywa filmów jidysz nakręconych w Polsce przed wojną. Na szczególną uwagę zasługuje cykl filmów zachodnioniemieckiego producenta Artura Braunera. Ze względu na sposób przedstawienia II wojny światowej projekcje jego obrazów „Morituri" i „20 lipca" dotąd były w Polsce niemożliwe. Organizatorzy zapowiadają również — o ile nic nie stanie na przeszkodzie — premierowe pokazy filmów „Korczak" Andrzeja Wajdy i „Salomon" Agnieszki Holland.

Przewidziano również atrakcyjne koncerty. Łódź gościć będzie także działający do niedawna w podziemiu ukraiński zespół „Najetug", który zaprezentuje obrzędy żydowskie. Czynione są starania o występ kantora z pieśniami synagogalnymi.

MONIKA M.

W pewnej instytucji zmieniono dyrektora. Wyznaczono następcę. Pewnego dnia ustępujący dyrektor wyjął z teczki trzy zalakowane koperty i wręczając następcy powiedział:

— *Życzę wam, kolego, powodzenia w pracy. Tu są właśnie trzy koperty ze wskazówkami. Gdyby wam coś się nie powiodło lub nastąpiły trudności, proszę otworzyć kopertę i zastosować się do zawartych w niej rad.*

BAJKA O DYREKTORZE

Nowy dyrektor podziękował, przyjął koperty, umieścił je w kasie pancernej i przystąpił do działania. Ale praca w instytucji szwankowała. Otwiera więc pierwszą kopertę i czyta:

„Jeżeli Ci się nie powodzi, zwalaj winę na poprzednika".

Dyrektor zastosował się do rady. Sytuacja jednak nie uległa zmianie. Otworzył drugą.

„Jeżeli zwalanie winy na poprzednika nie pomogło, przeprowadź reorganizację przedsiębiorstwa".

Dyrektor zastosował się do rady. Bałagan w przedsiębiorstwie trwał nadal. Dyrektor otworzył więc trzecią kopertę.

„Jeżeli podawane Ci rady nie pomogły, przepisz owe listy, zalakuj je, a potem napisz prośbę o zwolnienie".

MIECZYSŁAW KOZAK

NAUKA NIE IDZIE W LAS

Na trudnym rynku wydawniczym oficyny niezależne radzą sobie znacznie lepiej niż ociężali edytorzy państwowi. Jest to, co prawda, coraz częściej niezależność od fiskusa, dająca grubo lepsze warunki startu, podczas gdy wydawnictwa oficjalne podlegają rozlicznym ciężarom finansowym. Nieznaczne złagodzenie tych obciążeń nie zmieni zasadniczo sytuacji książki, toteż edytorzy państwowi szukają sposobów na poprawę swej kondycji. Zaniechanie drukowania ceny książki na okładce przy tak płynnym i niestabilnym rynku jest zrozumiałe i nawet uzasadnione. Ostatnio jednak zagrożeni kryzysem wydawcy uciekają się do nowych środków: zaniechali ujawniania nakładów. Czy chcą wywieść w pole fiskusa czy autorów, których honorarium uzależnione jest od liczby wydrukowanych egzemplarzy, nie wiadomo. Naśladują tylko lepszych od siebie.

j.d.

Dobry pomysł!

Dziewczyny uczą się samoobrony

Rozmowa z MAJKĄ PALEWSKĄ — trenerką w AZS w Warszawie.

— Kto wpadł na ten pomysł?

— Wspólnie z moim kolegą, który jest w klubie kierownikiem sekcji karate, wpadliśmy na myśl, aby umożliwić dziewczynom obronę przed niespodziewanym napadem.

— I to się wam udało?

— Tak. Jeżeli nawet nie zdołaliśmy wpoić im do końca techniki, bo nie o to przecież chodziło, to będą umiały bronić się. Trudno mi oceniać stopień przygotowania dziewczyn, ale dobre efekty ćwiczeń potwierdzili moi koledzy, a im mogę wierzyć. Zresztą wystarczy nawet to, że będą wiedziały czy uciekać, czy krzyczeć, czy też starać się obronić samodzielnie...

— Na co zwracałaś przede wszystkim uwagę?

— Zwracałam uwagę na zachowanie się podczas ataku, to znaczy wzrok, odpowiednia garda, ułożenie nóg. Próbowałam przekazać pewną taktykę w trakcie napadu, choćby wydawania okrzyków. Uczyłam dziewczyny „czystych" technik samoobrony, wybrałam te, które nadają się w zupełności dla kobiet i są najbardziej użyteczne. Starałam się wyrobić u nich sprawność fizyczną, stosowałam ćwiczenia akrobatyczne, przewroty, elementy judo, czyli gibkość i siła.

— Często spotykałyście się?

— Z punktu widzenia metodyki tylko trening trzy razy w tygodniu daje dobre rezultaty. Nasze spotkania ograniczały się do dwóch godzin w tygodniu. Po prostu brak sali.

— Jak długo trwał kurs, ile kosztował i kto z niego skorzystał?

— Zajęcia prowadziłam przez sześć miesięcy, opłata wynosiła 10 tys. za miesiąc. Wzięło w nich udział 25 do 30 dziewczyn, w zależności od okresu roku. Najstarsza miała 33 lata, najmłodsza 12. Trenowały z nami też dwie głuche dziewczynki...

— Co mają robić kobiety obarczone wieloma obowiązkami, które nie mają okazji ani możliwości poznać technik samoobrony. Jak walczyć z napastnikiem.

— Przede wszystkim nie wchodzić w „niebezpieczne sytuacje", nie prowokować sobą i nie dać się sprowokować, najlepiej nie drażnić przeciwnika i... uciekać szybko, gdy zajdzie potrzeba. Nie polecam gazu, różnego rodzaju pistoletów gazowych i tym podobnej broni z prostego powodu, przy nagłym ataku zaskoczenie i strach jest tak duży, że nie ma nawet szansy na użycie takiego sprzętu. Trzeba bardzo uważać — to ważna zasada.

— Czy dziewczyny brały naukę na serio, czy uważały ją za zabawę?

— Ludzie zazwyczaj mniej poważnie traktują trening fizyczny, zmieniłam więc charakter zajęć na lżejszy, odprężający. Nie było dyscypliny takiej jak w ćwiczeniach karate, ponieważ w grupie znalazły się i dziewczynki, i dorosłe kobiety. Miała to być nauka przy zabawie. A przecież mimo to dziewczyny zyskały orientację, przyzwyczaiły organizm do wysiłku i szybkiego reagowania na bodźce zewnętrzne, czyli wypracowały siłę i refleks. Już samo wprowadzenie pewnych nawyków uważam za spore osiągnięcie. Aby trening był skuteczny, powinien trwać lata. Zresztą zależy to od psychiki, sprawności fizycznej człowieka. Natura bardziej agresywna, otwarta, łatwiej przyswaja sobie rygor ćwiczeń, choć też nie musi być to regułą.

— Czy przewidujesz powtórzenie kursu?

— Jeżeli zbierzemy odpowiednią grupę, prawdopodobnie tak. Zaczęlibyśmy we wrześniu.

Rozmawiała: KATARZYNA PEŁKA

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawione w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

SPORU O DZIECKO CIĄG DALSZY

Po opublikowaniu w „Odgłosach" (nr 9 z dn. 4.03.90 r.) artykułu pt. „Gdy dziecko jest tylko przedmiotem w rozgrywce", zgłosiła się pani (imię i nazwisko znane redakcji), która w opisanych wydarzeniach rozpoznała historię swego nieudanego małżeństwa i sporu o dziecko.

Pani, występująca w tekście jako Dorota G., czuje się urażona jednostronną — jak twierdzi — relacją. Uważa, że wersja przedstawiona przez jej byłego małżonka w wielu punktach mija się z prawdą i przytoczona w „Odgłosach" narusza jej dobre imię. Aby dać satysfakcję pani Dorocie G., przedstawiam zatem jej wersję wydarzeń.

Zdaniem Doroty G. do konfliktów zaczęło dochodzić nie z winy jej ciotki, ale z winy teściowej, która nigdy nie zaakceptowała synowej. Jerzy G. nie sprzeciwiał się matce i w końcu wyrzucił żonę z domu, kiedy ta była w piątym miesiącu ciąży. Zgoda i powrót nastąpiły po trzech miesiącach. Potem Dorota G. znów przymusowo powędrowała do babci i więcej już do domu nie wróciła.

— *Mąż nie chciał się do mnie przeprowadzić, bo tak mu było wygodniej. Kiedy po urlopie macierzyńskim chciałam iść na wychowawczy, stwierdził, że nie będzie utrzymywał żony nieroba i zaczął przysyłać na dziecko 1000 zł miesięcznie.*

Dorota G. mieszkała sama z dzieckiem, a mąż odwiedzał ją, kiedy miał na to ochotę. Nigdy mu nie broniła kontaktów z synem. Ojciec często bez jej wiedzy zabierał dziecko z przedszkola wcześniej, a ona musiała szukać ich u wszystkich krewnych i znajomych. W międzyczasie Jerzy G. szukał żony — efekt był taki, że każdy odnosił wrażenie, iż matka nie dba o syna, skoro nie wie, gdzie on się podziewa.

Według Doroty G. jej małżonek zdobywał różne zaświadczenia w sposób nie zawsze uczciwy.

— *Kiedy szłam do pracy, mąż przebierał dziecko w brudne rzeczy i cichaczem podrzucał do przedszkola. Sam zjawiał się tam później i wyrażał zdumienie, że matka przyprowadziła tak brudne dziecko, po czym ostentacyjnie zakładał synowi te ubranka, które ja dałam Jackowi rano. Na tej podstawie uzyskiwał zaświadczenia, że dziecko przychodzi brudne do przedszkola.*

W szkole było to samo. Według relacji Doroty G., jej mąż zaczął afiszować się z odwiedzinami, dawać prezenty przy świadkach, jakby chciał pokazać, jaki to z niego kochający tatuś. Matka twierdzi, że to ona zawsze opiekowała się synem. Jerzy G. usiłował udowodnić w sądzie, że przez trzy lata zajmował się dzieckiem, gdy tymczasem *„jeśli był z Jackiem, to tylko przez trzy dni i zawsze gdzieś z nim uciekał. Przez dwa lata nie pokazywał się w ogóle, a kiedy potem przychodził, miał pretensje, że utrudniam mu kontakt z synem".*

Zdaniem Doroty G. jej mąż podkradał dziecko pod nieobecność matki. Musiała zacząć lepiej pilnować syna. Któregoś razu ojciec zrzucił (!) Jacka z rowerka i uprowadził na dwa tygodnie w niewiadome miejsce.

— *Myślę, że gdyby mąż nie był w milicji, sąd na pewno pozbawiłby go praw rodzicielskich.*

Kiedy przychodził czas, że ojciec powinien zwrócić dziecko, interweniowała milicja wzywana przez Jerzego G. Jego żona kategorycznie zaprzecza, jakoby ona prowokowała jakiekolwiek awantury.

Opowiada też o wymyślnych prześladowaniach, jakim ojciec poddawał syna: na czas pobytu w jego mieszkaniu rozbierał z ubranek, które dała mu ona i zakładał własne, zabierał zabawki i przybijał wysoko na ścianie, obiecując, że je odda, kiedy Jacek przyjdzie następnym razem, przekupywał syna pieniędzmi, aby skłonić go do ponownych odwiedzin u tatusia. Po powrotach od ojca Jacek podobno bał się matki i miał nerwowe tiki. Zaczął się jakać. Gdy dziecko dłużej nie widziało taty, wszystko wracało do normy.

— *Zawisła nade mną perspektywa, że przed oddaniem dziecka do ojca, i po powrocie będę musiała przeprowadzać wszelkie badania. Teraz Jacek odmawia widzenia się z ojcem i ja go do tego nie będę zmuszać.*

Pani G. mówi, że jej były mąż jest niezrównoważony i uważa, że obcowanie z takim człowiekiem nie wyjdzie dziecku na dobre.

— *To jest psychopata i ma rzeczywiście nieprawidłowo ukształtowaną osobowość, na co jest dokument komisji lekarskiej. Ten człowiek mnie gnębi i chce zniszczyć. To nie jest tak, że on walczy o dziecko, syn jest dla niego tylko pretekstem, żeby zemścić się na mnie za dokonany wybór nowej drogi życiowej. Wszystko, co ja zrobię, co ustali sąd — jest źle. On uznaje tylko własne racje. Bez procesowania się nie potrafiłby żyć.*

Obie strony zaangażowane w sprawę mają swoje subiektywne, ale nie pozbawione racji spojrzenie i obie przedstawiają długie listy zarzutów. Niektóre z nich pokrywają się. Oboje rodzice podważają wiarygodność powołanych przez współmałżonka świadków i podkreślają fakt, że sąd faworyzował akurat stronę przeciwną. Oboje utrzymują też, że działają w interesie dziecka.

„Nieustannym nękaniem dziecku zabiera się dzieciństwo, obarcza znoszeniem nadmiernego ciężaru problemów ludzi dorosłych (...), dezorientuje i wypacza prawidłową ocenę rzeczywistości, comiesięczne stawanie do egzekucji nakazem pójścia do ojca (...) załamuje psychicznie dziecko" — jest to fragment zażalenia wystosowanego przez Dorotę G. do Sądu Wojewódzkiego.

Prawda jest jedna i chyba tylko państwo G. wiedzą jak było naprawdę i czy dało się uniknąć konfliktu, który w obecnym stadium jest nie do rozwiązania. Bez względu na to, która strona faktycznie ma rację, nadal niepodważalny pozostaje fakt, że najbardziej cierpi syn państwa G.

Celem mojego artykułu było podkreślenie tragedii dziecka, wywołanej niezgodą jego rodziców, a więc osób mu najbliższych oraz zasygnalizowanie problemu o wymiarze ogólniejszym, dotyczącym nie tylko tej rodziny. Nie miałam zamiaru nikogo obrażać, ani szkalować i ubolewam, że ktokolwiek mógł odnieść takie wrażenie.

Przewidując, że zwaśnieni małżonkowie zechcą przenieść swój spór na łamy „Odgłosów", pragnę poinformować, że temat uważam za zakończony.

MONIKA MATUSZAK

ZDANIEM WŁADZ GRABOWA

W związku z artykułami red. Bogumiła A. Makowskiego w nr 8 „Odgłosów" „Grabów: — poczuli się oszukani" i w nr 9 „Dlaczego palacz nie dostał mieszkania" — pragniemy wyjaśnić wiele faktów, które świadomie red. Makowski pominął jako niewygodne dla ustalonego i zaplanowanego wcześniej scenariusza.

Nieprawdą jest, jak twierdzi autor, że radni poczuli się oszukani tym, że kierownikiem Gminnego Ośrodka Zdrowia w Grabowie nie został lekarz Czesław Krawczyk a *„zupełnie ktoś inny"*. W czasie sesji GRN w Grabowie 27.02.90 r. na zadane pytanie: kto z radnych poczuł się oszukanym? — nikt z radnych nie potwierdził tezy wymyślonej przez autora artykułu. Jak nam wiadomo red. Makowski nie rozmawiał z przewodniczącym ani członkami Prezydium GRN w Grabowie.

Po wstępnej deklaracji, że szuka prawdy i sensacji, nagrał godzinną rozmowę z załogą Gminnego Ośrodka Zdrowia w Grabowie, w wyniku tej rozmowy dowiedział się o wielu faktach, które pominął. Świadomie nie chciał znaleźć prawdy. „Zapomniał" red. B. A. Makowski napisać, że powołany 1.10.89 na stanowisko kierownika GOZ został lekarz ginekolog-położnik z 15-letnim stażem pracy, zatrudniony w tym ośrodku zdrowia od 1984 r. Z artykułu wynika, że tuż po złożeniu przez doktora Cz. Krawczyka podania o zatrudnienie na stanowisku kierownika.

Gdyby B. A. Makowski chciał uzyskać z różnych obiektywnych źródeł dokładniejsze informacje, dowiedziałby się, że dr Cz. Krawczyk w 1979 r. zrezygnował z pracy na pół etatu w Ośrodku Zdrowia w Grabowie, zatrudniając się w przyzakładowych poradniach „K" w Łodzi. Przez 5 lat do 1984 r. był wolny etat w poradni „K" tegoż ośrodka. W tym czasie dr Cz. Krawczyk nie ubiegał się o ponowne zatrudnienie w tej placówce.

„Aby było śmiesznie" — red. B. A. Makowski wymyślił stwierdzenie — *„że kierownikiem GOZ nie może zostać ginekolog"*. Przeoczył także to, że oprócz kierownika GOZ porad lekarskich udzielają: — lekarz tuż przed specjalizacją z pediatrii, zatrudniona i mieszkająca w Grabowie od 1987 r.; — lekarz internista zatrudniony od 2.11.89 r. Lekarze ci pracują na pełnych etatach w tej placówce. Na pół etatu zatrudniony jest lekarz stomatolog (od stycznia 1990 r. przebywający na leczeniu szpitalnym), natomiast drugi lekarz stomatolog pracuje na 1/4 etatu.

O tym, że potrzebny jest lekarz stomatolog, który byłby zatrudniony w pełnym wymiarze godzin i jakie czynić starania w tym kierunku dyrekcja ZOZ i kierownik GOZ nie muszą się dowiadywać od red. B. A. Makowskiego. Wiadomo jest, że brak lekarzy stomatologów odczuwany jest w całym kraju.

Sprawę obsady kadry lekarskiej GOZ w Grabowie badał wicewojewoda Urzędu Wojewódzkiego w Koninie Czesław Hudowicz, który po konsultacji z przewodniczącym GRN, naczelnikiem gminy, uznał decyzję dyrekcji ZOZ za słuszną i zgodną z wytycznymi MZiOS. W październiku 1989 r. odbyło się spotkanie dyrekcji ZOZ w Kole z prezydium GRN, podczas którego omawiano kwestię zarudnienia lekarza Czesława Krawczyka w tut. ośrodku. Po argumentacji ze strony dyrekcji, prezydium zaakceptowało decyzję ZOZ. Ponieważ artykuł „Grabów: poczuli się oszukani" jest w znacznej części powieleniem artykułu red. Piotra Pytlakowskiego z numeru 1/90 „Przeglądu Tygodniowego", odsyłamy do zapoznania się z treścią wyjaśnienia głównego lekarza wojewódzkiego zamieszczonego w numerze 10/90 tego tygodnika.

Odnośnie artykułu „Dlaczego palacz nie dostał mieszkania", wyjaśniamy, że na zadane redaktorowi B. A. Makowskiemu pytanie w trakcie rozmowy z personelem ośrodka „Czy redaktor, będąc naczelnikiem gminy przydzieliłby mieszkanie w budynku ośrodka przeznaczone dla stomatologa palaczowi zatrudnionemu 2 lata", usłyszeliśmy jednoznaczną odpowiedź — *nie*. Mieszkanie to zajmuje od 20 listopada 1989 r. na okres do 30.06.90 r. pracownica tego ośrodka wraz z mężem i małym dzieckiem. W przypadku przyjęcia stomatologa do pracy zobowiązała się do opuszczenia mieszkania w trybie natychmiastowym.

Po artykule „Dlaczego palacz nie dostał mieszkania?", z pewnością red. B. A. Makowski spreparuje następny artykuł o prawdopodobnym tytule: Dlaczego palacz został zwolniony z pracy? Żeby nie udzielać po raz drugi odpowiedzi, informujemy, że 30.04.1990 r. dyrektor ZOZ rozwiązał umowę o pracę z Z. Borowskim na podstawie odpowiedniego artykułu Kodeksu Pracy.

Wypowiedzi udzielone przez byłego (w latach 1987—89) kierownika Ośrodka Zdrowia w Grabowie opublikowane w obu artykułach, kwalifikują się na ostatnią stronę „Przekroju". Odpowiedź na pytanie: — kto kogo oszukał? — jest jedna. To redaktorzy B. A. Makowski i P. Pytlakowski oszukują czytelników pisząc tendencyjne artykuły.

WALDEMAR ANTOSIK
(Kierownik GOZ w Grabowie)
CZESŁAW CIEŚLAK
(Przewodniczący Prezydium GRN w Grabowie)
14 podpisów (w tym 13 nieczytelnych) personelu GOZ w Grabowie.

SPROSTOWANIE I APEL

Zadzwoniła do mnie pani Krystyna Plichta-Wojciechowska, najmłodsza córka Józefa Plichty, byłego właściciela dworu w Byszewach. Poczuła się dotknięta wzmianką o jej matce, która rzekomo była boną. Piszę: rzekomo, ponieważ mój tekst zawiera tylko relację osoby trzeciej, ściślej — **Franciszka Szuberta**, byłego robotnika folwarcznego, a i on mówi jedynie o tym, co słyszał od innych ludzi. Nie jest to więc stwierdzenie faktu, lecz tylko domniemanie. Spełniając jednak życzenie mej rozmówczyni, prostuję, że — według jej stwierdzenia — matka jej, Zofia z domu Wisłocka, nie była boną — była szlachcianką herbu „Rola", ukończyła prywatne konserwatorium w Łodzi, pobierała również naukę u Ignacego Paderewskiego, a jej pierwszy mąż był podopiecznym Mistrza. Zajmowała się muzyką i plastyką, przy czym jej hafty były prezentowane na wystawach w Paryżu. Przy okazji dowiedziałem się, że również Jarosław Iwaszkiewicz nie ustrzegł się w swych książkach pewnych przeinaczeń, pisząc o ciotce pani Krystyny. Nie ukrywam, że podbudowało to mnie na duchu.

Natomiast list przysłała do mnie pani mgr Urszula Koziejowa z Łodzi. Ponieważ list dotyczy spraw nie tylko mnie interesujących proszę o opublikowanie go w załączeniu mojego listu.

TADEUSZ GICGIER

„Szanowny Panie! Z dużym zainteresowaniem przeczytałam w „Odgłosach" pana artykuł dotyczący Byszew i J. Iwaszkiewicza. Jestem projektantem w Biurze Prognozowania i Projektowania Rozwoju Łodzi i od lat zajmuję się — w ramach problematyki środowiska — obszarem tzw. PARKU KRAJOBRAZOWEGO rej. Górnej Moszczenicy, w zasięgu którego znajdują się Byszewy z parkiem podworskim i dworem, Dobieszków — z młynem wspomnianym przez Jarosława Iwaszkiewicza oraz występuje tu szereg innych elementów przyrodniczo-przestrzennych i kulturowych (np. średniowieczne grodzisko) godnych zainteresowania. Cała ta tzw. strefa krawędziowa Wyżyny Łódzkiej jest swoistym ewenementem geomorfologicznym i krajobrazowym w urbanizowanej aglomeracji łódzkiej. W trosce o ochronę tego obszaru wykonano szereg opracowań studialno-projektowych, w których zaprezentowano zasady jego użytkowania i zagospodarowania. Nie znajdujemy jednak zrozumienia u władz gminnych, których aktualne działania idą w kierunku podziału i sprzedaży najatrakcyjniejszych terenów pod budownictwo letniskowe.

Szukam sprzymierzeńca w działaniach na rzecz odnowy tego rejonu dla celów dydaktyczno-naukowych i turystycznych. Proszę o kontakt.

Łączę wyrazy szacunku —

URSZULA KOZIEJOWA

PS. Skontaktować się ze mną można listownie. Adres: Łódź, ul. Jana Matejki 12 m. 48, telefonicznie w domu pod numerem 78-91-52, w pracy pod numerem 33-96-06.

KIEROWNIKIEM ZESPOŁU BYŁ KTO INNY

Nawiązując do przeprowadzonej rozmowy na temat artykułu Jacka Indelaka „Memento radnego Kantyki" proszę o zamieszczenie w najbliższym numerze „Odgłosów" sprostowania, a także przeproszenia.

Stwierdzam, że ja oraz zespół inspektorów, którym w tamtym okresie kierowałem, nie miał nic wspólnego z kontrolą dotyczącą spraw pana Józefa Niewiadomskiego. Jednocześnie wyjaśniam, że pan Mieczysław Nolbrzak wykonując omawianą kontrolę, pracował w innym zespole inspektorów oraz ktoś inny był jego kierownikiem.

LECH BIAŁECKI

OD REDAKCJI. Publikowany w poprzednim numerze „Odgłosów" list pana Kazimierza Krakowskiego sprawę wyjaśnił ostatecznie. Przepraszamy za nieporozumienie.

ODRADZA SIĘ POLSKI ZWIĄZEK ZACHODNI

W kręgu poznańskich i koszalińskich historyków, zrzeszonych w Koszalińskim Oddziale Stowarzyszenia Autorów Polskich, pojawiła się inicjatywa odrodzenia Polskiego Związku Zachodniego, o przedwojennym profilu działania, lecz usadowionego w dzisiejszych realiach. Znów zamierzamy wydawać „Strażnicę Zachodnią", prowadzić badania nad polską myślą zachodnią, oddziaływać naukowo i społecznie wśród rodaków. Bylibyśmy ogólnopolskim ruchem społecznym niezależnym od jakiejkolwiek partii, kierunku politycznego czy światopoglądu. Naszą wizytówką byłaby wierność Polsce oraz treść „Roty" Marii Konopnickiej i Feliksa Nowowiejskiego. Liczymy na odzew społeczny z Pomorza, Wielkopolski i Śląska. Wspólnie (i sprawnie) opracujemy statut i wkrótce też wystąpimy o rejestrację. Apelujemy do działaczy niegdyś rozwiązanego Polskiego Związku Zachodniego o kierowanie opinii, wniosków, propozycji, doświadczeń i postulatów.

Zainteresowani proszeni są o kierowanie korespondencji pod następującymi adresami:

— **dr Bogusław Polak, 75-519 Koszalin, ul. Hanki Sawickiej nr 16 B/7,**

— **dr Marek Rezler, 60-681 Poznań, Oś. Bolesława Chrobrego nr 28/19,**

— **dr Janusz Śniadecki, 75-519 Koszalin, ul. Hanki Sawickiej 188/7.**

DWA PYTANIA

Pytanie 1. Czy Józef Niewiadomski jest nadal prezesem Towarzystwa Przyjaciół Łodzi? Towarzystwo to potrzebuje rzutkiego prezesa, który obudziłby je z letargu.

Pytanie 2. Dlaczego ani „Dziennik Łódzki", ani „Głos Poranny" nie podały, że Jacek Zaorski ustąpił ze stanowiska dyrektora Wydawnictwa Łódzkiego?

CZESŁAW ŻYLIŃSKI

PRZEDE WSZYSTKIM CHODZI O DZIECI

Dziś dzieci należą do różnych organizacji harcerskich, a o przynależności zadecydowała w większości kwestia przypadku a nie wyboru. Sytuacja będzie się pogłębiać, gdyż w wielu szkołach nie ma żadnego harcerstwa. Obecna sytuacja jest oczekiwaniem na to, która z organizacji harcerskich przyjdzie pierwsza do szkoły, ta będzie miała swoją drużynę, a jeżeli żadna, to co wtedy? Niestety tak jest, szkół dziś nikt prawie nie odwiedza, bo wszyscy wyczekują na decyzję z góry, a dzieci pozostawione są sobie. Tak dalej być nie może.

A chodzi o to, aby nie doprowadzić do rozbicia wśród dzieci i młodzieży, aby nie doprowadzić do sytuacji, kiedy współdziałanie stanie się niemożliwe. Trzeba więc przystąpić do zakładania nowych drużyn.

Przywódcy działających w kraju drużyn harcerskich powinni spotkać się, zasiąść przy „okrągłym stole" albo utworzyć harcerski krąg i zastanowić się nad utworzeniem jednego ZHP, które zaakceptuje wartości zawarte w „Przyrzeczeniu" i „Prawie Harcerskim" Rezultatem tego spotkania powinien być ZHP na miarę naszych potrzeb i oczekiwań, który działać będzie z myślą o dobru dzieci. Wierzę, że tak się stanie!

JÓZEF WITEK

BŁĘDY BĘDĄ USUNIĘTE

Wydział Geodezji i Gospodarki Gruntami Urzędu M. Łodzi prowadzący sprawy nazewnictwa ulic na terenie miasta Łodzi dziękuje panu Czesławowi Żylińskiemu za uwagi dotyczące planu miasta Łodzi zawarte w liście opublikowanym w numerze 13 „Odgłosów" z 1 kwietnia 1990 r. (nieprawidłowości w nazwach ulic). Wydział nasz wszystkie sprostowania prześle do Państwowego Przedsiębiorstwa Wydawnictw Kartograficznych w Warszawie, które jest odpowiedzialne za druk planu, jak też jego graficzne opracowanie. Zostaną one uwzględnione podczas opracowywania kolejnej jego edycji.

mgr inż. PIOTR FABIAŃSKI

MIŁOŚNICY DAWNEJ BRONI I BARWY PROTESTUJĄ

Członkowie Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Broni i Barwy wyrażają publiczną, zdecydowaną dezaprobatę z powodu ukazania się opracowania Henryka Smacznego „Księga kawalerii polskiej 1917—1947. Rodowody — barwa — broń". Wydawnictwo TESCO. Przedsiębiorstwo Zagraniczne, Warszawa 1989. Prezentowanie tej publikacji jako kompendium wiedzy o jeździe polskiej XX wieku, jest w najwyższym stopniu nieporozumieniem, gdyż zawiera niezliczoną ilość pomyłek, zarówno w tekście jak i w ilustracjach. Rozpowszechnianie tego dyletanckiego wydawnictwa z powoływaniem się na pozytywne opinie autorytetów, które nic z tą publikacją nie mają wspólnego, jest nadużyciem. Prymitywizm ilustracji, błędnych nie tylko plastycznie, ale przede wszystkim merytorycznie, jak i pełne nieścisłości teksty, są skandalem wydawniczym. Praca Henryka Smacznego nie powinna była ujrzeć światła dziennego.

UWAGA! TYLKO DO 1 MAJA!

Ośrodek Sztuki Młodych ŁDK i Kuratorium OiW M. Łodzi ogłosiły dla uczniów szkół średnich konkurs literacki: poezja, proza, krytyka literacka. Temat dowolny. Nadesłać trzeba pod adresem: **Łódzki Dom Kultury, ul. R. Traugutta 18** do 1 maja 1990 roku trzy wiersze, opowiadanie lub artykuł krytyczny na temat przeczytanej książki nie będącej lekturą szkolną.

PARAGWAJ: — Mały, biedny, rolniczy kraj.

Z misją wśród Indian

To zaczęło się bardzo dawno. Byłam chyba w siódmej klasie, odprowadzałam babcię do kościoła. Wtedy po raz pierwszy pomyślałam o podróży do dalekiego kraju. Zdaję sobie sprawę, że były to tylko dziecięce pragnienia, choć w końcu przesądziły o całym moim życiu. Prawdziwą decyzję podjęłam wkrótce później, wybrałam liceum medyczne, by zdobyć zawód i wyjechać. Po szkole przez dwa lata pracowałam w szpitalu na oddziale ortopedii, powolutku poznawałam przyszłe zajęcie i... bardzo się bałam. Jednak postanowienie wyjazdu nie zniknęło, mimo początkowej niechęci rodziców, mimo dziwnych spojrzeń ludzi, mimo serdecznych, tak mi się przynajmniej wydaje, rad moich kolegów i zwierzchników. Marzyłam o Afryce, przygotowywałam się do pracy z chorymi, a wolne chwile poświęcałam na grę w siatkówkę.

Decyzja wyjazdu z kraju nie była łatwa, a to co działo się później jeszcze bardziej skomplikowało mi życie i aż dziw, że nie zrezygnowałam ze swoich planów. Wprawdzie faktem jest, że wybrałam sobie na wyjazd trudny okres w życiu kraju, początek lat osiemdziesiątych. Porozumiałam się wówczas z zakonem michalitów z mojej parafii i wspólnie staraliśmy się o zaproszenie dla mnie.

Biuro misyjne wysyła zwykle swych pracowników na placówkę na trzy lata. Wiąże się to z wysokimi kosztami, a wszystko pokrywa Kościół. Moja sytuacja była zupełnie inna. Nie jestem związana z żadnym zakonem, toteż procedury mego wyjazdu nie prowadzono normalnym trybem, podobnie było także z kwestią wynagrodzenia za pracę.

Prawie trzy lata ubiegałam się o paszport. Wzywano mnie na komendę, sprawdzano dokładnie moją skromną dwudziestoletnią przeszłość i dane osobowe. W końcu udało się i po dwukrotnej odmowie otrzymałam, zresztą w stolicy RFN, wizę paragwajską i zgodę na wyjazd.

Kiedy w 1984 roku wsiadałam w Gdyni na statek płynący do Buenos Aires nie wiedziałam o tym kraju nic, ponad to, co można przeczytać w podręczniku, zobaczyć w atlasie. Co więcej, nie miałam dużego doświadczenia jako pielęgniarka. Nie powiedziano mi nawet jak duży bagaż mogę zabrać, wiozłam ze sobą akordeon, gitarę... Ze stolicy Argentyny wyruszyłam autobusem do Asuncion.

3 lutego 1990 r. upłynął rok od momentu obalenia w Paragwaju dyktatury generała Alfredo Stroessnera. Po 35 latach niepodzielnej władzy w partii, armii i całym narodzie, jeden z najwierniejszych żołnierzy, zięć genialnego dyktatora wstrząsnął krajem. Mówiono wówczas o prawdziwej rewolucji, dużym postępie, rozwoju gospodarki Paragwaju i współpracy z innymi krajami, o upadku patriarchalnego absolutyzmu.

Tymczasem, jak się okazało, wszystko zostało w rodzinie. Nowy przywódca w zasadzie kontynuuje ultraprawicową politykę swego teścia. Nie widać zmian w sposobie i standardzie życia Paragwajczyków. Mówię w zasadzie, ponieważ niespodziewanie uległa zmianie sytuacja Kościoła katolickiego w Paragwaju. Stosunki Alfreda Stroessnera z biskupami były właściwie żadne. Przez wiele lat problem stwarzało już samo istnienie władzy kościelnej, jego wpływy i przywileje.

Dziś wygląda to nieco inaczej. Don Rodriguez nie tylko zaraz po objęciu stanowiską porozumiał się z episkopatem w stolicy, ale też zgodził się na poprawę warunków materialnych Kościoła i jego wiernych. Religia chrześcijańska, początkowo narzucona przez hiszpańskich kolonizatorów, znalazła tu gorliwych wyznawców. W Paragwaju, liczącym około 5—6 mln ludzi, 90 proc. to chrześcijanie. Dane są oczywiście niedokładne, ponieważ wszelkie rejestry prowadzone przez rząd nie odzwierciedlają istniejącego stanu rzeczy. Nie dokonuje nikt spisu ludności, nie ma dowodów osobistych, dopiero od roku wprowadzono pod karą grzywny konieczność rejestracji narodzonego dziecka.

Paragwaj jest ubogim krajem rolniczym. Istnieje w nim tylko kilka lepiej rozwiniętych kolonii niemieckich. Ludność stanowią Paragwajczycy, Indianie, Niemcy. Na południu mieszkają również Azjaci. Są tam miejsca, do których dotrzeć można wyłącznie drogą wodną.

Kraj kontrastów — tak zazwyczaj określa się stosunki w państwie, gdzie mniejszość żyje w stylu zachodnim w mieście, a większość gnieździ się w niby-domach na wsi, w tragicznych czasem warunkach. Dopiero od 1989 roku rozwija się proces elektryfikacji Paragwaju, który posiada (porozumienie z Brazylią) jedną z największych elektrowni wodnych świata — na rzece Parana. Również system opieki zdrowotnej pozostawia wiele do życzenia. Np. w stolicy obok dobrze wyposażonych i nieźle prosperujących klinik prywatnych istnieje jeden szpital dla ubogich. Pomoc lekarska jest zbytnim luksusem dla wielu i stąd potrzeba pomocy. Nauczyłam się więc być lekarzem...

Z Asunciõn trafiłam najpierw do Nemby, oddalonej od stolicy o 19 km. Musiałam szybko uczyć się języka, a później rozpoczęłam pracę „katechetyczną". Hiszpańskiego nauczył mnie polski ksiądz, opiekowałam się dwiema grupami młodzieży, dziećmi i ministrantami. Jakiś czas pracowałam w klinice jako pielęgniarka.

Minęło półtora roku i postanowiłam przenieść się na północ kraju. Moim zwierzchnikiem był biskup San Pedro, Monsenor Oscar Paez. On właśnie skierował mnie w 1986 roku do kolonii San Pablo, położonej 360 km od stolicy. Nie było tam wcześniej żadnego misjonarza, lekarza ani pielęgniarki. Najbliższy szpital jest oddalony o kilkadziesiąt kilometrów. Droga, tzw. czerwona ziemia, często, a zwłaszcza po deszczu, bywa nieprzejezdna. Wobec tego nauczyłam się jeździć motorem, aby docierać bez problemu do poszczególnych wiosek i osady oddalonej aż o 30 km. Dziś jestem nie tylko pielęgniarką, akuszerką, ale i lekarzem. Umiem już odbierać poród, nawet i przy latarce!, bez słuchawek położniczych; sama szyję rany, tamuję silne krwotoki.

Jestem także nauczycielem, seksuologiem, dietetykiem i aprowizatorem. Wykorzystuję godzinę po wspólnej niedzielnej modlitwie w kaplicy na wygłaszanie pogadanek o prawidłowości żywienia, kulturze życia seksualnego. Przeraża mnie bowiem korzystanie z usług znachorki-położnej, której jedyne doświadczenie polega na tym, że urodziła piętnaścioro dzieci, czy „lekarza", który kiedyś w wojsku pracował w punkcie sanitarnym, a dziś jest uznanym miejscowym specjalistą: chirurgiem i ginekologiem. Najczęściej występujące dolegliwości to choroby skóry, związane z klimatem oraz choroby przewodu pokarmowego. Przypadków zachorowań jest bardzo wiele, więc pracę rozpocząć trzeba wcześnie rano.

Pomoc medyczna jest tylko w części płatna — nie pobieram opłat za konsultacje, mierzenie ciśnienia. Natomiast za leki, szczepionki chorzy muszą płacić. Lekarstwa i potrzebny sprzęt przywożę ze stolicy sama, wcześniej składam zapotrzebowanie w prywatnych zakładach farmaceutycznych i muszę rozliczyć się z wydanych pieniędzy przed biskupem. Od niego pochodzą przecież wszystkie fundusze, a też moje wynagrodzenie — 60 tys. guarani. Dla porównania jeden dolar = 1200 guarani, bilet autobusowy do stolicy kosztuje 4—5 tys., przelot samolotem 25—30 tys. Nie jest to wysoka płaca. Zresztą nikt z nas nie nazywa przyznanych mi pieniędzy pensją. Jestem osobą świecką i nie mogę otrzymywać „normalnego" wynagrodzenia z Kościoła. Pieniądze od biskupa San Pedro traktujemy jak pewien rodzaj zasiłku, bądź zapomogi. Dzięki nim stać mnie na podróż do Asunciõn raz na miesiąc, zrobić sobie zakupy...

Nie wydaję pieniędzy na mieszkanie i utrzymanie, zapewnia mi to jedna z zamożnych rodzin w wiosce. Ludzie ci sami zaproponowali mi swoją opiekę i nie pierwszy raz byłam wtedy bardzo wzruszona. Czasem chciałabym, żeby był przy mnie ktoś z większym doświadczeniem, służący mi radą i pomocą. Po to między innymi prowadzę grupę „servidores de salud", której członkowie szkoleni są, w jaki sposób udzielić pierwszej pomocy, jakie leki podać w określonych przypadkach. Każdy z członków tej grupy ma w domu apteczkę z niezbędnym sprzętem i środkami. Muszę przyznać, że jest mi raźniej...

Zwykle w oddalonych od „cywilizacji" miejscach pracuje dwóch misjonarzy. Ja i moja koleżanka Paragwajka jesteśmy wyjątkami, obie radzimy sobie same...

Paragwaj z nadejściem lata zmienia się w barwny, radosny kraj. Wtedy też jest najgorętszy okres dla rolników. Wychodzą wcześnie rano w pole i pracują cały dzień.

Do pracy w polu używają „carro polaco", polskich wozów na wysokich kołach, które „przeniesione" zostały z Argentyny i Brazylii, czyli z większych skupisk Polaków w Ameryce Południowej. Nazwa miła jest dla ucha polskich emigrantów, a mieszka ich tam sporo. Zwłaszcza w kilku koloniach. W Paragwaju takie osady znajdują się w kolonii Fram i Cammen del Parana na południu kraju. Oprócz rodaków na emigracji żyją tu i pracują polscy misjonarze.

Kościół w Paragwaju ma przed sobą mnóstwo zadań z różnych dziedzin: oświaty, kultury, ekonomiki... Jednak najważniejsza, a zarazem najpiękniejsza rola realizuje się na co dzień, w pracy i modlitwie. W duchu religii umacniamy naszą wspólną wiarę, więzi, rozwijamy osobowość człowieka, staramy się kształtować ludzkie postawy... Przy obecnych trudnościach praca jest naprawdę ciężka, Kościół cierpi na brak księży, kleryków, sióstr. W mojej kolonii niedzielną mszę świętą z powodu braku celebranta zastępujemy wspólną modlitwą, czytaniem Ewangelii w kaplicy. Żyjemy 60 km od miejsca, gdzie mieszka ksiądz i może zjawić się on u nas nie częściej niż raz na miesiąc, na dwa miesiące. Sami przestrzegamy więc skrupulatnie tygodniowych spotkań i celebracji Słowa Bożego. O znaczeniu wiary w życiu Paragwaju świadczyć może choćby fakt, że 8 grudnia — święto Niepokalanego Poczęcia — jest świętem narodowym.

Pracują tu misjonarze, werbiści i michalici, klerycy z seminarium duchownego, siostry zakonne, siostry bezhabitowe, osiemnastu misjonarzy świeckich (wśród nich ja jako jedyna pochodzę spoza Paragwaju), grupy charytatywne, w których składzie są nauczyciele, lekarze, pielęgniarki. Na misje przyjeżdżają Niemcy, Francuzi, Hiszpanie, Włosi, Polacy...

To może zabrzmi banalnie, ale to niezwykle ciężka praca. Najtrudniejsze zadanie mają ludzie pracujący wśród Indian. Plemiona te zachowały swoje wierzenia, rytualne tańce i śpiewne modlitwy, do dziś odprawiają własne nabożeństwa. Siostry, skierowane do tej części państwa paragwajskiego, gdzie żyje najwięcej Indian, przez 9 lat nie doczekały się prośby o chrzest dla narodzonego dziecka. Jeżeli będę mogła spróbuję i tam dotrzeć. Jeszcze bardziej na północ... Choć teraz nie powinnam o niczym przesądzać.

Spotkałam wielu ludzi, którzy nie wierzą w mój powrót do Paragwaju. Tłumaczą mi wszystkie „przeciw". Zdaję sobie sprawę, że dla wielu to, co robię, jest niepojęte, nienaturalne, wręcz na pokaz. Mówię o nich, że są małej wiary, choć być może to też niesprawiedliwe. Pewne jest, że wracam do kolonii San Pablo w połowie marca.

Zanotowała:
KATARZYNA PEŁKA

Jak zdobyć pieniądze?

Gdy słońce odbija się od dna kasy

W czasie wojny muzy milczą, w czasie gdy na wszystko brakuje pieniędzy najbardziej zagrożona jest kultura. I pieniądze dla niej najczęściej są „obcinane". Ale trzeba coś robić, trzeba się ratować i po to właśnie Dzielnicowy Komitet Obywatelski „Solidarność" na Bałutach zorganizował spotkanie pod hasłem „Funkcja kultury w nowej rzeczywistości". Na spotkaniu byli wszyscy, którzy powinni — profesjonaliści i amatorzy, plastycy, muzycy, przedstawiciele chórów i domów kultury. Mówiono długo i burzliwie, aczkolwiek konkretnie i w nastroju niekoniecznie żałobnym.

Wszyscy mówili o swoich bolączkach, wśród których, rzecz jasna, poczesne miejsce zajęły pieniądze. Plastycy utyskiwali na to, że pracownie traktowane są jako lokale użytkowe, co bardzo podnosi czynsze. Orkiestry i zespoły taneczne do tej pory utrzymywane przez zakłady pracy cienko przędą — signum tego, co dzieje się z łódzkim przemysłem. Chóry także cienko pieją, zaś ten z XXVI LO jest bliski zaniku głosu — też z powodu money... W stosunkowo najlepszej sytuacji są domy kultury, o których myśli się błędnie, że nie mają możliwości zarobienia na siebie. Dzielnicowy Dom Kultury na Bałutach potrzebuje na życie znacznie ponad miliard złotych, 50 procent tej kwoty potrafi sam zarobić i dla dobra działalności stara się zmierzać do jednego z trzech, sławnych kiedyś „S" — samofinansowania.

Pobiadolono, ale wiadomo, że pożytku z tego niewiele.. Dlatego należało odpowiedzieć — co dalej? I okazało się, że są pieniądze — w dużej części spółdzielniach mieszkaniowych. Osiem złotych z czynszu za każdy metr kwadratowy odpisywane jest na działalność społeczno-wychowawczą de facto kulturalną. Rady Nadzorcze powołały komisje, które zajmą się pożytecznym wydawaniem tych pieniędzy. Czy to jest jakieś novum? Nie, tyle tylko, że do tej pory te pieniądze były często wydawane na sprzęt audiowizualny, który ozdabiał gabinet prezesa lub w sprawozdaniach o kwitnącej działalności ukrywano ich prawdziwe wykorzystanie. Teraz nowe władze w spółdzielniach mieszkaniowych mogą wykorzystać szansę jaką dali im wyborcy. Aby pełniej z niej korzystać, wyłoniła się w DKO „S" na Bałutach grupa — plastycy, muzycy i inni — związana z kulturą, która będzie pomagać i doradzać spółdzielczym komisjom do spraw społeczno-wychowawczych.

I na koniec rzecz, z której zastępca przewodniczącego komitetu obywatelskiego Bałut — Jacek Woron jest zadowolony najbardziej. Powołano Dzielnicowy Fundusz Ochrony Kultury. Ukonstytuowała się sześcioosobowa grupa inicjatywna, która będzie „główkować" co i jak zrobić, aby zarobić pieniądze, później przeznaczane na ratowanie kondycji dzielnicowej kultury. Jak będą zarabiać? Są już pomysły, ale o tym sza. Żeby nie zapeszyć.

A co z dodatkami z budżetu dzielnicy? Ano, jeszcze trochę i w dniu dzielnicowej kasy odbije się słońce.

BAM.

Nasz świat.

Człowiek jest częścią przyrody

22 kwietnia 1990 roku był Dzień Ziemi. 28 kwietnia będzie Światowy Dzień Ochrony Środowiska. Człowiek — istota dumna — wyniósł się ponad swoje otoczenie, a ponadto wpadł na szatański pomysł, aby regulować przyrodę i kształtować ją wedle własnych potrzeb. Teraz przeciera z przerażeniem oczy, gdy ogląda skutki swojej „radosnej twórczości". Ponoć — tak mówią zagraniczni fachowcy — najgorzej pod tym względem jest w Europie Wschodniej.

Południe Polski umiera. Marlise Simons z „New York Times" pisze, że w południowej Polsce ludzie żyją przeciętnie o 4 lata krócej niż w innych częściach kraju. Przebadano 1000 młodych polskich matek i stwierdzono, że w ich łożyskach są toksyczne metale, a w tym ołów i rtęć. O zadymianiu i zatruwaniu Łodzi i Śląska nie będę już wspominał, bo to wszyscy dobrze znają.

Czechosłowacka Akademia Nauk stwierdziła, że połowa wody pitnej w Czechosłowacji nie nadaje się do picia, nie spełnia bowiem najniższych, wymaganych dla tych celów kryteriów. Na Węgrzech ludzie wymusili zaniechanie budowy wielkiej hydroelektrowni, gdyż byłaby to „bomba ekologiczna" w tym rejonie, o skutkach nie dających się nawet dokładnie przewidzieć. Po rozebraniu muru berlińskiego okazało się, że NRD po cichu odbierała od Berlina Zachodniego śmiecie: 400.000 ton odpadków i 40.000 ton odpadków toksycznych rocznie, za co w latach 1975—1989 otrzymała 700 milionów dolarów. Ale skutki tego zaśmiecania NRD nie dadzą się wyliczyć w żadnych pieniądzach.

Jeden z niemieckich komunistów — pisze w „New York Times" Flora Levis — powiedział nie bez racji: — *Straciliśmy kontakt z ludźmi, skupiliśmy uwagę na statystyce!* — Ale statystyka też swoją wymową może porazić człowieka. Tylko jest to możliwe wtedy, gdy służy prawdzie, a nie budowie dobrego samopoczucia rządzących.

W tymże „New York Times", ukazał się rysunek. W pierwszej klatce człowiek z napisem *„Easten Europe"* biegnie, krzycząc radośnie: — *Jestem wolny! Jestem wolny!* W drugiej idzie cały w szczęściu wołając: — *Mogę robić co chcę! Mogę myśleć co chcę! Jestem na swoim!* W trzeciej klatce zastanawia się nad swoim położeniem. W czwartej woła rozdzierająco: — *HELP! POMOCY!*

Współczesny człowiek nie tylko w Europie Wschodniej znalazł się na rozdrożu. Z jednej strony musi pokonać cywilizacyjne zacofanie. Z drugiej musi pokonać ekologiczne zagrożenie. Rozwój cywilizacji nie zawsze idzie w parze z troską o środowisko. Gdy chce się szybko nadganiać opóźnienia, to czasem „dobrze jest" przymknąć oko na pył, trucizny i kwaśne deszcze. Katastrofy ekologiczne zdarzają się też w krajach wysoko rozwiniętych.

Czy jest na to jakiś sposób?

— Pierwszy — człowiek musi zrozumieć, że jest tylko i wyłącznie częścią przyrody i jego działalność zakłócająca porządek w przyrodzie szkodzi przede wszystkim jemu.

— Drugi — człowiek w społeczeństwie obywatelskim ma prawo do zrzeszania się i wypowiadania swoich poglądów. To daje mu szansę stowarzyszania się w celu kontrolowania poczynań cywilizacyjnych, aby nie obracały się przeciw jemu samemu. Tylko w taki sposób można skutecznie bronić środowiska, którego częścią jest człowiek. Bronić przyrody.

A dni Ziemi i ochrony środowiska tylko mają o tym przypominać.

WITOLD BOROWY

OGŁOSZENIA DROBNE

NAUKA-PRACA

STUDENCKIE Biuro Korepetycji ZSP UŁ 32-59-65
13431-g

USŁUGI

DETEKTYW prywatny — 55-55-00, 57-76-40 w. 234, 78-15-55
24360-g

MALOWANIE, tapetowanie. Gwarancja 33-81-22
24688-g

ZGUBY

KATARZYNA Karasińska zgubiła indeks i leg. studencką wydaną przez UŁ
24599

ANNA Przybysz zgubiła legitymację studencką 69384/S UŁ
24786-g

PAWEŁ Szczech zagubił legitymację studencką PŁ 64925
24459-g

UNIEWAŻNIAM pieczątkę Handel Detaliczny Art. Przemysłowymi Danuta Sztekmiler 90-117 Łódź, Narutowicza 23
24597-g

UNIEWAŻNIAM pieczątkę „Dziewiarstwo Maszynowe, Krawiectwo A. Żubert, T. Jaśkiewicz Wiączyń nr 15, gm. Nowosolna tel. dom. 48-00-87"
15535-g

KUPNO-SPRZEDAŻ

CEGIELNIĘ czynną sprzedam. 57-57-35 Łagiewski, Łódź
24704-g

PRYWATNE PRZEDSZKOLE BALETOWE

przy

PAŃSTWOWEJ SZKOLE BALETOWEJ
w Łodzi

P R Z Y J M U J E

DODATKOWE ZAPISY DZIECI
w wieku 6—10 lat

na następujące zajęcia:

— taniec klasyczny
— taniec ludowy
— taniec jazzowy
— rytmikę
— gimnastykę wyrównawczą przy muzyce.

Zajęcia odbywają się w środy i piątki, w godz. 17—19, w Państwowej Szkole Baletowej, w Łodzi, ul. Wrocławska 3/5.

Szczegółowe informacje: Spółka „TOMI", ul. Wspólna 6, tel. 34-33-05.

kb

od środy do środy

PROGRAM TV

ŚRODA 25.04.1990

PROGRAM I

7.45 Express gospodarczy
8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiadomości
9.25 „Sól" — koreański film fab.
16.20 Program dnia. — Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: SOS — sami o sobie
16.50 Dla dzieci: Trąba
17.15 Teleexpress
17.30 Sensacje XX wieku
18.00 Program lokalny
18.45 Rolnicze rozmaitości
19.00 Dobranoc
19.10 Rzeczpospolita samorządna
19.30 Wiadomości
20.05 „Zbrodnia w szkole" — jug. dramat psych.

Do miejscowej szkoły przybywa nowy nauczyciel. Jego poprzednik poniósł śmierć w tajemniczych okolicznościach. Nowy postanawia wyjaśnić tę sprawę i zaczyna prowadzić śledztwo. Film zrealizował Branko Ivanda.

21.40 Sprawa dla reportera
22.20 Sport
22.30 Wiadomości wieczorne
22.45 Wokół wielkiej sceny
23.40 J. angielski

PROGRAM II

16.25 Korepetycje dla maturzystów
16.55 J. francuski
17.25 Program dnia
17.30 Zwierzęta wokół nas
18.00 „Marc i Sophie" — odc. 9 franc. ser.
18.30 Magazyn „102"
19.00 Express gospodarczy
19.30 Galeria CIA — Etiudy
20.00 Klub ludzi z przeszłością
20.20 O czym się mówi
20.40 Przegląd muzyczny
21.00 Ze wszystkich stron
21.30 Panorama dnia
21.45 „W labiryncie" — odc. ser. TP
22.15 997 — kronika kryminalna
23.15 Komentarz dnia

CZWARTEK 26.04.1990

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiadomości
9.25 „Hannay" — odc. 5 ang. ser. krymin.
16.20 Program dnia. — Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Kwant oraz film z serii „Ordy"
17.15 Teleexpress
17.30 Biznes — mag.
18.00 Program lokalny
18.45 Magazyn katolicki
19.00 Dobranoc
19.10 Kupić — nie kupić?
19.30 Wiadomości
20.05 „Hannay" — odc. 5 ang. ser. krymin. pt. „Ustawa o rozruchach"
21.00 Interpelacje
21.50 Pegaz
22.35 Wiadomości wieczorne
22.50 Sport
0.15 J. angielski

PROGRAM II

16.25 Korepetycje dla maturzystów
16.55 J. rosyjski
17.25 Program dnia
17.30 „W labiryncie" — odc. ser. TP
18.00 „Katastrofy" — odc. ang. ser. dok. pt. „Walące się mosty"
18.30 Program na życzenie
19.30 Zielone kino
20.00 Wielki sport
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Perły z lamusa: „Portret Jennie" — ameryk. film fab.

Romantyczna opowieść o pięknej kobiecie-muzie — jest adaptacją opowiadania Roberta Nathana. W filmie występują Jennifer Jones z całą plejadą gwiazd, zaś reżyserem filmu jest William Dieterle.

23.10 Komentarz dnia.

PIĄTEK 27.04.1990

PROGRAM I

7.45 Express gospodarczy
8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiadomości
9.25 „Nowinki zza płotu" — odc. 6 ser. NRD pt. „Narzeczeni"
15.50 Program dnia. — Telegazeta
15.55 Intersygnał
16.25 Dla młodych widzów: Rambit
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.30 Raport
18.00 Program lokalny
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Teraz — tyg. gospodarczy
19.30 Wiadomości
20.05 Kino muzyczne Kydryńskiego: „Ulica szaleństw" — musical ameryk.

Jest to jeden z pierwszych musicali z Broadwayu, przeniesiony na ekran w 1933 r. przez Lloyda Bacona, choć prawdziwym twórcą był Busby Berkeley. Jest to opowieść o tancerce Dorothy — zakochanej, zazdrosnej i nieszczęśliwej, lecz — jak zwykle w tego typu filmach — wszystko kończy się happy endem. Jednakże ta nieskomplikowana fabuła posłużyła twórcom filmu do zaprezentowania na ekranie wspaniałego talentu Ruby Keeler i kilku szlagierów.

21.45 Sport
21.55 Telew. Inform. Wydawn.
22.05 Weekend w Jedynce
22.15 Wiadomości wieczorne
22.30 Rzeczpospolita samorządna

PROGRAM II

16.55 Korepetycje dla maturzystów
17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa Lista Przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 „Dobra nadzieja" — odc. 5 franc. ser.
19.00 Express gospodarczy
19.20 Antena Dwójki
19.30 Publicystyka kulturalna
20.00 Piątek — mag. z Krakowa
21.30 Panorama dnia
21.45 „Historia prawie miłosna" — franc. film fab.

Miłość, hazard, to główne motywy filmu, którego bohaterem jest młody mężczyzna uwikłany w kłopoty rodzinne. Jego osobiste przeżycia sprawiają, że ogarnia go pasja do gry, że hazard wciąga go do tego stopnia, iż zapomina o wszystkim. Dopóki nie spotka... pięknej dziewczyny.

23.20 Komentarz dnia

SOBOTA 28 IV 1990 R.

PROGRAM I

7.45 Program dnia
7.50 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie
8.40 Ziarno — progr. red. katolickiej dla dzieci i rodziców
9.00 DROPS — mag. dla dzieci i młodzieży oraz film z serii „Heidi"
10.30 Wiad.
10.40 „Azjatycka mozaika" — odc. 13 franc. ser. dok.
11.05 Militaria, obronność, nowoczesność
11.30 „Poza rok 2000" — odc. austral. ser. dok.
12.00 Koncert życzeń
12.30 Żyć — mag.
12.55 Wędrówki dalekie i bliskie: „Pustelnia Verneńska"
13.40 Szkoła mistrzów — Tomasz Zygadło
13.55 Rewizja nadzwyczajna: Jan St. Jankowski — delegat rządu
14.25 Nad Niemnem, Piną i Prypecią
14.50 Film fabularny
16.20 Skarbiec
17.15 Teleexpress
17.30 Butik
18.00 Program lokalny
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Z kamerą wśród zwierząt
19.30 Wiadomości
20.05 „Krew i orchidee" — cz. 2 ameryk. filmu fab.
21.35 Telew. przegląd sportowy
22.05 „High Life" — progr. rozrywk.
23.40 Telegazeta
23.50 „Pocałunek kobiety pająka" — ameryk. film fab.

PROGRAM II

13.00 Czas akademicki
13.30 Bariery
13.55 Powitanie
14.00 Przeszłość przyszłości: „Panteon rodu"
14.35 „Te wspaniałe psy" — cz. 2 ameryk. filmu dok.
15.00 Spektrum
15.15 Meandry architektury
15.35 „Zagłada" — film dok.
16.00 Cisza i dźwięk
16.30 Dziewczyna miesiąca
17.30 Bruce Forsyth specjal — progr. rozrywk.
18.30 „Odeon" na antenie Dwójki
19.10 Antena „2"
19.30 Publicystyka kulturalna
20.00 Przed Konkursem Chopinowskim — Gwiazdy i szkoły
21.00 Dwa ♣ 2
21.30 Panorama dnia
21.45 „Mussolini" — odc. 2 ameryk. ser.
22.45 Studio Foksal '89
23.45 Komentarz dnia

NIEDZIELA 29 IV 1990 R.

PROGRAM I

7.00 Witamy o siódmej
7.30 Notowania
7.55 Po gospodarsku
8.10 Od niedzieli do niedzieli
8.55 Program dnia
9.00 Teleranek oraz film „Emil z Lönnebergi" (10)
10.30 Wiad.
10.35 „Tajemnice rosyjskiej przyrody" — odc. 8 ser. dok.
11.00 „Szalom" — „Agonia i nadzieja" — film dok.
11.40 Morze — mag.
12.00 Poranek symfoniczny
13.00 Teatr dla dzieci: „Wiosna, wiosna się zaczęła"
13.55 Koncert życzeń
14.40 Program publ.
15.15 Agromarket
15.50 „Angielska limuzyna" — odc. 1 franc. ser. pt. „Szofer do wynajęcia"

W ramach kolejnej redukcji etatów jeden z dyrektorów wielkiego przedsiębiorstwa otrzymuje wymówienie z pracy. Za hojną odprawę finansową kupuje luksusową limuzynę i postanawia wykorzystywać ten piękny samochód wynajmując się bogatym klientom. Pasażerowie trafiają się różni, bogate towarzystwo z wyższych sfer, gangsterzy, prostytutki, a nawet ktoś z... psem. Każda z części sześcioodcinkowej serii relacjonuje z przymrużeniem oka inne wydarzenia, a łącznikiem całości są luksusowa limuzyna i jej elegancki szofer.

16.50 Antena
17.15 Teleexpress
17.30 Sportowa niedziela
18.10 „Wspomnij mnie" — film dok. o Marianie Hemarze
19.00 Wieczorynka
19.30 Wiadomości
20.05 „Północ — Południe" — odc. 11 ameryk. ser.
21.40 7 dni — świat
22.10 Sportowa niedziela
23.30 Telegazeta

PROGRAM II

8.55 Przegląd tygodnia
9.30 „Północ — Południe" — odc. 11 ameryk. ser.
11.05 Jutro poniedziałek
11.30 Koncert życzeń
11.55 Powitanie
12.00 PKF
12.10 „Mojżesz" — odc. 3 ameryk. ser.
12.55 100 pytań do...
13.55 Kino familijne: „Autostrada do nieba" — odc. 9 ameryk. ser. pt. „Jason" (1)
14.45 Maciej Niesiołowski — Z batutą i z humorem
15.00 A to Polska właśnie
15.30 Podróże w czasie i przestrzeni: „Clive James w Japonii" (1)
16.20 „Polacy" — film dok.
17.00 Studio sport
17.30 Bliżej świata — przegląd telewizji satelitarnych
19.00 Wydarzenie tygodnia
19.30 Galeria
20.00 Studio sport
21.00 Kobiety 20-lecia
21.30 Panorama dnia
21.45 „Mojżesz" — odc. 3 ameryk. ser.
22.30 Jeremi Przybora, czyli dziecko szczęścia — Wiosna
22.55 Komentarz dnia
23.00 Akademia wiersza

PONIEDZIAŁEK 30 IV 1990 R.

PROGRAM I

16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 LUZ — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Gorące linie
18.00 Program lokalny
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 W Sejmie i w Senacie
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr TV na świecie: Ladislav Fuks — „Fajerwerk w Aspern"
21.35 Kontrapunkt
22.05 Sport
23.25 Wiad. wiecz.
23.45 J. francuski

PROGRAM II

16.55 J. angielski
17.25 Program dnia
17.30 Ojczyzna — polszczyzna
17.45 Czarno na białym — przegląd PKF
18.30 Za chwilę dalszy ciąg programu
19.30 Życie muzyczne
20.00 Auto-Moto Fan Klub
20.30 Studio tajemnic
21.30 Panorama dnia
21.45 Hasło „Mewa" — film fab. prod. RFN
23.10 Komentarz dnia

WTOREK 1. V 1990 R.

PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: „Pawie pióro" — czech. film fab.
10.35 VII Światowy Festiwal Muzyki Dziecięcej — Tokio '89
11.05 „Miniatury przyrodnicze" — film dok.
11.30 Sztuka '89 — szanty i piosenki żeglarskie
12.00 „Polonia peruwiańska" — film dok.
12.15 „Cyrk przyjechał — świat cyrku" — rep.
13.15 Teatr Młodego Widza: „Jej i sobie"
14.05 „Jak to się robi na Cyprze" — rep.
14.45 Dyskotekowy krąg
15.30 „Jan Kiliński" — cz. 1 filmu dok.
16.30 Zdzisław Donat — arie i pieśni
17.05 Teleexpress
17.20 „Karmazynowy pirat" — ameryk. film fab.
19.00 Wieczorynka
19.30 Wiadomości
20.05 „Matka Lucia" — odc. 2 włosk. filmu fab.
21.30 Sport
22.15 „45—89" — cz. 1 filmu dok.
23.10 Telegazeta

PROGRAM II

14.55 Program dnia
15.00 Publicystyka kulturalna
16.00 Up With People w Sali Kongresowej
16.50 „Ich ręce, ich twarze" — film dok.
17.20 Dookoła świata
17.50 Biografie: „Andy Warhol" — ang. film dok.
19.10 Modlitwa wieczorna
19.30 Studio sport
20.00 Przeboje Bogusława Kaczyńskiego
21.00 Wywiady Ireny Dziedzic
21.30 Panorama dnia
21.45 „Crimen" — polski film fab. cz. 1
22.45 Komentarz dnia

nagłe zastępstwo

Szałas dla każdego

W dużym skupieniu umysłu i z niemałym trudem opracowałem, nie sam zresztą, jedyny słuszny system nazewnictwa ulic i placów, który raz na zawsze wykluczy wszystkie „potępieńcze swary" na temat, czy ulica ma być „Dzierżyńskiego" czy też wprost przeciwnie.

System jest następujący: jeśli mamy do czynienia z małym miasteczkiem o kilkunastu zaledwie ulicach, to klucz jest następujący — ulice przyjmują nazwy miesięcy. „Styczniowa", „Lutowa" itd. Co zrobić z ewentualną nadwyżką? O tym za chwilę...

Dla dużego miasta stosujemy również klucz kalendarzowy. Ulica „Pierwszego Stycznia", „Drugiego Stycznia" itd. itd. Metoda kalendarzowa jest uniwersalna politycznie, rzec można pluralistyczna. Na dodatek stabilna, wręcz wiecznotrwała! Wyobraźcie sobie państwo: każdy odłam polityczny, każda partia, każda — za przeproszeniem — „opcja" ma swoją ulicę! Jedni świętują na ulicy „1 Maja" inni na „11 Listopada". Można uczcić każdą rocznicę, od Chrztu Polski poczynając na urodzinach szwagra kończąc!

Teraz śpieszę wyjaśnić, co robimy z nadwyżkami ulic: również korzystamy z kalendarza. Tym razem takiego, który zawiera wszystkie popularne imiona. I lecimy po kolei — Adama, Alberta, Agnieszki itd. itd. Jak łatwo zauważyć, jeśli tylko starczy ulic, będziemy mogli zaspokoić wszystkie ambicje i orientacje polityczne. Proszę sobie wyobrazić jakie możliwości daje choćby taka ulica „Józefa". Mogą na niej manifestować na przemian piłsudczycy, stalinowcy, zwolennicy Cyrankiewicza (!) albo i księcia Pepi. Możliwości są ogromne. Albo „Tadeusza". Znakomite miejsce, żeby uczcić zarówno Kościuszkę jak i aktualnego premiera, że o paru innych znanych Tadziach nie wspomnę. Albo ulica „Lecha" — wiadomo! Choć powinna być także „Leszka", bo ani Balcerowicz ani Moczulski mogą nie chcieć świętować akurat razem z „Lechem". Kiedy będzie mniej miejsca, mniej ulic, to są wyjścia kompromisowe — po parzystej stronie „Lecha", po nieparzystej „Leszka", I wszyscy zadowoleni.

Podobnie można postąpić z Andrzejem i Jędrzejem — trzeba wszak uczcić i Struga, i Moraczewskiego...

Metoda kalendarzowa nie jest — jak dotąd — opatentowana, gdyby jednak władze któregoś z miast zechciały skorzystać, to uprzejmie przypominam: copyright by Andrzej Karol!

W następnej kolejności, jeśli starczy mieszkań, można będzie pomyśleć o takim zasiedlaniu ulic, żeby każdy mieszkał pod adresem, który akceptuje moralnie i politycznie.

A propos mieszkań — Muzeum Archeologiczne w Warszawie, dla uatrakcyjnienia swej ekspozycji organizuje pokazy archaicznych metod wytopu żelaza, lepienia garnków glinianych i rozpalania ognia przy pomocy huby i krzesiwa. Co mnie szczególnie w tej ofercie zainteresowało, to pokaz budowania szałasów! Myślę, że minister Aleksander Paszyński winien co prędzej objąć patronatem te pokazy — dla bogatych będzie „Drewbud", dla niezamożnych — szałas pasterski, ze znacznie obniżonym czynszem, bez opłat za gaz, energię i tym bardziej windę.

Że to amatorszczyzna? Mój Boże, przecież i Ty byłeś w akcie tworzenia amatorem, co do dziś widać gołym okiem.

ANDRZEJ KAROL

Stare i nowe horyzonty

— *Proszę pana, na pewno zauważył już pan, że wiele programów w naszej telewizji jest sponsorowanych przez różne firmy...*

W ten sposób zaczął ze mną rozmowę młody mężczyzna, który przedstawił się jako prezes nowo otwartej spółki. Zdziwiła mnie owa wizyta, nie mówiąc już o propozycji, jaką otrzymałem. Ale nie uprzedzajmy faktów, opowiem rzecz całą po kolei. Wróćmy więc do naszej rozmowy:

— Owszem, trudno tego nie zauważyć — powiedziałem.

— *No, widzi pan* — rzucił radośnie i na jego twarzy pojawił się uśmiech. — *Możemy więc przystąpić do konkretów...*

— Tak byłoby najprościej — przerwałem.

— *Zgadza się* — wtrącił — *zaraz wszystko panu wyjaśnię... Niech pan posłucha i jeśli byłoby to możliwe nie przerywa mi, dobrze?*

— Zamieniam się w słuch — odpowiedziałem bez przekonania.

— *Nasza spółka nazywa się „Stare i Nowe Horyzonty"* — podjął. — *Istniejemy od niedawna, a zajmujemy się najkrócej mówiąc dopasowywaniem ludzkich życiorysów do nowej sytuacji. Mamy u siebie znakomitych fachowców, którzy świetnie umieją się posługiwać piórem... każdy życiorys potrafimy tak zmienić, że nikt nie będzie mu w stanie nic zarzucić. Wie pan, tam gdzie trzeba się skraca, w innym miejscu dodaje, jeszcze w innym ubarwia. I z najbardziej zagorzałego komunisty jesteśmy w stanie zrobić... no, jeśli już nie prawicowca, to przynajmniej takiego Konrada Wallenroda. Nasze usługi w przyszłości chcemy oczywiście rozszerzyć i zająć się tworzeniem nowych mitów... tutaj sprawa jest trudniejsza, ale za odpowiednią opłatą wszystko da się zrobić... jedno jest pewne, tematów na pewno nie zabraknie...*

— Nie bardzo mi się to podoba — przerwałem.

— *Proszę pana, jeśli nie my, to zrobi to ktoś inny, nie ma więc powodu do zmartwienia* — kontynuował. — *Chciałem jeszcze panu powiedzieć, że jak na razie na brak zamówień nie narzekamy. A tak między nami mówiąc to dziwię się nawet, że do tej pory nikt na taki pomysł jeszcze nie wpadł. I dobrze... kto pierwszy wszak ten lepszy...*

— Nie rozumiem jednego — wtrąciłem stanowczo.

— *Czego pan nie rozumie?*

— Co mianowicie ja mam z tym wszystkim wspólnego?

— *Już wyjaśniam* — mężczyzna klasnął w dłonie. — *Otóż chcemy sponsorować pański felieton* — powiedział i popatrzył mi w oczy.

— Sponsorować mój felieton — powtórzyłem zaskoczony.

— *Tak, i niech pan się tak nie dziwi... najchętniej chcielibyśmy by w tym pustym owalu, który widnieje nad pańskim felietonem był umieszczony napis:* „Stare i Nowe Horyzonty", *ale jeśli to będzie niemożliwe to przynajmniej co jakiś czas niech pan o naszej firmie wspomni... tak, wie pan, w kontekście jakiegoś zdania.*

— No, dobrze, a co ja z tego będę miał?

— *Dodatkowe honorarium w wysokości... nad wysokością jeszcze się zastanowimy... zgadza się pan?*

— A jak upadnie gazeta? — zapytałem.

— *Umowa w takiej sytuacji nie zostaje przerwana, w momencie, kiedy pan zacznie pisać w jakimś innym czasopiśmie, znowu stajemy się pańskim sponsorem.*

— Czy da mi pan dwa dni czasu do namysłu?

— *Ależ oczywiście* — podniósł się i podał mi rękę. — *Do zobaczenia więc.*

Kiedy piszę te słowa jeszcze nie podjąłem decyzji, gdy jednak w następnych felietonach zbyt często, drogi Czytelniku, będziesz znajdował jakieś opowieści o firmie „Stare i Nowe Horyzonty" to będzie to znaczyło, że felieton ów też ma swego sponsora. Czego rzecz jasna wszystkim tego pragnącym życzę.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

lewym okiem

Nauka fotografii

Kilka lat temu prasa warszawska podała wiadomość, że tego a tego dnia otwiera się pierwszy w Warszawie sklep porno. Na długo przed rzekomym otwarciem tego sklepu gromadził się pod wskazanym adresem pokaźny tłum. Później wyjaśniono, że był to żart primaaprilisowy, ale żart ten pozwolił przetestować poziom zapotrzebowania społecznego w odnośnej — że tak powiem branży. Zresztą już od dawna, mimo formalnych zakazów, dotyczących pornografii, na wszystkich rynkach i straciach można było kupić, za niemałe co prawda pieniądze, importowane przez turystów „świerszczyki pornograficzne", czasopisma, widokówki, taśmy i kasety. Rynek istniał, choć był to rynek drugiego obiegu, analogicznie jak w odniesieniu do prasy, która też była nielegalna, a można ją było zwyczajnie kupić i przeczytać na okładce adres redakcji.

Teraz czasy się zmieniły. Pisałem parę miesięcy temu, że najpierw z inicjatywą prywatną ruszą do boju ludzie o wielkiej pomysłowości, a niewielkich skrupułach. Ruszą tam, gdzie kwalifikacji nie potrzeba żadnych, a zyski można osiągnąć wielkie.

Z „Polityki" dowiedzieliśmy się, że w Łodzi, w domu kultury „Lutnia" odbywają się kursy fotografowania aktów kobiecych. Można to i tak nazwać. Taki kurs kosztuje ćwierć miliona złotych. Kilku chętnych już jest. Znakomita sprawa. Poczekajmy jeszcze na salony masażu i na kursy gimnastyki intymnej itp.

W piątym numerze „TOP" z 1990 roku, gdzie można ogłosić dosłownie wszystko, czyta się na przykład reklamę, jakiegoś przedsiębiorczego człowieka, który, cytuję: *„Krótkie opowiadania erotyczne (dorosłym) wysyłam za pobraniem. Temat może zaproponować zamawiający".*

Można się łatwo domyślić, że jest to ktoś o bujnej a brudnej wyobraźni, nie lubiący się przemęczać, pełen pomysłów, przedsiębiorczy, taki, jakich nasza gospodarka oczekuje.

Telewizja i radio podały już wiadomość o tym, że w Łodzi ma wkrótce otworzyć swe podwoje sklep porno. Tego typu zapowiedzi i wiadomości stanowią świetną, a bezpłatną reklamę dla tego rodzaju warsztatów pracy. Jestem przekonany, że kiedy zapowiadane instytucje zaczną funkcjonować na dobre, będą często obiektem różnych wywiadów, reportaży i notatek. Wszystkie one będą pikantnym materiałem dla szerokich rzesz Czytelników.

Nareszcie ożywi się rynek i zacznie się naprawdę restrukturyzować produkcja i handel. Na miejsce, jakże nieatrakcyjnych finansowo, nieciekawych warsztatów jakichśtam hydraulicznych, szewskich i tapicerskich, na miejsce osławionych salonów guzikarskich, praśniczych i kapeluszniczych, na miejsce ośrodków kultury, choćby takich jak łódzka „Lutnia", otwierać się zaczną masowo porno-shopy, kina non-stop z filmami o sprawach męsko-damskich, lokale dla par o wyszukanych gustach, kursy fotografowania aktów pojedynczych, podwójnych i wieloosobowych, nawis inflacyjny znajdzie ujście i zaczniemy doganiać Europę.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Gajdacz i Rajski wymienili krótkie spojrzenia.

— Połącz mnie ze swoją Centralą — powiedział Gajdacz. — Może wyjednam ci tę godzinkę przy żonie. Albo odwołanie rozkazu.

Komendant przecząco pokręcił głową. Jego bezosobowa, uprzejma twarz nie pozostawiała wątpliwości, że wie, co ma robić, gdyby musiał.

Zrezygnowali. Wracając do pałacu leniwym krokiem, unurzani w południowym upale, zastanawiali się obaj, kto wydał Majorowi rozkaz w ich sprawie: Centrala czy szef.

Naczelny poprosił ich, żeby usiedli na rokokowej otomance w saloniku, Gorbana poprosił o napełnienie kieliszków koniakiem „Eniseli".

— A teraz, Lucjanie, opowiedz nam, co myślisz o akcie oskarżenia, który co godzinę emituje twoje radio — powiedział. — Czy jutro pomieszczą w nim nasze nazwiska?

Marat odruchowo chciał wstać, Naczelny rozkazał mu ruchem głowy pozostać na miejscu.

— Tylko jedno nazwisko, szefie — mruknął Ikar.

— Tak. Moje. Zechcesz powiedzieć, Lucjanie, z kim do spółki inicjujesz to przedsięwzięcie? Jak zamierzasz ujść cało?

— Jestem tu z wami cały czas — powiedział Marat. — Od wczoraj nie miałem łączności...

— Nikt nie miał — przerwał mu Naczelny.

— Nikt?... Wy także?

— Ja także. Można było jednak zaaranżować to wszystko wcześniej i przypuszczać, że dysponuje się niepodważalnym alibi.

— My tu niby wszyscy razem... — wtrącił Ikar.

— Za komunikat odpowiada dyrektor radiokomitetu — powiedział Lucjan Marat. — Chyba, że dostał polecenie z Siedziby.

— Od ciebie? — zapytał szef.

— Nie ode mnie. Tylko jeden człowiek prócz mnie mógł Rubinowi to polecić. Remigiusz Bard.

— Bzdura — uciął Naczelny.

— Zgadzam się — przytaknął Marat.

— Zresztą Bard zaraz tu będzie. Spytamy go.

— A trzecia możliwość? — odezwał się Ikar, ciągnąc koniak po kropelce.

— Dyrektor Rubin — odparł Marat. — Oczywiście nie sam.

— Na pewno — zgodził się Naczelny. — Mianowaliśmy go dyrektorem na ostatniej konferencji, prawda? Z twojej rekomendacji, Lucjanie. Może się mylę?

— Tak — powiedział z mocą Marat. — Nie znam Zbigniewa Rubina. Franciszek Ikar chyba to potwierdzi.

Naczelny powoli zwrócił się twarzą do Ikara. Ten zacisnął usta. Myślał szybko. Zaprzeczenie nic nie da, prawda wyjdzie na jaw wtedy jest po nim. Kłamstwa szef nie toleruje.

— Potwierdzam — przyznał. — Podsunąłem Maratowi tę kandydaturę. Ale byłem jedynie pośrednikiem. Znam Rubina bardzo luźno, z jakichś dyskusji redakcyjnych, wspólnych występów przed kamerą. Łatwo sprawdzić, szefie.

— Starczyło, żeby lansować?

— Ktoś prosił.

— No, nie krępuj się, oni?

— Remigiusz Bard — wywalił Ikar tonem lekko podniesionym. — Nic nie poradzę, szefie. Taka prawda. Przypadkiem nagrała mi się rozmowa z Remigiuszem o Rubinie, to jakiś jego krewniak z Warmii. Taśma jest w sejfie.

Dobra szkoła, pomyślał Marat, nigdy nie wiadomo, co może ocalić człowiekowi głowę, trzeba nagrywać wszystko. Naczelny podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu i wywołał komendanta:

— Śmigłowiec już wystartował? Kiedy się spodziewacie?

Słuchał chwilę. Odwiesił słuchawkę.

— Odraczam rozprawę — powiedział. — Bard przeprasza, spóźni się. Ale dziś tu będzie. Z jego pomocą ujawnimy niedoszłych spiskowców. Komuś zależy, żebyśmy nie wykonali zwrotu, nie wyszli z dołka, nie otworzyli wrót szeroko. Mam wokół siebie wielu skostniałych konserwatystów, którzy się boją emerytury.

— Bo niska — powiedział Ikar. — Należy zbudować dla nich cieplarnie z wodotryskami.

— Takie, które nam by się kiedyś spodobały — zażartował Marat.

Naczelny wykonał głową ruch przeczący. Znał się na ludziach. Ci na górze, którzy posmakowali swojego kawałka władzy, nie chcieli cieplarń. Byli niezbędni tam, gdzie byli. Wierzyli w to niezachwianie i wojowniczo. Próby oddalenia ich traktowali jako zamach na siebie i państwo. Zapewne nie zdawali sobie sprawy, że są nałogowcami: czad stanowienia o losie innych, budzenie lęku, więc i miłości.

Miłość ze strachu? Tak. Wcale nie trzeba być monopolistą, wystarczy być słabym. Kto nie jest słaby? Ilu nie podlega zmienności uczuć, nie przemieszcza się od uwielbienia do wzgardy, gdy pada szef? Żadna cieplarnia nie uchroni przed rewanżem słabych za własną słabość. Tchórze w stadzie są odważni. Zagryzą.

— Raczej potrzebny im nadzór — powiedział — Taktowne baczenie, by nie szkodzili. Jeśli nie umierają szybko, próbują wracać.

— Historia zna mało takich przypadków uwieńczonych sukcesem — powiedział Lucjan Marat. — Nawet Bonapartemu to się nie udało. Bomba wybucha raz.

— Zjadłbym śledzika — wyrwało się nagle Ikarowi.

— Że co? — zapytał ze zdziwieniem Naczelny.

— Ja też bym zjadł — powiedział Marat. — Pod zimną wódkę.

— Pod zimną wódkę — powtórzył za nim Franciszek Ikar.

— A pod koniak „Eniseli"? — zastanowił się Naczelny. — Nie...

Zadzwonił; tuż pod ręką, na inkrustowanym stoliku, znajdował się posrebrzany dzwonek neapolitański z hebanową rękojeścią. Weszła Laura.

C.D.N.

ALEKSANDER MINKOWSKI

Sekrety prominentów (21)

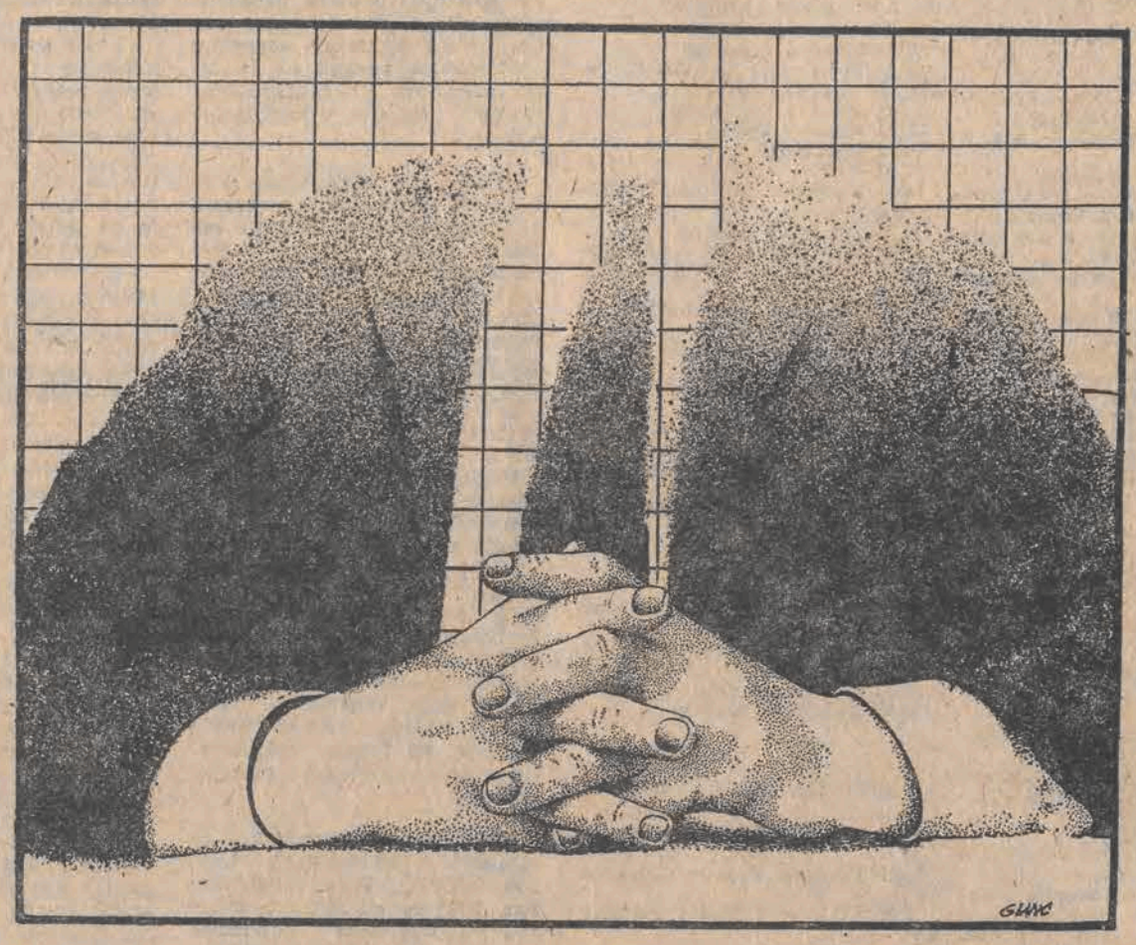

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Sergiusz Piasecki urodził się w 1899 lub 1901 r., zmarł w 1964 roku. Jest autorem głośnej powieści „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy" którą napisał w 1935 r. podczas odsiadywania wyroku za działalność przemytniczą i rozbójniczą na pograniczu polsko-radzieckim. W okresie II wojny światowej trafił do Anglii, gdzie napisał kolejne książki, m.in. „Żywot człowieka rozbrojonego" i „W imieniu organizacji". Kontynuujemy druk fragmentów jego „Zapisków oficera Armii Czerwonej". Wydawnictwo „Książka Dla Wszystkich", Gryf Publications LTD. Londyn 1957.

Zapiski oficera Armii Czerwonej

SERGIUSZ PIASECKI

28 lipca, 1941 roku
W stodole.

Wczoraj nie dokończyłem ja opowiadania o moich przygodach, więc dzisiaj piszę dalej. Teraz jestem ja, można powiedzieć, najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, bo okropnej śmierci z rąk niemieckiego NKWD uniknąłem i może jeszcze jakoś w ogóle ocaleję. Bo szkoda by było, żeby Rosja straciła takiego dzielnego obrońcę socjalizmu jak ja. Jedynie to mnie bardzo martwi, że nie wiem ja, co się stanie z moją własnością pozostawioną w Vilniusie. Co prawda drzwi są dobrze zabezpieczone, ale mogą je wyłamać, żeby do moich skarbów dobrać się. Teraz bardzo ja żałuję, że niezgodnie z nauczycielkami żyłem i od ostatnich słów je przezywałem. Mogą teraz ze złości na mnie skarby moje przywłaszczyć.

Ale trzeba opowiedzieć o moich przygodach. Po wyjściu z miasta błąkałem się ja przeszło dwa tygodnie po lasach. I nie wiedziałem: gdzie iść i co robić? W tym czasie bardzo osłabłem, bo ostatnie dni tylko jagodami żywiłem się. A pewnej nocy kartofli w polu nakopałem i przy ognisku je upiekłem. Ale tak żyć długo było mi trudno, bo jako oficer bardzo delikatne mam zdrowie i lubię codziennie chleb jeść. A gdy w Polsce się znalazłem, to zupełnie rozpieściłem się i do różnych kiełbas oraz masła przyzwyczaiłem się całkiem niepotrzebnie. Myślałem, że zawsze tak będzie. I tak by było, gdyby nie podła zdrada Stalina. A zdrada musiała być, inaczej Hitler nigdy by się nie odważył napaść na potężny Związek Radziecki i niezwyciężoną Armię Czerwoną.

Pewnego wieczora wyszedłem ja z lasu i ostrożnie rozglądam się po okolicy. Zauważyłem w pobliżu jakieś osiedle. Dom stoi na wzgórzu, a w dole stodoła, stajnia i chlew. Ludzi nie było widać i innych osiedli blisko nie dostrzegłem. Ale czekam ja co dalej zobaczę. Długo nikogo nie było. Potem jakaś babina wyszła z domu i udała się ścieżką w kierunku stodoły. W rękach niosła piłę i siekierę. Zeszła w dół i zaczęła obok stodoły drzewo piłować. Wówczas ja, przyciśnięty głodem, nabrałem odwagi, i z ukrycia, wyszedłem. Zobaczyłem, że kobieta niemłoda i że trudno jej samej drzewo piłować, więc powiedziałem:

— Dobry wieczór mateczko! Może wam pomóc drzewa napiłować!

Ona popatrzyła na mnie i pyta:

— A ty skąd się tu wziąłeś?

— Z lasu — powiadam.. Wielkie mnie nieszczęście spotkało. Zabrali mnie do wojska ci przeklęci bolszewicy, przywieźli aż do Wilna, a jak Hitler na nich uderzył, to uciekli sami, a mnie zostawili na zgubę. Teraz nie wiem, co robić. Do domu nie trafię, bo to daleko. A tu też żyć nie ma jak. I bardzo ja Niemców boję się. Dlatego z dala od ludzi się trzymam i po lasach chowam się. Cały tydzień już chleba nie jadłem. Może sprzedacie mnie chociaż kawałeczek?

A ona powiedziała:

— Dam ja tobie jeść, tylko porządki w gospodarstwie skończę. A Niemców nie bój się. Drogę stąd daleko widać. W razie czegoś złego do lasu pójdziesz. Tam ciebie nikt nie złapie. A teraz, jeśli chcesz mi pomóc, to przygotuj drzewa do pieca. A ja pójdę krowę doić.

Chwyciłem ja siekierę i dalej drzewo szastać. Bardzo starałem się, żeby wiedziała, że nie leń jestem. W głowie mi się kręciło z głodu, ale pracowałem ze wszystkich sił. Ona tymczasem krowę wydoiła i kazała mnie drzewo do kuchni zanieść. Poznosiłem ja tam wszystko, co narąbałem, a ona pod płytą ogień rozpaliła i zaczęła kolację szykować. Mnie poprosiła siadać i pracując rozmawiała ze mną. Kilka razy z mieszkania wychodziła na drogę popatrzyć: czy ktoś obcy nie idzie? A do mnie powiedziała:

— Ty się nie bój. Tu naród wszystko polski. Niemców i bolszewików nie lubią. Jeśli ciebie ktoś i zobaczy, to nikomu nie powie. Zresztą nikt ciebie tu i nie zobaczy, bo osobno żyjemy. To jest majątek Burki.

Jak powiedziała mi ona, że to jest majątek, to i zdrętwiałem ze strachu. Potem spytałem:

— A gdzie wasz dziedzic?

— Nie ma — powiedziała. — W Anglii jest. W polskim wojsku tam służy.

— A gdzie jest dziedziczka?

— Ja jestem dziedziczka.

Chociaż byłem strasznie głodny i zmęczony, śmiać się zacząłem. Wiedziałem, że źle robię, ale wytrzymać nie mogłem. Bo ja tyle nasłyszałem się i tyle w książkach i pismach czytałem o tych krwiopijcach, polskich panach i dziedzicach! Jak w złocie chodzą, rozkosznie żyją i znęcają się nad chłopami. A tu taka babina, byle jak ubrana, spracowana, ręce od roboty aż czarne, mówi mi, że jest dziedziczką. Pomyślałem nawet, że kpi ze mnie. A ona powiada:

— Ty czego zęby szczerzysz?

To ja nie wiedziałem, co robić i prawdę jej powiedziałem:

— Zabawne mi to jest, że wy sami pracujecie i mówicie iż dziedziczką jesteście.

— Tak ono i jest! — powiedziała. — Wszyscyśmy tu pracowali. Mieliśmy w dobrych czasach dziewkę i parobka do roboty, ale i dla nas pracy nie brakowało. A teraz sama zostałam, więc sama pracuję. Ale trudno mi poradzić, bo bolszewicy gospodarstwo nasze zniszczyli zupełnie. Zabrali wszystkie konie i trzy krowy. Jedną tylko zostawili... najgorszą. Dwóch synów moich do wojska wzięto i nie wrócili. Mąż też. Tak nasza praca wielu lat została zmarnowana. Ale najwięcej mnie rodziny szkoda, bo nie wiem czy jeszcze kiedyś do domu wrócą i czy się zobaczymy.

Pomyślałem ja, że może w tym co ona mówi trochę prawdy i jest. Ale bardzo dziwnie było mi to słyszeć.

Dała mi ona jeść. I to jeszcze jak! Od tego czasu jak z miasta wyszedłem tak nie najadłem się. Tymczasem ona mnie o różne rzeczy wypytywała. Kto jestem? Skąd pochodzę?... To ja jej wszystko kłamałem. Powiedziałem, że jako poborowy byłem do wojska wzięty i w armii jako szeregowiec służyłem. Że przedtem w kołchozie pracowałem. A bolszewików bardzo klątem. Szczególnie Stalina. Bo wiedziałem, że Polacy ogromnie go nie lubią. Ale ona nie wymyślała ani bolszewikom, ani Niemcom, ani Stalinowi. Tylko wypytywała mnie i słuchała uważnie. Później powiedziała:

— Co ty chcesz dalej robić? Jeśli w drogę pójdziesz, to dam ja ci bochen chleba i kawałek słoniny. Udało się trochę zboża schować od rekwizycji, więc sama żyto na żarnach mielę i chleb wypiekam.

Wówczas ja powiedziałem:

— Mateńko, kochana! Nie wiem ja gdzie iść. Jak pójdę w lasy, to gdziekolwiek z głodu zginę albo Niemcy mnie złapią i zabiją. Czy nie można by było tu u was pozostać? Pracowałbym, co tylko każecie. Jadłbym, co dacie. A później może coś się zmieni.

Pomyślała ona i mówi:

— Dobrze. Zostań tu na razie. A potem zobaczymy co będzie. Spać będziesz dla bezpieczeństwa w stodole. Chodź, pokażę ci miejsce.

Wzięła ona latarkę. Dała mi stary kożuch i koc. Nalała butelkę wody, żebym miał co pić w nocy. I poszliśmy. Latarnię pod kożuchem niosła, żeby w nocy światła z daleka nie było widać.

Przyszliśmy do stodoły. Ona w jednym miejscu specjalnie włożone tam deski wyjęła i poświeciła mnie do środka. Była to skrytka, trudna do znalezienia. Wytłumaczyła ona mnie, że drzwi do stodoły na klucz zamknie, ale ze skrytki jest wyłaz pod dachem. Więc w razie niebezpieczeństwa, mogę tamtędy do rowu uciekać i stamtąd krzakami w las zbiec. Zapewniła ona mnie, że tu w nocy będzie spokojnie, bo Niemców nigdzie w pobliżu nie ma. A do miasteczka stąd daleko. Zamknęła stodołę i poszła.

Położyłem ja na sianie kożuch, buty z nóg zdjąłem i kocem się nakryłem. Poczułem się bardzo szczęśliwym człowiekiem. Jednak Ci Polacy nie są tak strasznie podli, jak nam o nich mówiono. Bo, prawdę powiedzieć trzeba, nikt z nich mnie jeszcze nie skrzywdził, wszyscy zaś pomagali. U nas to by nikt mnie pomocy nie okazał. Takim typom, co od władz się ukrywają, nikt nie pomaga. A tu naród inny. Tylko ta podła Irka bardzo mnie skrzywdziła. Ale może ja jeszcze na niej się zemszczę.

Spałem ja bardzo mocno, dopóki posłyszałem, że mnie ktoś woła.

— Miszka!... Miszka!...

Poznałem ja głos dziedziczki i odezwałem się.

— Wyłaź! — powiedziała. — Trzeba śniadanie zjeść.

Poszedłem ja do mieszkania. Dała ona mnie jeść znakomicie. A potem przyniosła cywilne ubranie, buty, czapkę, skarpetki i czystą bieliznę.

— Zebrałam to w domu — powiedziała. — To są rzeczy moich synów. Przebierzesz się w to, bo w twoim bolszewickim uniformie chodzić teraz niebezpiecznie.

Zagotowała ona dwa sagany wody. Postawiła ceber zimnej. Dała mi ręcznik, mydło i kazała porządnie wymyć się.

— Pewnie wszy masz — powiedziała.

— Jest trochę — rzekłem. — Rzecz w wojsku nieunikniona.

— Jak w jakim wojsku — powiedziała. — U was tego bogactwa i w wojsku, i bez wojska jest dość. Taką już macie kulturę.

Wyszła ona z izby. Zacząłem ja cały myć się. Wyszorowałem się porządnie i ubrałem się. Tak: od razu widać, że to dziedzice byli. Bielizna czysta, całkiem biała. Ubranie sukienne. Buty mocne, z dobrej skóry. Trochę to wszystko do mnie nie pasowało. Ale nic, uleży się z czasem.

Posprzątałem ja kuchnię i brudną wodę na dwór wylałem. Tymczasem dziedziczka przyszła i mówi do mnie:

— Ty teraz zapomnij, że Miszka nazywałeś się. Teraz jesteś Janek, mój syn. Mam nawet dla ciebie dokumenty, dopóki inne, formalne wyrobimy. Jeśli Niemcy tu przyjdą, albo policja z gminy, to ty nie uciekaj i nigdzie nie chowaj się. Ale i w oczy im nie leź. Do roboty zabieraj się, żeby nic nie mówić. A gadanie z nimi, to już moja sprawa będzie. A sąsiadom, gdy o tobie się dowiedzą, powiem, że uchodźca jesteś. Czy dobrze mnie zrozumiałeś?

— Tak. Zrozumiałem.

— Przy policji albo Niemcach, jeśli trzeba będzie do mnie odezwać się, wołaj mnie: mama. A przy sąsiadach, czy w ogóle gdy trzeba, nazywaj mnie: pani Józefa.

Bardzo ja się ucieszyłem. Poczułem się tak, jakbym na nowo na świat narodził się. Zrozumiałem, że ta dziedziczka zginąć mi nie da. Z radości to nawet łzy mnie z oczu poszły. Chwyciłem ja panią Józefę za rękę i pocałowałem.

— Dziękuję wam bardzo — powiedziałem. — Póki żyć będę, tego nie zapomnę i jeśli będę mógł, wywdzięczę się za wszystko, bo zginąłbym ja bez pani.

A ona powiedziała:

— Bogu podziękuj, że tu dobrzy ludzie są i że serca mają nawet dla swych wrogów, jeśli w nieszczęściu są. A ty, widzę ja, młody i głupi jesteś, to może jeszcze nie całkiem zepsuty. Więc poratuję ciebie jak mogę.

W taki to sposób ja tam i zostałem. Spałem nadal w stodole, a w dzień już śmiało po całym folwarku chodziłem. Roboty jest dużo, więc pracuję całe dni. Zresztą i pani Józefa ciężko pracuje. Nawet więcej i lepiej ode mnie. Bo ja dopiero od niej roboty się uczę.

Bardzo jestem szczęśliwy. Niedawno jeszcze myślałem, że zginę ja na pewno. I zginąłbym gdzieś albo z głodu, albo od choroby, albo z rąk niemieckich. A teraz mam i dom, i jedzenie, i ubranie dobre, i dokumenty, i gospodynię, która mnie jak matka syna traktuje. Ale gdzież tam: jak matka syna?!... Od matki swojej ja nic prócz połajanek nie słyszałem. A jak mały byłem, to często też i biła. A pani Józefa nigdy złego słowa nie powie. I dba, żebym był syty, czysty i bezpieczny. Nie zapomnę ja jej tego nigdy i jak tylko będę mógł, koniecznie wywdzięczę się. Niech wie, że my, bolszewicy, bardzo dobre i wdzięczne serca mamy!

C.D.N.